

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Spence Harrison oderwał rękę od kierownicy i pokręcił gałką radia W nadziei, że na którejś stacji usłyszy aktualną prognozę pogody. Od czasu do czasu niespokojnie spoglądał W niebo. Nie dość, że miał na głowie masę problemów, to jeszcze na horyzoncie zbierały się groźne chmury. W tej części południowego Teksasu "przelotne opady" mogą oznaczać wszystko - od łagodnej mżawki aż po gwałtowną burzę z gradobiciem. Zapowiadany na wczoraj przelotny deszcz zmienił się w istne oberwanie chmury.

Dobrze przynajmniej, że na bocznej szosie nie było wielkiego ruchu. Musiał tylko uważać na wolno jadące traktory i nie przekraczać dozwolonej prędkości, bowiem w chwilach napięcia Spence'owi zdarzało się zbyt mocno nadepnąć na gaz. Dla prokuratora okręgowego, jadącego do stanowego więzienia, gdzie zamierzał przesłuchać ważnego świadka - a musiał zrobić to osobiście, gdyż nikomu poza sobą nie mógł w tej sprawie zaufać - złapanie mandatu byłoby w zaistniałych okolicznościach co najmniej żenujące. Spence rozluźnił krawat i rozpiął guzik koszuli. Robi się cholernie gorąco! O kolejny centymetr przesunął wskaźnik klimatyzatora. Ustawił nogę tak, by jechać z przyzwoitą prędkością, czyli około dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, próbował się skoncentrować na najbliższym zadaniu. Jednakże zebranie myśli sprawiało mu pewną trudność.

Przyczyną owego rozproszenia był odebrany tuż przed wyjściem z biura telefon, nie mający nic wspólnego z aktualnie prowadzonym śledztwem w sprawie o morderstwo oraz informacjami, jakie miał nadzieję uzyskać od świadka, którego chciał w tej sprawie przesłuchać. Telefon dotyczył starego znajomego, kolegi z Akademii Wojskowej i kumpla z piechoty morskiej Luke'a Callaghana, który po dotarciu do Ameryki Środkowej jakby zapadł się pod ziemię. Od ponad tygodnia centrala nie miała od niego wiadomości.

Milczenie Luke'a Callaghana można by złożyć na karb właściwej mu brawury, gdyby nie fakt, iż do Ameryki Południowej został wysłany w nader ryzykownej, tajnej misji ratunkowej. Chodziło mianowicie o odnalezienie ich byłego dowódcy Philipa Westina, który jakiś czas temu zaginął bez wieści w południowoamerykańskiej dżungli. Spence nie był, co prawda, wprowadzony we wszystkie szczegóły, z tego jednak, o czym wiedział, wiele potrafił wydedukować. Przenikliwość, logiczny umysł oraz umiejętność wyciągania wniosków bardzo mu się przydawały w zawodzie prokuratora okręgowego.

Jednakże w obecnej chwili miał do rozwiązania zbyt wiele zagadek naraz. Jego umysł mიაł się pomiędzy sprawą Luke'a a niedawnym skandalem na całkiem innym froncie działalności Spence'a Harrispa, zmuszającym prokuraturę do wykrycia skorumpowanych stróżów prawa. Śledztwo, jakie podjął w tej kwestii, wiązało się z wielkim ryzykiem. Nikt nie był poza podejrzeniem nawet funkcjonariusze wydziału spraw wewnętrznych.

Spence na palcach jednej ręki mógł policzyć godnych zaufania policjantów. Był to stan rzeczy w najwyższym stopniu smutny i niepokojący. Większość funkcjonariuszy miała najprawdopodobniej czyste ręce, ale rzecz wymaga dogłębnego wyjaśnienia. Przed wszczęciem oficjalnego śledztwa Spence chciał mieć w rękę niepodważalne dowody i miał nadzieję uzyskać je w wyniku zaplanowanego na dziś przesłuchania.

Wydarzeniem, które wstrząsnęło miejscową policją, było zamordowanie sędziego Carla Bridgesa. Sędzia Bridges był w okręgu Lone Star w Teksasie ważną osobistością - człowiekiem znanym i wpływowym. Spence osobiście wiele mu zawdzięczał. Los zetknął ich w momencie, gdy bardzo podówczas młody Spence zmierzał nieuchronnie do samozagłady. Niejednokrotnie siadywał w sądzie dla nieletnich na ławie oskarżonych. To właśnie sędzia Bridges pomógł mu zawrócić ze złej drogi i to z tak znakomitym skutkiem, że dwadzieścia lat później Spence doszedł do stanowiska prokuratora okręgowego, stając się ogólnie szanowanym obywatelem!

Niedawne tajemnicze zabójstwo sędziego zdopingowało Spence'a do podjęcia prywatnego śledztwa. Sprawca został ujęty - na narzędziu zbrodni odnaleziono odciski palców niejakiego Aleksa Blacka - nie ulegało jednak wątpliwości, iż ktoś musiał go do tego popchnąć. Alex Black był za głupi na to, by działać na własną rękę. Zleceniodawca naj pewniej z góry przeznaczył Blacka "na odstrzał". Spence był przekonany, iż wie, kto za tym stoi, lecz na poparcie swoich podejrzeń musiał mieć konkretne dowody. Zdawał też sobie sprawę, że zdobycie niepodważalnych dowodów będzie przedsięwzięciem nie tylko trudnym, ale także nader niebezpiecznym.

Ostatnimi czasy miało miejsce kilka dziwnych, choć na pozór mało znaczących wydarzeń. Nie dalej jak tydzień temu rozpedzone auto o mały włos nie zepchnęło jego samochodu z szosy do rowu. Spence pomyślał w pierwszej chwili, że kierowca był po prostu pijany. Niezwłocznie zawiadomił o incydencie patrol drogowy, ale pościg zakończył się fiaskiem: niebezpieczne auto jakby zapadło się pod ziemię.

Spence otrzymywał też późnym wieczorem głuche telefony. Mogły to być figle młodych łobuziaków, albo coś innego. W sumie jedniuc incydenty nie dowodziły jeszcze w sposób jednoznaczny, że to mafia usiłuje go zastraszyć, zmusić do rezygnacji, aby na jego miejsce wprowadzić swojego człowieka. Spence wiedział skądinąd, że taki kandydat istnieje i jest gotów w każdej chwili wyjść z cienia, gdyby obecny prokurator zdecydował się przejść na wcześniejszą emeryturę.

Mogło się wydawać, że Joe Ed Malone ma wszelkie dane po temu: dobre wykształcenie oraz wysoką pozycję polityczną i społeczną. Cóż z tego, kiedy jest uwikłany po uszy w mafijne interesy. Spence trzymał obciążające go materiały w osobnej teczce, której zawartości wolał na razie nie ujawniać, ponieważ mogła rzucić cień na paru lokalnych prominentów.

Klimatyzator pracował na pełny regulator, ale upał w samochodzie wciąż się wzrastał. W dodatku Spence był spóźniony, co nie poprawiało mu samopoczucia. Może jednak źle zrobił, wybierając dłuższą, chociaż spokojniejszą boczną szosę?

Zerkał nerwowo na zegarek, to znów na niebo. Czy kłębiące się nad horyzontem chmury rzeczywiście pociemniały, czy tylko tak mu się wydaje?

Dostrzegłszy przydrożną stację benzynową, postanowił na wszelki wypadek napełnić bak do pełna. Powinien był to zrobić przed wyjazdem z miasta, lecz był zanadto zaprzątnięty obmyśleniem sposobu wyciągnięcia od świadka potrzebnych mu informacji. Spence wcale nie miał pewności, czy facet powie mu coś istotnego, uznał jednak, iż musi przynajmniej spróbować. W zaistniałej sytuacji nie może sobie pozwolić na zlekceważenie żadnej sposobności zdobycia dowodów.

Po zatankowaniu benzyny Spence schował kartę kredytową do portfela, włożył portfel do wewnętrznej kieszeni marynarki, tę zaś rzucił na siedzenie pasażera, gdzie leżała jego teczka oraz podręczny magnetofon. Wyjechawszy z powrotem na szosę, ponownie włączył radio. Na częstotliwości, na której nadawano muzykę country, Willie Nelson śpiewał wdzięczną piosenkę o lecącym tuż nad ziemią aniele. Spence pomyślał sobie, że w razie nagłego pogorszenia pogody przerwą audycję dla nadania ostrzegawczego komunikatu.

Od wyjazdu ze stacji benzynowej upłynęło może pięć minut, kiedy spojrzawszy w niebo, dostrzegł napływającą z przeciwka szczególnie ciemną, postrzępioną od dołu chmurę. Spence'owi ciarki przeszły po plecach. Gwałtownie nadepnął na pedał gazu. Komunikatu ostrzegawczego wprawdzie nie nadano, ale gdyby miało dojść do najgorszego, lepiej jak najszybciej znaleźć się w niezbyt może sympatycznym, ale za to solidnie zbudowanym budynku więziennym niż na otwartej szosie, wokół której rozciągają się jedynie puste pastwiska. Czarne chmury nie wróżą nic dobrego, są jednak niczym w porównaniu z czarnymi chmurami o zielonkawym odcieniu, zwiastującymi śmiertelne niebezpieczeństwo.

- O Jezu! - wyszeptał.

Pędząca wprost na niego czarnozielona chmura przybierała nieomylny, złowieszczy kształt wirującego lejka.

W tym samym momencie Spence dostrzegł chłopca z rowerem na poboczu jakieś sto metrów dalej. Dzieciak stał jak skamieniały, wpatrując się okrągłymi z przerażenia oczami w zbliżającą się trąbę powietrzną. Spence ani chwili się nie zastanawiał. Momentalnie zdjął nogę z gazu, z całej siły nadepnął na hamulec i -niemal jednocześnie otworzył drzwi samochodu.

- Padnij na-ziemię! - ,wrzasnął, przeskakując przez maskę auta i dając susa w kierunku znieruchomiałej postaci. Chromowany dekiel, niesiony przez wiatr nie wiadomo skąd, przeleciał Spence'owi koło głowy. - Skacz do rowu! Szybko! - zdążył krzyknąć, rzucając się na chłopca z rozpędu, który powalił ich obu do biegnącego wzdłuż drogi odwadniającego rowu. Natychmiast po tym uderzyła go w twarz i oślepiła ściana piasku.

Ogarnął go nagle dławiący mrok. Ciało Spence'a przeszył ostry, nie umiejscowiony ból. Potem był już tylko huk i nieprzenikniona ciemność. Pierwszą jego myślą było, że stracił wzrok. Później zaczęły stopniowo wracać strzępki świadomości.

Dzieciak mogący mieć osiem albo dziewięć lat... na poboczu... chłopiec z rowerem. Męski, nosowy głos śpiewający piosenkę ... piosenkę o czymś ...

Leżąc na pół zatopiony w błocie, nie próbował na razie zgłębiać sensu chaotycznych obrazów i wrażeń. Miał niejasne poczucie, że prędzej czy później coś w jego mózgu zaskoczy, pozwolą mu się zebrać w sobie, wstać i podążyć do ...

Dokądś.

W ciszy, jaka nagle zapadła, usłyszał kobiecy głos. Kobiecy krzyk. I płacz.

Potem ciche kwilenie. Psa? Dziecka? Może własne?

W kaźcym razie nie był to na pewno głos Willi ego Nelsona, bo ten pamiętał. Coś jednak pamięta. Dobry początek.

Coś boleśnie otarło mu twarz.

Anioł lejący zbyt nisko nad ziemią.

- Proszę przez chwilę nie otwierać oczu. Muszę najpierw oczyścić panu twarz z błota.

Podniósł powieki. Błoto dostało mu się do oczu, które zaczęły łzawić. Dopiero po chwili ujrzał zmizerowane oblicze pochylonego nad nim anioła. Anioł trzymał w ręku brudną ścierekę.

- Prosiłam, żeby nie otwierał pan oczu - skarcił go kobiecy głos.

Chciał coś powiedzieć; zakrztusił się, wypluł z ust jakieś paskudztwo. Błoto. Leży na boku w przydrożnym rowie.

Co ja robię, do cholery, w rowie?

Nie wiadomo skąd, przypomniało mu się wołanie: "Skacz do rowu! Szybko!"

A więc to ten rów. Nie przewidział tak twardego lądowania. Aha, był jeszcze chłopiec z rowerem. Ten sam, który siedzi teraz nieopodal na ziemi z pobladłą, umazaną błotem buzią. Po rowerze ani śladu. Dokoła walają się tylko nieokreślone odłamki jakichś przedmiotów.

Przewrócił się na plecy, chcąc przyjrzeć się kobiecie, lecz jej rysy były dziwnie zamazane; może śmiertelni-

kowi nie jest dane oglądać twarzy anioła, a może po prostu widzi ją na tle nieba.

Kobieta zaczęła mu na nowo ocierać twarz z błota.

- Co pani robi? - wykrztusił z siebie. - To boli.

A zaczynało go boleć jak cholera. W różnych częściach ciała.

- Mamo, a co z końmi? - To głos małego.

- Nic im się nie stało. - To głos anioła.

Rozpaczliwie im się przypatrywał, jakby miał nadzieję, że widok realnego chłopca i realnej kobiety pomoże mu odzyskać własną, wciąż nie dającą się, pochwycić umysłem rzeczywistość.

- Mamo, czy z nim bardzo źle?

- Mam nadzieję, że nie, mój skarbie. Chodź, pomożesz mi go podnieść. Czy potrafi pan stanąć na nogi? - Ostatnia odzywka, wypowiedziana miłym dla ucha kontraltem, była skierowana nie do "mojego skarba", tylko do niego.

Czyjeś ręce chwyciły go pod ramiona, a jednocześnie poczuł jakby zapach cynamonu, co było interesujące, bo wcześniej czuł wokół siebie jedynie zapach błota.

Kiedy próbował się poderwać do siedzącej pozycji, lewą nogę, od kolana po pachwinę, przeszył przeraźliwy ból.

- Zostawmy go, skarbie. Chyba będziesz musiał wezwać pomoc.

- Mamo, ale jak? Porwało mi rower.

- To idź do domu i zadzwoń pod numer 911.

- Ale przecież ...

- Gdzie ja mam głowę? - westchnął anioł. - Na pewno pozrywało linie telefoniczne. Co my teraz zrobimy?

Już miał powiedzieć, żeby zadzwoniła z jego telefonu komórkowego, lecz zdał sobie sprawę, iż telefon znajduje się w samochodzie a w pobliżu nie było widać żadnego pojazdu. Co się stało, u diabła, z jego samochodem? Ale czy aby na pewno jechał samochodem?

Tak, na pewno. W przeciwnym razie jak by się znalazł tutaj, w szczerym polu? Musiał dokądś jechać.

Dokądś się spieszył. Tak, ale dokąd? Rozpaczliwy wysiłek, aby sobie przypomnieć cel swej podróży, stłumił na chwilę dojmujący ból w nodze.

- Muszę sprawdzić, czy sobie czegoś nie złamał usłyszał głos kobiety anioła. Opuściwszy na powrót powieki, poddał się biernie jej zabiegom. Ona tymczasem obmacywała mu boki, stopniowo przesuując ręce w dół jego ciała. - Proszę się nie obawiać, parę lat temu przeszłam kurs pierwszej pomocy - uspokoiła go.

Syknął z bólu, kiedy dotknęła jego lewego kolana. - Nie widzę żadnego złamania, ale lewe kolano wydaje się mocno spuchnięte, chyba że ... - Tu urwała nagle, wyraźnie przestraszona. - Mam nadzieję, że nie zrobiłam nic złego, przewracając pana na bok. Ale musiałam wydobyć Pete'a, bo leżał pod spodem w błocie i mógł się utopić.

- Proszę chwilę poczekać - wycedził przez zęby. Spróbował ostrożnie poruszyć palcami u rąk. Nieźle. Podobnie wypróbował stawy w nadgarstkach, łokciach i ramionach. Górne kończyny zdawały się normalnie funkcjonować, choyiaż bolały jak jasna cholera.

Anioł wspanillał coś o zalegających dno rowu kamieniach. Zapamiętam to sobie. _pomyślał z ponurą ironią, i następnym razem upewnię się najpierw, czy dno rowu nie jest kamieniste.

Przy próbie podniesienia lewej nogi poczuł gwałtowny ból.

- Mogłaby pani sprawdzić, czy kości nie wystają z ciała?

Kobieta posłusznie pochyliła się nad jego nogą. Widział wyraźnie, że ma łyzy w oczach. Fakt, iż jego stan wycisnął łyzy z oczu anioła, bynajmniej nie napawał optymizmem.

- Nie, chyba nie jest złamana, najwyżej skręcona orzekła po chwili dobra opiekunka. - Musiał się pan na czymś potknąć, bo kostka też wygląda na zwichniętą. Pełno tu połamanych gałęzi. To pewnie pana but leży tam dalej, przyciśnięty odłamany konarem drzewa. Pete, spróbuj go wyciągnąć.

- Lewe kolano i lewa kostka - mruknął. - Dobrze przynajmniej, że prawą nogę mam całą. W przeciwnym razie musiałaby mnie pani zastrzelić, żebym się nie męczył.

- Niech pan nie gada głupstw. Proszę leżeć spokojnie. Muszę chwilę pomyśleć.

Posłuchał oczywiście, zresztą nie miał wyboru. Poza wspomnianymi przez anioła uszkodzeniami lewej nogi miał na czole nad lewą skronią guz wielkości pomidora, który sam sobie wymacał.

Zapewne znowu stracił przytomność, bo nie pamiętał, jakim sposobem został przeniesiony tam, gdzie znajdował się w obecnej chwili. Anioły mają chyba swoje sposoby. Co prawda nie przypominał sobie, żeby słyszał muzykę harf ani by był niesiony na skrzydłach. Pamiętał natomiast daleki ryk syren alarmowych, potem szczekanie psa w oddali, a jeszcze później, żalostny płacz dziecka. Teraz ten ostatni dźwięk na szczęście ustał. Zastąpiło go gorączkowe gadanie chłopca o tym, jak bardzo się bał i jakie niesamowite wrażenie robią połamane drzewa.

Nim zdołał się skoncentrować na czymkolwiek poza własnym bólem, dotarli przed skromny farmerski dom, otoczony z trzech stron drewnianym płotem.

Wspólnymi siłami chłopiec i kobieta zdołali go jakimś cudem wnieść na frontową werandę. Nie pamiętał dokładnie, na którym etapie męczeńskiej podróży zdał sobie sprawę, iż jego anioł stróż jest tylko kobietą. Wieziony w uwłaczającej jego męskiej godności pozycji na brzydko pachnącej taczce, odzyskał na moment przytomność na tyle, by przyjrzeć się jej twarzy. Nie była uderzająco piękna, ale zrobiła na nim miłe wrażenie, może dlatego, że miał neodpartą potrzebę uchwycenia się czegoś pozytywnego.

- Dajcie mi chwilę odpocząć - powiedział z trudem.

Siedział na najwyższym stopniu werandy i podtrzymując rękami lewą nogę, starał się zapanować nad przeszywającym bólem. Z mroków pamięci do jego świadomości, która nadal nie chciała właściwie funkcjonować, docierały jakieś ulotne, nie skoordynowane strzępki myśli i obrazów. Mundury... półautomatyczna broń ... ?

Miał uczucie, jakby jego głowa była kulą, którą wystrzelono z armaty.

- Nie wiem, jak panu dziękować - powiedziała kobieta, klękając przed nim na werandzie.

Zmrużył oczy, by lepiej ją widzieć. Chociaż była przemoczona do suchej nitki i ociekała błotem, widać było, iż ma znakomitą figurę. Musiałby być nieboszczykiem na marach, by tego nie zauważyć. A reszta? Zielone oczy, kasztanowe włosy, twarz nie tyle ładna, co ciekawa i niezmiernie ujmująca. W sumie kobieta, na którą na ulicy nie zwróciłby uwagi. Ale ma w sobie coś ...

- Czy my się znamy? - spytał niepewnie. Odczuwał neodpartą potrzebę bliskości, odnalezienia się na znajomym gruncie. A równocześnie jakiś niespokojny, wewnętrzny głos podpowiadał mu, że trzeba być nieufnym i ostrożnym. Dlaczego,?

Nie miał pojęcia.

- Nie sądzę. Nazywam się Ellen Wagner. A to mój synek Pete, któremu uratował pan życie. Nie wiem, jak panu za to dziękować, nie wiem nawet, kim pan jest.

Ma w sobie coś ... zarałem rzeczowego i eterycznego. Pociągnęła twarz, zapadnięte policzki, oczy ... smutne i znużone. Jest piękna, chociaż nie jest ładna. Najwidoczniej czeka, żeby się przedstawił. Wyteżył pamięć, lecz bramy świadomości nie chciały się otworzyć.

To musi minąć, pomyślał, czując rosnący strach. Takie rzeczy zdarzają się w lq;iążkach i w filmach, ale nie w prawdziwym życiu. W każdym razie nie jemu.

To znaczy komu?

Kiedy znów się obudził, była ciemna noc. W kącie pokoju paliło się słabe światełko - mała, udająca świeczkę lampka ledwo rozświetlająca mrok, w rodzaju tych, jakie zwykle zapala się na noc. Rozejrzał się po pokoju, który wydał mu się zupełnie obcy. Nie wiedział, czego się spodziewać, lecz żaden szczegół umeblowania nie wyglądał znajomo. Najwidoczniej nie jest u siebie. Co prawda nie pamięta wnętrza swojego domu, tutaj jednak czuje się obco.

Ostrożnie usiadł na łóżku i opuścił nogi na podłogę. Gwałtowny ból przywrócił mu pamięć.

No, niezupełnie. Przywrócił mu jedynie pamięć wydarzeń ostatnich godzin. Bo mimo zalegających jego umysł ciemności zdawał sobie sprawę, że nie mógł się urodzić w przydrożnym rowie, mając za

akuszerów bladolicą kobietę anioła i jej ośmioletniego syna.

Niech to wszystko diabli! Jest przyzwyczajony do ... Do czego? Nie ma pojęcia. Wie tylko, że nie do tego.

- Od jak dawna jestem w tym stanie? - zapytał kobietę, która weszła tymczasem cicho do pokoju. Wciąż liczył na to, że za chwilę wróci mu pamięć.

Była boso. Miała na sobie długą, białą koszulę, lecz nie miała skrzydeł ani aureoli. Złakniony informacji, chłonał łapczywie nawet drobne szczegóły. Spojrzała na zegarek. Na szczupłym, delikatnym nadgarstku nosiła duży, męski zegarek.

- Jest parę minut po jedenastej ... w nocy. W komunikacie podali, że tornado uderzyło siedem minut przed trzynastą. Budzę pana co jakiś czas, żeby sprawdzić, czy nie dzieje się coś złego. Uczono mnie, żeby tak postępować w przypadku obrażeń głowy. Nie pamięta pan?

- Ni cholery... Niczego nie pamiętam. - Widać nie zapomniał, że przy paniach nie wypada kłąć.

- Musimy się do pana jakoś zwracać. Przychodzi panu na myśl jakieś imię?

- Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to słowo łazienka. I proszę łaskawie nie nazywać mnie Johnem Smithem. Będę wdzięczny za wskazanie mi drogi do łazienki.

Na jej ustach zaigrał uśmiezek rozbawienia, a on pożałował, że nie spotkali się w przyjemniejszych okolicznościach.

Wskazała mu drzwi po drugiej stronie holu. Podpierając się krzesłem, może jakoś doku styka.

- Powinien pan oszczędzać chorą nogę.

- Coś wymyślę. - Z bolącą nogą jakoś sobie poradzi, ale jak ma poprosić o pomoc w załatwieniu elementarnej potrzeby fizjologicznej?

- Mam gdzieś w domu kulę. Chyba leży na strychu. Proszę chwileczkę poczekać, zaraz ją przynioę.

- Nie ma pośpiechu - wycedził, zaciskając zęby. Musiała się zorientować, że sprawa jest pilna, bo wróciła z kulą, nim doliczył do dwudziestu.

- Proszę - rzekła. - Jest dla pana trochę za krótka, ale lepsze to niż nic. Leżała na strychu, razem z innymi gratami po poprzednich właścicielach. Dobrze, że jej nie wyrzuciłam.

Podeszła do łóżka i pomogła mu stanąć na nogi. Kiedy brała go pod ramiona, poczuł zapach kobiecego ciała świeżo po kąpieli. Gdyby nie był tak obolały, kto wie, jak by zareagował.

Podawała mu kulę, która istotnie okazała się trochę za krótka, miał jednak nadzieję, iż przy jej pomocy zdąży dojść do łazienki, zanim narobi sobie wstydu. Podziękowawszy za pomoc, pokuśtykał jak mógł najszybciej do upragnionego celu. Będzie mógł przy okazji obejrzeć się w lustrze i może w ten sposób dowie się wreszcie, kim jest.

Twarz, którą ujrzał w lustrze po załatwieniu najpilniejszej potrzeby, równie dobrze mogła figurować na policyjnym plakacie z napisem "Poszukiwany". Znamionujący upór kwadratowy podbródek. Pokażny nos, na końcu lekko przekrzywiony w południowo-zachodnim kierunku. Wysokie czoło, ozdobione nad lewą skronią potężną, siną kulą. Wszystko to było mu tak samo obce jak pokryte szczeciniastym zarostem policzki, zlepione błotem ciemne włosy i piwne, nieufnie patrzące oczy.

Wpatrując się w oblicze nieznanego mężczyzny, miał ochotę zawyć jak kojot. Nie miał zielonego pojęcia, kim jest patrzący na niego z lustra facet.

Umył się jednak, zdołał nawet wsadzić głowę pod kran i splukać z włosów część, błota. Reszta została na różowym, puchatym ręczniku. o

Jego opiekunka czekała na niego w pokoju. Panna Wagner. Nie, pani Wag~er. Ma przecież syna. '!

Skup się, stary! Zbierz myśli! .

Jak ma się skupić i zebrać myśli, skoro jego głowa przypomina roztrzaskaną szafę! W wyobraźni mignęła mu na moment stalowoszara, metalowa szafka z szufladami na dokumenty, lecz obraz znikł, nim

zdołał go umiejscowić.

- Nie jest pan głodny? Kolację zjedliśmy parę godzin temu, ale mogłabym szybko odgrzać zupę. Rosół z makaronem.

- Poproszę o kawę. Mocną, dobrze osłodzoną, bez mleka. Normalnie nie słodzę kawy, ale w tej chwili cukier ... - Urwał, zdawszy sobie sprawę, że jednak coś mu świta. Jeżeli tak dalej pójdzie, może niedługo przypomni sobie, kim jest i skąd się wziął. Chłopak mówił, że jechał samochodem bardzo szybko, jakby cholemie dokądś się spieszył, ale może po prostu uciekał przed tornadem.

Czy ktoś go poszukuje? Żona? Rodzina? Środek transportu, który go przywiódł na miejsce' wypadku, najwidoczniej przestał istnieć. Pamiętał, że kiedy leżał w rowie, w polu jego widzenia nie było żadnego pojazdu. Nawet roweru chłopca .

- Jak mam do pana mówić? - Kobieta' czekała cierpliwie na jego odpowiedź. Cierpliwość była cechą, którą wysoko <enił, zwłaszcza u kobiet. Nie wiedział, skąd to wie, ale wiedział.

- Póki co proszę: mówić do mnie Sztorm. Może być z piorunami.

Kobieta lekko się uśmiechnęła.

- Najmocniej przepraszam, ale chwilowo zapomniało mi się parę rzeczy. Miedzy innymi pamięć wydarzeń dawnych. Proszę o cierpliwość, dopóki się nie odnajdzie.

- Pójdę zrobić kawę. Ale radziłabym też coś zjeść. Jak tylko naprawią połączenia telefoniczne, wezwę naszego lekarza.

- Mój telefon komórkowy... - zaczął, ale przerwał, nie wiedząc, co dalej mówić.

- Jeżeli miał pan komórkę, to nie w ubraniu, w którym pana znalazłam.

Teraz dopiero zauważył, że jest ubrany w pasiastą, bawełnianą koszulę i takie same spodnie, które były trochę za szerokie i za krótkie.

- Nigdy nie sypiam w pidżamie - oznajmił, czując się z jakiegoś powodu dotknięty.

- Teraz nie ma pan wyboru. Miałam pana położyć do łóżka w zabłoconym ubraniu? Pańską koszulę i bieliznę uprałam, ale krawat był tak zniszczony, że musiałam go wyrzucić. Spodnie próbowałam oczyścić gąbką, lecz wątpię, żeby dały się odratować. Tak samo buty. Wysłałam Pete'a po pański lewy but, który utknął pod konarami, ale chociaż oba wyszłofowałam mydłem do czyszczenia siodeł, chyba 'będą do wyrzucenia.

Zadumał się, próbując z otrzymanych informacji wysnuć jakieś wnioski., Było ich' kilka. Może w kieszeniach spodni znajdzie się coś, co pozwoli ustalić jego tożsamość. Choćby chusteczka z monogramem. Pół żartem zapytał:

- Nie znalazła pani przypadkiem w moich rzeczach nazwiska, adresu albo numeru identyfikacyjnego?

- Jakiego numeru identyfikacyjnego?

- Hm... telefonicznego. Zresztą nie wiem. Nic nie wiem. Szukam jakiejś wskazówki na chybił trafił.

Proszę mi pomóc.

- Przepraszam. No więc miał pan na ręku drogi zegarek, z którego, niestety, też chyba nic nie będzie. Szkiełko pękło i błoto dostało się do środka. Ale co do chusteczki, to w kieszeni spodni faktycznie znalazłam chustkę do nosa z fantazyjnym monogramem "S H" . Może "S" to imię "Sztorm", a "H" to nazwisko "Huragan"?

- Dobrze się pani śmiać. Niemniej dziękuję za wiadomość, może litery coś mi przypomną. I proszę podziękować mężowi za pożyczanie . pidżamy.

- Mój mąż nie żyje. Jestem wdową - odparła rzeczowo. - Po śmierci Jake'a nie pozbyłam się jego rzeczy. Bo ... bo nie. No to pójdę odgrzać zupę. Będzie z puszki, mam nadzieję, że to panu nie przeszkadza. A kawę przyniosę, jak tylko się zaparzy.

- Widzę, że elektryczność już jest.

- U nas światła nie było tylko przez parę godzin. Ale gdzie indziej zniszczenia są o wiele poważniejsze. Na południe od nas zmiotło dwip farmyz powierzchni ziemi. Poza tym niewiele wiem,

bo nie miałam czasu, żeby słuchać kolejnych komunikatów.

- Są ofiary śmiertelne?

- Chyba nie.

- A mogłaby mi pani przynieść radio?

- Oczywiście. Ale w tej chwili najbardziej potrzebuje pan snu. Jeżeli do jutra nabierze pan siły i będzie mógł zjeść śniadanie w jadalni przy stole, dowie się pan wszystkiego z telewizji. Może jakaś wiadomość ożywi pana pamięć.

Po jej wyjściu spróbował podsumować stan swojej wiedzy:

Wie, że żyje. A także, iż uratowała go owdowiała kobieta, której ośmioletni synek ma na imię Pete, a zmarły mąż o imieniu Jake był od niego trochę niższy i trochę cięższy. Jeśli zaś chodzi o nią samą, to pod workowatym odzieniem, które miała na sobie w dzień, i pod równie workowatą nocną koszulą kryło się nieoczekiwane zgrabne ciało.

Tyle wie na pewno. Jest tego jednak niewiele w porównaniu z tym, czego nie wie. Bezmiar niewiedzy przyprawiał go o szaleństwo. Nie wie nawet, kim jest!

Ani dokąd pędził w takim pośpiechu, kiedy uderzyło tornado. I jaką to nie cierpiącą zwłoki sprawą był wówczas zaprzątnięty, która pozostawiła po sobie niejasne poczucie niepokoju i nerwowości. Nie wie też, co się stało z jego samochodem.

Dodatkowo dręczyła go niepewność: -które z nich kobieta czy chłopiec? - zdejmowało z niego udzieź i ubierało w pasiastą pidżamę.

ROZDZIAŁ DRUGI

Było kwadrans przed północą, kiedy Ellen sprawdziła drzwi, zgasiła światło nad wejściem do domu i pomyślała o tym, żeby pójść spać. Była na ostatnich nogach. Pete na szczęście zasnął, a nieznajomy mężczyzna został nakarmiony i śpi teraz normalnym, jak miała nadzieję, spokojnym snem. Kiedy niedawno temu na chwilę otworzył oczy, przyjrzała się uważnie jego źrenicom, lecz nie dostrzegła w nich żadnych niepokojących zmian.

Ma ładne oczy, pomyślała. Na ogół nie zwracała na mężczyzn uwagi, a już na pewno nie na to, jakie który ma oczy. Po tym jednak, co zobaczyła, przebierając go w pidżamę ... W końcu jest kobietą, i nie jest ślepa.

Ziewnęła. Marzył jej się długi, ośmiogodzinny sen, choć wiedziała z góry, że nic z tego nie będzie. Za parę godzin zadzwoni budzik i będzie musiała wstać, by wyprawić Pete'a do szkoły. Później, jeżeli Booker i Clyde znowu się nie zjawią, trzeba będzie pójść wypuścić konie, po powrocie do domu posłać łóżka i pozmywać po śniadaniu, a na koniec zająć się stajnią - oczyścić boksy, umyć koryta i wykonać wszystkie inne roboty, za które ci dwaj nicponie biorą pieniądze. Najchętniej przepędziłaby obu nieodpowiedzialnych nierobów na cztery wiatry, bo i tak nie ma z nich ~;ielkiego pożytku. Niestety, nie mogła się ich pozbyć, bo są niezbędni do wykonywania cięższych prac, z którymi nie poradziłaby sobie o własnych siłach.

Odruchowo zebrała z podłogi zabawki Pete'a i podeszła do kominka, by nakręcić stojący na gzymsie zegar.

Znowu ziewnęła. Upadała ze zmęczenia. Dzień jest stanowczo za krótki, żeby pomieścić w nim wszystko, co jest do zrobienia. Ale gdyby był dłuższy, nie starczyłoby jej sił, by go w pełni wykorzystać.

Była w połowie schodów na piętro, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi.

- Kogo diabli nadali o tej porze? - mruknęła pod nosem. Ale chociaż umierała ze zmęczenia i był środek nocy, po tym, co się wydarzyło w ciągu minionego dnia, nie mogła zlekceważyć pukania do drzwi. Ona i Pete wyszli z dzisiejszej katastrofy bez większej .szkody, lecz nie wszyscy mieli tyle

szczęścia. Ktoś może potrzebować pomocy.

Włączyła z powrotem lampę na werandzie i wyjrzała przez okno. Na podjeździe stał ciemny samochód o niskim zawieszeniu, którego karoseria była wymalowana od nosa aż po tylny zderzak w faliste, płomienne wzory.

Niemal wszyscy sąsiedzi jeździli furgonetkami, tylko nieliczni mieli poza tym normalne samochody. Ale nie takie jak ten.

- O co chodzi? - Uchyliła drzwi, przytrzymując je stopą, żeby w razie czego móc je zatrzasnąć. Stara myśliwska strzelba Jake'a stała oparta o ścianę w kącie za wieszakiem. Naboje leżały wprawdzie w szufladzie komody na górze pod skarpetami, lecz włamywacz nie musi o tym wiedzieć. A poza tym włamywacze na ogół nie pukają ani nie dzwonią do frontowych drzwi.

- Dobry wieczór szanownej pani! Widzi pani, szukam, to znaczy szukamy z kumplem zaginionego przyjaciela. Odkąd przeszło tędy tornado, nikt nie widział go na oczy. Więc go szukamy, bo a nuż coś mu się stało.

Gdyby miała ostrzegawcze czułki, te drżałyby w obecnej chwili jak szalone. Tatuaze w zasadzie jej nie przeszkadzały, jak kto ma ochotę, niech się tatuuje, ale ten facet był nimi pokryty na całym ciele.

- Mówi pan, że szukacie przyjaciela?

- Tak, psze pani, szukamy kumpla. Siedzieliśmy mu na ogonie ... - Tu milczący towarzysz dał tatuowanemu kuksańca w bok, odpychając go od drzwi.

- Otóż widzi pani - odezwał się ten drugi - bardzo nam zależy, żeby go znaleźć. Nie widziała pani, czy ktoś się tutaj nie kręcił po ustąpieniu tornada?

Ellen zastanawiała się potem, co jej kazało uciec się do kłamstwa. Chyba kobiecy instynkt, połączony z właściwą matkom opiekuńczością.

- Owszem, widziałam, ale tylko pracowników elektrowni, którzy naprawiali linie na słupach. Jeden zajrzał do nas pod wieczór, żeby się upewnić, czy mamy już światło.

- A poza elektrykami nikogo pani nie widziała?

- Mógłby pan opisać tego przyjaciela?

- Ma pewnie z metr osiemdziesiąt wzrostu albo i więcej, no nie? - Facet spojriał pytająco na towarzyszącą, który energicznie pokiwał głową. - Ciemne włosy, ciemne oczy. Gdybym był kobietą, pewnie powiedziałbym, że to przystojniak. - Mężczyzna uśmiechnął się samymi ustami. Jego oczy pozostały zimne, bez wyrazu.

- Jak się wasz przyjaciel nazywa? Mężczyźni popatrzyli po sobie.

- Harrison. J.S. Harrison - odparł tatuowany.

- A panowie? - zapytała.

Faceci jakby się spłoszyli.

- Ja jestem Bill Smith, a on, hm ... Bill Jones.

A ja jestem Chinką, pomyślała. Wydawali jej się coraz bardziej podejrzani.

- Bardzo mi przykro, że nie mogę panom w niczym pomóc. Gdybym jednak zobaczyła kogoś podobnego, nie omieszkam mu przekazać, że go szukacie.

Po ich odejściu zamknęła drzwi na zasuwę i wyjrzała przez okna. Faceci jeszcze przez parę minut stali koło samochodu gestykulując, jakby się nad czymś miradzali. A może popełniła błąd? Może rzeczywiście są kumplami nieznanego?

J.S. Harrison. To w każdym razie brzmi prawdopodobnie. Kim jest człowiek, którego przyjęła pod swój dach? Gdyby był przyjacielem Smitha i Jonesa, wołałaby go tu nie mieć.

Faceci w końcu wsiedli do samochodu i odjechali. Patrząc za nimi, zadała sobie pytanie, czy nie uległa niepotrzebnej histerii. Może tak, a może nie. Ostatecznie w pokoju na parterze śpi nieznanomy mężczyzna, o którym nie wie dosłownie ni0.

Mężczyzna, który sam nie wie, kim jest. Może gdyby ich wpuściła, dowiedziałby się przynajmniej czegoś o sobie. Albo nie, pomyślała, gładząc przedramiona, które pokryły się nagle gęsią skórą.

Pod wpływem impulsu wsunęła się na palcach do pokoju na parterze, w którym spał nieznajomy. Patrząc na niego w zadumie, zadała sobie pytania: Kim jesteś? Czy źle postąpiłam, odsyłając tamtych dwóch z niczym? Czy są rzeczywiście twoimi przyjaciółmi?

Chyba jednak nie. Nazwisko J.S. Harrison zabrzmiało jej autentycznie. Ale z drugiej strony, w monogramie na chustce do nosa nie było litery "J".

Ellen pierwsza byłaby gotowa przyznać się do pomyłki. Podany przez tamtych dwóch rysopis pasuje do co drugiego mieszkańca Teksasu. Ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, smukły, ale dobrze zbudowany, brunet z piwnym oczami.

Może gdyby ich wpuściła, problemy nieznajomego zostałyby rozwiązane. Albo przynajmniej ich część. Przecież nie zrobiliby mu nic złego. Chociaż kto wie?

Wszystko jest takie niejasne i niepewne. Wiedziała tylko jedno, a mianowicie że nieznajomy mężczyzna znalazł się w swoim obecnym, oplakany stanie, ratując życie jej synowi. I że jest mu zato winna dożygonną wdzięczność. A skoro tak, to dla jej (>' dobra gotow~ jest w razie

potrzeby kłamać do upadłego.

Powie oczywiście nieznajomemu o nocnej wizycie, jak tylko minie mu ból głowy, a umysł trochę się przejaśni.. Przy okazji będzie musiała wyjaśnić, co ją skłoniło do odesłania nocnych gości z kwitkiem. Na co się powoła? Na kobiecą intuicję? Nieznajomy pewnie ją wyśmiej. Mężczyźni lubią się podśmiewać z kobiecej intuicji.

Jeżeli nawet uzna ją za wariatkę, no to trudno. Ellen często podejmowała decyzje pod wpływem nieodpartego impulsu. Tym razem mogła się pomylić, nie zmienia to jednak faktu, iż w obecnej chwili to ona odpowiada za los chorego mężczyzny, który byłby całkowicie bezbronny, gdyby dwaj podejrzani nocni goście mieli wobec niego złe zamiary.

Mężczyzna występujący pod żartobliwą ksywką "Sztorm" rozpaczliwie usiłował powiązać ze sobą płaczące mu się po głowie strzępki informacji. Jednakże wyniki tych wysiłków były mniej niż mizerne. Głowa wciąż pękała mu z bólu, postanowił jednak nie korzystać z żadnych środków. Dostyc się nasłuchał na temat fatalnych skutków używania dostępnych bez recepty leków przeciwbólowych.

Nasłuchał się? Gdzie? Od kogo?

- Skup się i myśl! - mówił sobie.

Cóż, kiedy pojawiające się przelotnie w jego świadomości strzępki rzyty czy obrazów umykały albo rozpląwały się w nicłość, ilekroć próbował je pochwycić i utrwalić. Nie mógł skoncentrować się również dlatego, że stale zapadał w sen.

Na dworze panowała czarna noc. Pamiętał mgliście, że był kilkakrotnie budzony. Pomacał ostrożnie guz na skroni i syknął z bólu. Obrażenie głowy. Wstrząs mózgu. Trzeba obejrzeć źrenice oczu.

Skąd to wie? Czy jest lekarzem?

Jego opiekunka, Ellen Wagner, zwierzyła mu się w którymś momencie ze swego niepokoju o syna.

- Wiedziałam, że wraca do domu od swego przyjaciela Joeya. Więc kiedy spojrzałam na niebo ...

Dziwne, ale rozumiał, co musiała wtedy przeżywać.

Tyłu rzeczy nie wiedział, lecz to rozumiał. Była matką, której dziecku groziło niebezpieczeństwo. Była przerażona. Nadal nie mogła ochłonąć z wrażenia. Czy fakt, iż ją rozumie, oznacza, że sam ma matkę? Albo syna?

Teraz chłopiec nareszcie zasnął. Tak mu powiedziała ostatnim razem, gdy przyszła go obudzić, aby się upewnić, czy żyje i czy nie ma objawów wstrząsu mózgu. A może mówiła o tym wcześniej, kiedy dał

się skłonić do zjedzenia rosołu z makaronem? Nie był pewien. Stracił poczucie czasu.

Dowiedział się ponadto, że został umieszczony na parterze, w dawnej sypialni zmarłego męża, którą urządziła dla niego, kiedy nie miał już siły wejść na piętro. A ponadto, iż przebywa na farrllie położonej o kilka kilometrów od miasta Mission Creek w okręgu Lone Star, w stanie Teksas.

Ostatnie informacje niewiele mu wprawdzie mów 'iły równie dobrze mogła mu powiedzieć, że znajduje się na Marsie - niemniej słowo Teksas zabrzmiało swojsko.

Kiedy za oknem zaczęło szarzyć, przyniosła mu przyhary do golenia po zmarłym mężu.

- Pomyślałam, że po ogoleniu lepiej się pan czuje. Usiadła i zaczęła opowiadać. O okolicznych farmach, których właściciele zajmują się głównie hodowlą bydła i uprawą pól. Jeżeli sądziła, że jej opowieść coś mu przypomni, to całkowicie się zawiodła. Nie wydobyła niczego z jego zamulonej pamięci. Natomiast sam dźwięk jej głosu sprawiał mu przyjemność, chociaż był mocno schrypnięty. Pewnie długo biegała po polach, wykrzykując na głos imię syna. Był dziwnie przekonany, iż należy do matek gotowych' biec dziecku na ratunek w sam środek szalejącego tornada.

Smarkacz ma szczęście.

Wcześniej, jeszcze w ciągu nocy, wyznała, że życie na farmie bardzo jej odpowiada, także ze względu na syna. Zaś z jej odpowiedzi na kilka ostrożnie zadanych pytań wywnioskował, iż musi im być ciężko. Zapewne z trudem wiążą koniec z końcem.

Co nie znaczy, że kobieta użalała się nad swoim losem. Broń boże! Jednakże ta rozmowa powiedziała mu także coś o nim samym. A mianowicie, iż potrafi wiele się dowiedzieć, zręcznie zadając pytania. I jeszcze coś. Kiedy zaczęła mu dziękować za uratowanie syna, odparł, że nie ma za co, a poza tym odpłaciła mu z nawiązką, wyciągając go z tego cholernego rowu;

O tej samej porze, w odległości paru kilometrów, między dwoma mężczyznami toczyła się ostra rozmowa. W powietrzu unosiły się opary kubańskich cygar.

- Murowane, Frank, facet jak nic wykitował. Posłałem dwóch ludzi na zwiady. Przeczesał cały teren i nie znaleźli po nim śladu. Zostały tylko szczątki jego samochodu; na szosie numer pięćdziesiąt dziewięć, zaraz za stacją benzynową.

- Skąd masz pewność, że to gabłota Harrisona?

- Mój człowiek sprawdził tablice. Zresztą w środku była jego marynarka. Wczepiła się w gałąź, która przebiła przednią szybę, i przyszpiliła się do siedzenia. Nikt by tego nie przeżył, stary! Zerwało karoserię, jedne drzwi całkiem odpadły. Została tylko kupa złomu.

Przed nimi na blacie stołu leżały nasączone wodą przedmioty: portfel, prawo jazdy, kilka kart kredytowych, legitymacja Amerykańskiego Związku Motorowego oraz dziewięćdziesiąt dolarów w gotówce. Nikt nie zgłosił zaginięcia kart kredytowych.

- Gdzie on się, cholera, podział? - burknął starszy mężczyzna, wskazując czubkiem cygara leżące na stole dokumenty.

- Przecież ci tłumaczę, że nic z niego nie zostało! Na mój rozum, ryby go teraz wtrajają w jakim stawie.

Frank DeI Brio jął okrażać pokój, od czasu do czasu strącając na podłogę popiół z cygara.

_ Przeprowadziłeś wywiad w okolicy? - zapytał, stając naprzeciw swojego towarzysza.

- Frank, przecież mnie znasz. Jak mówię, że wszystko sprawdziłem, to możesz mi wierzyć.

- Kogo posłałeś na zwiady?

- Sala i Peachesa.

- Rany boskie, człowieku! Te dwie łamagi?

- Chciałeś, żeby było szyto kryto, no nie? Sal gęby nie otwiera, a Peachesa mam w kieszeni.

DeI Brio znów zaczął krążyć po pokoju, rozsiewając popiół z cygara. Wreszcie stanął, naj widoczniej podjąwszy decyzję:

- No dobra, tym razem zdaję się na ciebie. Joe Ed ty.lko czeka na objęcie stanowiska. Ale pamiętaj, jeżeli po mianowaniu Eda na prokuratora Harrison wyskoczy skądś jak diabeł z pudełka, dopadnę cię, choćbyś się schował w mysią dziurę! A wtedy nie będzie żartów!

Ellen obudziła Pete'a i wyprawiła go do szkoły. Niewiele się dzisiaj nauczą, wszyscy będą, podminowani wczorajszym tornadem. Potem przypomniała sobie wizytę wieczornych gości i doszła do wniosku, że jak na ludzi poszukujących zaginionego przyjaciela wydawali się mało zatroskani jego losem. W o;óle wyglądali nader podejrzenie. I jeszcze ten ich dziwny pojazd. Ellen ufała w takich sprawach instynktowi. Jej mąż Jake lubił się podśmiewać z "babskiego nosa", jak to nazywał. Dopiero pod koniec życia przeJconął się, że można na nim polegać.

Niestety, poniewczasie.

A tamci dwaj od pierwszej cpwili wzbudzili jej nieufność. O ich wizycie powie nieznanemu później, kiedy odzyska pamięć. Łatwo będzie ich opisać, a jeżeli "Smith" i "Jones" są rzeczywiście jego kumplami, bez trudu ich odszuka.

Kiedy po wyprawieniu syna i wypuszczeniu koni na padok zajrzała do sypialni na dole, nieznanomy spał. Długo stała w nogach łóżka, przypatrując się śpiącemu. ileż to godzin, dni i nocy spędziła w tym samym pokoju, przy tym samym łóżku, czuwając nad śpiącym mężem z sercem przepełnionym bólem i nadzieją!

"Sztorm", który przed zaśnięciem zdążył się ogolić, wyglądał teraz o wiele młodziej, a zarazem bardziej bezradnie. Mimo trochę nieregularnych rysów, był bez wątpienia przystojny.

- Kimkolwiek jesteś - szepnęła - możesz się u mnie czuć bezpiecznie.

Kiedy następnym razem się obudzi, na pewno wróci mu pamięć. Zadzwoni po kogoś z rodziny albo znajomych, którzy przyjadą po niego, a życie jej i Pete'a wróci w dawne koleiny albo raczej do stanu, w jakim się znalazło po śmierci Jake'a.

Ellen poczuła się zmęczona na samą myśl o czekającej ją pracy. Z dwóch najętych od niedawna wędrownych parobków, Bookera i Clyde'a, niewiele miała pożytku, nawet gdy byli trzeźwi. W dodatku, wbrew zapewnieniom, nie mieli zielonego pojęcia ej pracy przy koniach. Ich zalety sprowadzały się do tego, że zgodzili się pracować u kobiety, i to za marne grosze, a pnadt od czasu do czasu wykonywali roboty wymagające dużej siły fizycznej.

Marzyła czasem, by móc beztrosko spędzić dzień na czytaniu bądź spaniu albo o wypadzie z Pete'em do miasta, do cyrku lub kina. Zwłaszcza teraz, kiedy do Bożego Narodzenia brakowało zaledwie paru tygodni.

Jake nie odziedziczył farmy po rodzicach. Postanowił sam ją stworzyć dla swego syna oraz następnych pokoleń Wagnerów. Oboje z Ellen pokładali wielkie nadzieje w zapoczątkowanej własnymi siłami hodowli koni ćwierć krwi.

Na lunch ona i nieznanomy zjedli resztki wczorajszej kolacji. Tajemniczy mężczyzna jadł niewiele, a mówił jeszcze mniej. Nie miała o to pretensji. Musi na r;zie wypoczywać. Ona też nie ma siły prowadzić konwersacji.

Dziwne, jak pod wpływem okoliczności kurczą się ludzkie plany, myślała Ellen, zmywając wieczorem w kuchni naczynia. Ze swoich dawnych marzeń zachowała tylko dwa: wychować syna na porządnego człowieka i utrzymać farmę bez pomocy ojca. Pete był dzieckiem dobrym i posłusznym, niemniej za parę lat osiągnie wiek dorastania, kiedy chłopiec bardzo potrzebuje mężczyzny, na którym mógłby się wzorować. Będzie musiała bardzo się starać, aby w miarę,możności zastąpić chłopcu zmarłego ojca.

- A o ciebie, tajemniczy nieznajomy - szepnęła - też będę się troszczyć, dopóki będzie trzeba. Jestem ci to winna.

Kiedy przed pójściem do łóżka ponownie do niego zajrzała, wciąż spał. Tym razem już go nie budziła. Od wypadku minęła ponad doba bez objawów wstrząsu mózgu. Teraz musi tylko wypoczywać, by jak najszybciej odzyskać pamięć.

Podciągnęła koldrę, która zsunęła mu się z ramion, i wierzchem dłoni dotknęła jego czoła, sprawdzając, czy nie ma gorączki. Wychodząc, zostawiła drzwi otwarte, na wypadek, gdyby czegoś potrzebował. Zupełnie jakby miała drugiego syna.

Ejże! Ellen nie umiałaby powiedzieć, jakie uczucia budzi w niej tajemniczy nieznajomy, lecz z pewnością nie były to uczucia macierzyńskie. O nie!

Jutro zacznie się pewnie upierać, że musi wstać. Mężczyźni nie lubią chorować. Uważają chorobę za słabość uwłaczającą ich męskości. Taki był Jake. Cierpiał na katar sienny, ale nigdy by się do tego nie przyznał, nawet gdy od rana do nocy kichał i zalewał się łzami.

- O Jake! - westchnęła.

Chociaż od śmierci męża upłynęły dwa lata, serce Ellen nadal krwawiło na jego wspomnienie. Często też łapała się na tym, że spodziewa się usłyszeć kroki Jake'a na ganku albo ujrzeć go przy stajni, wpatrującego się z dumą w zaczątek wymarzonej hodowli. Nie było tego wiele, ale zawsze coś: dwie roczne klacze, dwa wałachy i jeden ogier wszystko kupione za pół ceny od hodowcy, który musiał się niespodziewanie przeprowadzić w inne strony.

Wszystko mieli zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach - jak będą powiększać stado, jakie stosować metody hodowlane - nim jednak zdołali na dobre rozpocząć pracę. Jake'a stwierdzono wyjątkowo złośliwą postać raka. Zmarł zaledwie trzynaście miesięcy po nabyciu farmy.

Gdyby nie Pete, Ellen nie wiedziałyby, co z sobą począć. Powrót do rodzinnego domu nie wchodził w grę. Nie obchodziło jej, jak Leonard Summerlin przyjąłby swego wnuka, którego nie widział na oczy. Swoje stosunki z ojcem uważała za ostatecznie zerwane. Ojciec wyparł się jej, kiedy wyszła za mąż wbrew jego woli, a potem, w godzinie najcięższej próby, odmówił córce pomocy. Nigdy więcej o nic go nie poprosi.

Co nie zmienia faktu, że jeśli ojciec nie ożeni się powtórnie i nie będzie miał więcej dzieci, Pete pozostanie jedynym dziedzicem jego majątku. Czy to nie ironia losu, że Leonard Summerlin, który lubił widzieć się w roli twórcy nowej dynastii posiadaczy ziemskich, własnoręcznie niweczył w zarodku swoje życiowe plany?

Ojciec z upodobaniem wytykał córce jej liczne wady, które miała rzekomo odziedziczyć po przedwcześnie zmarłej matce. Twierdził, że Celinda Summerlin była próżna. Podczas jednak gdy Celinda odznaczała się wybitną urodą, Ellen nie miała powodu szcycić się wyglądem. Ojciec zarzucał też matce rozrzutność i niegospodarność. Ellen wiedziała jednak od najmłodszych lat, że do czasu zamążpójścia jej matka była zbyt biedna, by móc się nauczyć obchodzenia się z pieniędzmi. Pod tym względem Ellen istotnie, *wrodziła* się w matkę. Jako młoda dziewczyna nigdy nie umiała dostosować swoich wydatków do wysokości wyznaczonej przez ojca pensji. Dopiero po latach odkryła ku swemu wielkiemu zdziwieniu, że im mniej ma pieniędzy, tym lepiej nimi gospodaruje. Urzędnik z banku w Mission Creek, skąd ona i Jake wzięli pożyczkę na kupno farmy, poradził, aby większość ziemi puściła w dzierżawę, zostawiając sobie jedynie niezbędne dla wykarmienia koni pola oraz pastwiska. Jego rada okazała się dobra: zapewniała dopływ pieniędzy na spłaty pożyczki, uwalniając od niepokoju o to, czy powódź, susza albo mróz nie zniszczą plonów.

Dzięki temu rozwiązaniu udawało jej się, jak dotąd, utrzymać konie, które były marzeniem Jake'a, chociaż z początku kompletnie się nie znała na ich hodowli i wszystkiego musiała się uczyć niemal od zera. Przekonała się jednak, iż mimo swego uprzywilejowanego pochodzenia ma wiele uporu i

charakteru, odziedziczonych chyba po matce. Jaki nazywał to instynktem przetrwania.

Jakkolwiek by to nazwać - upór, twardy charakter czy instynkt przetrwania, pozwala jej pokonywać co rano zmęczenie, a często także zniechęcenie, i podejmować na nowo wiecznie ten sam trud, który wydaje się niekiedy prawie beznadziejny.

- Nie ma mowy - upierał się mężczyzna nazywający siebie Sztormem. - Wyniosę się ,stąd, jeżeli wam przeszkadzam, ale z powodu bólu głowy i zwichnięcia kostki nie dam się zawieźć do żadnego cholernego szpitala.

- Och, niech pan przestanie i da mi pomyśleć I, ~ burknęła Ellen. Przedtem kłócili się o to, ile dni upłynęło od tornada. On powiedział, że trzy. On twierdził, iż pamięta tylko jeden.

Pete uśmiechnął się pod nosem. Wrócił z dworu z gazetą w momencie, kiedy mama wyładowywała na nieznanym swoje opiekuńcze instynkty. Fajnie było patrzeć, jak trzęsie się nad dorosłym facetem zupełnie tak samo, jak to robiła z nim, kiedy zapomniał zjeść owsiankę albo przemoczył buty.

- W jednym mogę ustąpić - orzekła na koniec. Pete dobrze znał ten jej ton i tę minę. - Może pan wstać i przejść do pokoju. Na pewno umiera pan z ciekawości, co mówią w telewizji o skutkach tornada. Tylko proszę pamiętać, żeby siedząc przed telewizorem, trzymać nogę na krześle. A jeżeli jeszcze raz usłyszę, że chce się pan ślad wynosić, to ...

Pete i nieznamy z tym samym wyrazem ciekawości i ubawienia czekali, co będzie dalej.

- ... wezwę pogotowie i niech się pan wyklóca z nimi, zamiast ze mną. Nie rozumiem, co w tym takiego okropnego, że chcę wezwać lekarza! Nie wiadomo, czy w stopie nie ma jakiegoś złamania. 'Stopa składa się z wielu drobnych kości. Tak sarno jak kostka u nogi.

- Mama często ci robi takie wykłady? - zwrócił się nieznamy do Pete'a, lekko podnosząc brwi.

Mały uroczyście przytaknął.

- Jeszcze jak! - odparł. - Ale tato zawsze mi mówił, żeby się nie przejmować, bo ma dobre intencje.

- A niech was! - zdenerwowała się Ellen. - Obaj jesteście siebie warci!

- Mama zawsze tak mówi. Ale tak naprawdę wcale się na nas nie złości - wyjaśnił mały.

Nieznamy był skłonny zgodzić się z nim. Z płątaniny nie powiązanych ze sobą urywków wspomnień przedostało się do jego świadomości przekonanie, że kobiety tak właśnie postępują, kiedy osoba, na której im zależy, nie chce poddać się ich woli. Skąd ja to ~iem, do jasnej cholery? Może mam żonę? A może siostry?

Niemożność odpowiedzi na te pytania zirytowała go. Zwrócił się do Pete'a:

- Twoja mama mówi, że grasz. świetnie w szachy. Co byś powiedział na partyjkę?

- W dechę - odparł chłopiec. - Ale muszę najpierw dać koniom obrok. Booker i Clyde znowu się urzęnęli. TYLKO niech pan nie mówi mamie. Powiedziała, że następnym razem, jak, się upiją, wyrzuci ich na zbity pysk.

- Może to niezły pomysł.

Kiedy Pete wrócił ze stajni i rozłożył szachownicę, Sztorm podjął przerwany wątek. Z tego, co usłyszał, dwaj parobcy musieli być nicponiami, którzy pod żadnym pozorem nie powinni kręcić się po gospodarstwie prowadzonym przez samotną kobietę z dzieckiem.

- Oni nie tylko piją, ale i palą w stajni. - wyznał mu Pete. - Mama zagroziła: że na drugi raz przegna ich widłami.

- Dzielna kobieta z tej twojej mamy.

Mały, zajęty rozstawianiem figur na szachownicy, wzruszył ramionami. Nie podnosząc głowy, powiedział:

- Ale wie pan co? Papierosy Bookera pachną jakoś dziwnie. Inaczej niż pana Ludluma. Jakby trochę kurnikiem. I wyglądają nie tak jak normalne papierosy.

- Częstował cię nimi? - spytał mężczyzna, wychodząc pionkiem. Poczuł się nagle zaniepokojony, choć

nie bardzo wiedział dlaczego.

- Nie. Ale i tak bym nie zapalił. Obiecałem mamie. W~konując kolejne ruchy, Sztorm doszedł do wniosku, że w stajni mogą się dziać gorsze rzeczy niż zwykle pociąganie z butelki czy palenie papierosów.

W następnym ruchu Pete zabrał mu pionka.

- Jeden zero na moją! - ogłosił triumfalnym tonem.

- Słowo daję, grasz lepiej, niż myślałem - przyznał Sztorm. - Muszę się lepiej pilnować.

Proponując Pete'owi partię, zrobił to odruchowo, nie wiedząc, czy umie grać w szachy. Okazało się, że tak. Przez kilka minut grali w milczeniu. W pewnej chwili

Pete ni stąd, ni zowąd powiedział:

- To okropne, ale mama nie może przepędzić Clyde'a i Bookera, bo sami nie mamy sobie rady ze stawianiem zagród. Najgorzej jest z naciąganiem kolcellastego drutu i wbijaniem palików. Po tym, jak ostatni raz sami musieliśmy stawiać ogrodzenie, następnego dnia mama ledwo wstała z łóżka.

- A co na to wasi sąsiedzi? - zdziwił się. - Nie mogą do niektórych robót wypożyczyć wam swoich parobków?

- A gdzie tam. Nikt nie pójdzie pracować u kobiety - stwierdził mały, podnosząc znad szachownicy buzię, na której malowało się oburzenie. - Pan Ludlum, to znaczy tata mojego kumpla Joeya, mówi, że żaden szanujący się robotnik nie zgodzi się słuchać babskich rozkazów. - Wzruszywszy chudymi ramionami, Pete przesunął wieżę. - Mama ma głowę nie od parady, ale słyszałem, co ten durny Booker wygaduje na nią za jej plecami. - Na policzki chłopca wystąpiły krwawe rumieńce.

Sztorma omal nie skreśliło ze złości. Przysiągł sobie w duchu pogadać z tym łajdakiem Bookerem, jak tylko odzyska siły. Złość wzmogła w nim poczucie frustracji z powodu fizycznej i umysłowej niemocy. Instynkt podpowiadał mu, że nie jest przyzwyczajony do bezczynności. Drażył go nieokreślony, prawie gorączkowy niepokój.

Co może być tego przyczyną? Może jest zbiegłym przestępcą? Może trudnił się przewożeniem narkotyków? Niedaleko stąd biegnie granica. Z zalegającego umysł mroku wyłoniło się wspomnienie stanowego więzienia.

Wyłoniło się, zapaliło na moment jak świętojański robaczek, i natychmiast zgasło.

- Koniec zabawy! - oświadczył Pete. - Przepraszam, ale na mnie pora. Muszę pomóc mamie zaprowadzić konie do stajni. Booker-i Clyde wyjadują bele siana

z platformy.

_ No to leć, powodzenia. Skończymy później, jak odrobisz lekcje.

Upłynęło kilka dni. Bezczynność coraz bardziej dawała mu się we znaki. Nadal odczuwał ból głowy, który jednak stawał się coraz łagodniejszy. Odrzuciwszy z pogardą kulę, pokuśtykał do salonu i opadł na kanapę. Kolano wciąż dawało o sobie znać, ale tylko kiedy zbyt gwałtownie skreślił nogę, a stopa wyraźnie stęchła i prawie nie dokuczała, pod warunkiem, że jej zanadto nie forsował.

Ale chyba największą przykrość sprawiało mu chodzenie w cudzym ubraniu. Marzył, by znaleźć się wreszcie we własnym mieszkaniu i włożyć na siebie własne rzeczy. Czy nikt nie zgłosił jego zaginięcia? Przecież ma chyba jakąś rodzinę albo współpracowników.

Nikt nie jest samotną wyspą. Kto to powiedział? Skąd to powiedzenie przyszło mu do głowy? Nieustanna niepewność doprowadzała go do wariactwa. Dlaczego nikt go nie szuka? Czy ma gdzieś żOPę, która szaleje z niepokojem? Chyba nie. Na jego palcach nie było nawet śladu po obrączce.

Natomiast Ellen nadal nosiła prostą, złotą obrączkę. Miała kształtne, choć pokancerowane i szorstkie od pracy dłonie. Sztorm czuł instynktownie, że jego żona, gdyby był żonaty, miałaby gładkie, upierścienione ręce.

Skąd mu się wzięło takie odczucie? Prawdę mówiąc, ręce Ellen bardzo mu się podobały. Były mocne, zręczne, a zarazem bardzo kobiece. Takie jak ona, cała.

Z wcześniejszych reportaży telewizyjnych dowiedział się, że tornado, które parę dni temu przetoczyło się przez południowo-zachodni zakątek Teksasu, szczęśliwie ominęło najgęściej zaludnione rejony. Najbardziej ucierpiała południowo-wschodnia część okręgu o nazwie Lone Star.

Okręg Lone Star. Skądś zna tę nazwę. Ale równie dobrze mógł ją zapamiętać z tablicy drogowej. Może tylko przejeżdżał tędy ...

Jadąc dokąd? I skąd?

Zaklął na głos. Zrobił to w sposób naturalny. Co jeszcze przychodzi mu w sposób naturalny? Łatwy kontakt z chłopcem? Z kobietą?

Ponownie wrócił myślami do Ellen Wagner. Wspomnił jej szczupłą, opaloną twarz i bladozielone oczy; łagodny, ale stanowczy ton, jakim zwracała się do syna; delikatny, ale zdecydowany dotyk jej dłoni na jego czole, kiedy myślała, że śpi. Uspokój się, stary! Masz i bez tego dosyć kłopotów.

Na ścianie nad półką z książkami zauważył wykonany dziecinną ręką, wzruszający rysunek stadka koni na zielonej łące, podpisany przez fete'a literami wielkości samych koni.

Czy jego matka też wieszala na ścianie jego rysunki, kiedy był mały? Czy on też w dzieciństwie rysował?

Ludzie, ruszcie się! Jeżeli mam jakichś bliskich, niech mnie ktoś wreszcie odnajdzie! Ta zabawa w ciuciubabkę staje się z każdym dniem coraz bardziej uciążliwa ...

Włączył telewizor. Na kanale CNN szły wiadomości.

Znowu mówią o OPEC i Bośni.

Znowu? przeczuciwszy się na inny kanał, usłyszał nazwisko Mercado, ale zaraz potem weszły reklamy.

Mercado, Mercado. Coś mu to mówi. Ściszył telewizor i sięgnął po gazetę. Przerzucając kolejne strony, natrafiał chwilami na swojsko brzmiące nazwy. Na próżno jednak wyteżał mózg. Na szpalcie sportowej nagłówek anonsował mecz golfowy w podmiejskim klubie.

Mecz golfowy w klubie Lane Star.

_ No dalej, wysil mózgownicę! - mruknął do siebie.

Czuł, że w jakimś zakątku mózgu siedzi przyczajona odpowiedź, która jednak żadną miarą nie może się wydostać na światło dzienne. Zamykał oczy, myśląc, że w ten sposób lepiej się skoncentruje, lecz nic z tych zabiegów nie wynikało. Doprowadził się z rozpaczy niemal do łez.

ROZDZIAŁ TRZECI

Niech żyją soboty! Zostawiwszy Pete'owi dokończenie obrządku przy koniach, Ellen weszła w południe do domu, by przygotować lunch. Szybkimi, zręcznymi ruchami kroїła pomidory i słodką teksańską cebulę na sandWicze.

Clyde zjawił się koło dziesiątej, cuchnąc jak gorzelnia.

Powiedział, że Booker nie przyjdzie, bo boli go głowa. - Spił się i ma kaca - gniewnie stwierdziła Ellen. - Ale to jeszcze nie powód, żeby się migać od pracy. Mielście dzisiaj naprawiać ogrodzenie.

- Między nami mówiąc, paniusiu, nic mu tam nie jest - konfidenicznym tonem zauważył Clyde, uśmiechając się do niej oblesnie. Nie pierwszy raz tak się do niej zwracał, ale musiała to znosić, bo nie miała wyjścia.

- Jestem, mam, gdzie Sztorm? - Pete wpadł do kuchni jak burza, wnosząc ze sobą zapach słońca i koni. - Ogląda południowe wiadomości. Ułożyłam mu poduszki na kanapie, żeby mógł oprzeć nogę ...

Obejrzeni się, słysząc dobiegający z pokoju dziwny hałas - głuchy łomot, a potem stłumiony jęk.

_ O mój Boże! - Ellen wybiegła z kuchni, pospiesznie wycierając ręce w poły luźnej koszuli i zderzając się w przejściu z Pete' em.

Sztorm leżał w pokoju na podłodze, sennie przecierając oczy.

- Co się stało?! Nic pan sobie nie zrobił?! - wykrzyknęła, przykucnąwszy obok niego na dywanie.

- Nic mi nie jest. Tak się tylko zabawiałem - wymamrotał. - Musiałem zasnąć i przez sen stoczyłem się z tej przeklętej kanapy. Przepraszam, synu, przejęczyłem się - dodał, zauważywszy Pete'a.

_ Nie ma za co, znam gorsze słowa - z powagą odparł mały, nachylając się nad nim i biorąc go pod pachy. _ Zeby pan słyszał, jak Booker przeklina naszego ogiera Zeusa ...

_ Pete, wystarczy - zdecydowanie ucięła Ellen. Kiedy postawili go do spółki na nogi, Ellen zaproponowała, by od razu poszedł do kuchni na lunch.

_ Usiądzie pan na krześle, a nogę oprze na stołku - dodała.

_ Dzięki za troskę, ale nie potrzebuję żadnego stołka _ odparł. Tak było za każdym razem, gdy Ellen okazywała mu zbytnią opiekuńczość. Uprzejmie odmawiał, przepraszając, że przysparza jej tyle kłopotu.

Tymczasem krzątanie się wokół nieznanego w gruncie rzeczy sprawiało jej przyjemność. Miło jest mieć w domu towarzystwo dorosłego człowieka. A Pete też najwyraźniej go polubił .

Kiedy Sztorm dokuśtykał do kuchni, tylnymi drzwiami wszedł do niej niechłujny osobnik w postrzępionych dzinsach i brudnej koszuli.

- Poznajcie się - wycodziła Ellen, - To jest Clyde, a to pan Sztorm. Clyde, pewnie chciałbyś umyć ręce - dodała, spoglądając znacząco na umorusane łapy swojego pracownika.

- Tak jest, paniusiu. - Clyde zniknął w przylegającej do kuchni łazience, lecz mycie rąk zajęło mu zaledwie parę sekund.

- Pan cheba nie z tych stron. Jakoś se pana nie przypominam - zauważył, spoglądając ze znaczącym uśmiechem na Ellen i nieznanego.

- Pan Sztorm przyjechał do nas z wizytą - burknął Pete.

- Najmocniej paniusie przepraszam! - Ellen ostentacyjnie zmiatała z podłogi naniesiono przez Clyde'a błoto. - Pikny widok, nie ma co - mruknął, łypiąc pożądliwie na siedzenie swej pracodawczyni, gdy ta pochyliła się, odkładając szczotkę i szufelkę na dół szafki.

Sztorm pochwyił spojrzenie Pete'a. Chłopiec był wściekły i zażenowany, ale za mały, by się facetowi postawić. Sztorm uznał, że mimo braku siły przynajmniej utrże łajdakowi nosa.

- Co się tak panu spodobało? - spytał z zimnym uśmiechem.

Nie podskakuj, ostrzegł go wewnętrzny głos. Wobecnym stanie nie możesz nawet dać bydłakowi w mordę, nie mówiąc już o zastąpieniu go w pracy, jeżeli poczuje się obrażony i odejdzie.

- Przepraszam, że nie ma nic więcej, ale od kilku dni nie miałam czasu pojechać po zakupy - usprawiedliwiła się Ellen. - Podobno z magazynu przy supermarkecie zerwało kawał dachu.

- Z kościelnej wieży też! - z dziecinnym zapałem zawołał Pete. - Joey mi mówił, że czubek iglicy rzuciło aż pod dom pani Williams.

Nakładali na chleb wyłożone przez Ellen produkty, popijali sandwiche mrożoną herbatą i rozmawiali o szkodach wyrządzonych przez tornado, o których nadal napływały nowe wiadomości. Clyde na szczęście niewiele mówił, lecz i tak nieprzyjemnie zaznaczył swoją obecność, odzywając się z gębą pełną jedzenia. Sztorm już za to wyrzuciłby go na zbity pysk.

- Ależ wyrósł panu paskudny guz na głowie! - zauważył Clyde w pewnym momencie.

Sztorm nie wiedział, jak zareagować. Będąc w wieku Pete'a, odparłby pewnie: "Ależ wyrósł ci paskudny guz na karku! To ma być głowa?"

W najwyższym stopniu zirytowany, przeprosił, wstał od stołu, po czym odniósł swój talerz i szklanekę do zlewu. Dostrzegłszy w oczach Ellen niepokój, miał ochotę powiedzieć: "Jestem może częściowym

inwalidą, ale choć tyle potrafię zrobić", powstrzymał się jednak ze względu na obecność Clyde'a i Pete'a.

Zanim opuści ten dom, obiecał sobie w duchu, musi jej się w jakiś sposób odwdziżyć za wszystko, co dla niego zrobiła. Za to, że wyciągnęła go z tamtego rowu, zabrała do domu, położyła do łóżka, a potem karmiła, leczyła i opatrywała mu rany. Na wspomnienie dotyku jej chłodnych rąk jeszcze dziś zaczynało mu się kręcić w głowie. A zważywszy jego ówczesny stan, sposób, w jaki reagował na tamte zabiegi, graniczył z wariactwem.

Zadała sobie trud, by uprać jego ubranie, buty, nawet bieliznę. Okazało się, że w chwili wypadku miał na sobie jedwabną bieliznę. Jacy faceci noszą jedwabną bieliznę? Może jest fircykiem z Hollywood? A może narkotykowym baronem?

Nie, co to, to nie. Nie wie co prawda, kim jest, lecz to nie znaczy, że nie czuje, ki'm na pewno nie jest.

W obecnej chwili miał na sobie dzinsy nieżyjącego męża Ellen, które były na niego trochę za obszerne w pasie i trochę za krótkie. Zamiast ściągnąć je paskiem, opuścił spodnie na biodra. Pete uznał, że tak jest "fajowo".

Własne spodnie, albo raczej to, co z nich zostało, obejrzał dokładnie w poszukiwaniu jakiegokolwiek wskazówek. ki zdolnej ożywić jego pamięć. Nie znalazł niczego konkretnego, nie miały nawet metki z marką. Były natomiast ze świetnego materiału i znakomicie uszyte.

- Zawsze zapraszasz robotników na posiłki do domu? - zapytał, kiedy zostali w kuchni sami. Podczas gdy Ellen zajmowała się zmywaniem naczyń, Sztorm odstawił na miejsce musztardę i majonez, a potem tak długo otwierał i zamykał szafki, aż znalazł półkę, na której należało umieścić sól i pieprz.

- Ich poprzednik, pan Caster, zawsze z nami jadał odparła po długiej chwili. - Był bardzo przyzwoitym człowiekiem. Pete go uwielbiał. Po kupieniu rancza mieliśmy zamiar przerobić szopę na mieszkanie i dobudować do niej łazienkę, żeby pan Caster nie musiał codziennie dojeżdżać do pracy. Niestety, nigdy nie starczyło na to czasu.

Resztę sam sobie dopowiedział: najpierw brakowało czasu, a potem - pieniędzy. Na podstawie niejasnych aluzji Sztorm zdążył już stworzyć sobie względnie pełny obraz finansowego położenia Ellen i Pete'a Wagnerów.

- Booker i Clyde są u mnie dopiero od kilku tygodni. Pod koniec września pan Caster musiał odejść, bo urząd podatkowy zaczął mu deptać po piętach. Zresztą artretyzm coraz bardziej dawał mu się we znaki i nie mógł już tak ciężko pracować. Oczywiście sam nigdy by się do tego nie przyznał. Dałam ogłoszenie, ale okazało się, że wszyscy fachowi robotnicy mają już stałe zajęcie. Kiedy zgłosiło się tych dwóch ...

- Wałkoni - wtrącił.

- Łagodnie mówiąc. No więc kiedy się zgłosili, byłam już w takiej rozpacz, że nawet nie pytałam o referencje z poprzedniego miejsca pracy.

Była doprawdy zbyt łatwowierna. Czego najlepszym dowodem fakt, iż przyjęła pod własny dach kompletnie obcego mężczyznę, znalezionego w przydrożnym rowie. Nie tylko przyjęła pod własny dach, ale otoczyła troskliwą opieką. Skąd mogła wiedzieć, czy nie jest bandziorem albo zabójcą? Gdzie jest powiedziane, iż bandziory czy zabójcy nie mogą paść ofiarą tornada?

- Trzeba było wezwać pogotowie, zamiast wyciągać mnie z rowu - oświadczył.

Ellen tylko wzruszyła ramionami. Sztorm przysiągł sobie, że minimum tego, co w przyszłości musi dla niej zrobić, to dopilnować, żeby ci dwaj udający robotników łajdacy nie wyrządzili jej krzywdy.

- Kobieta w twojej sytuacji, zwłaszcza jeżeli ma małe dziecko, powinna uważać, kogo sprowadza do domu.

Popatrzyła na niego, ale nie, skomentowała jego słów.

Pomyślał, że te same zielone oczy potrafią być raz przejrzyste jak szkło, a kiedy indziej nieprzeniknione

jak leśny mech. Zależnie od oświetlenia - albo od nastroju właścicielki.

- Przepraszam, ale muszę przeprowadzić Zeusa na większy wybieg. Trawa jest tam gorsza, ale Zeus nie lubi być długo zamknięty na małej przestrzeni.

Był to oczywisty unik z jej strony.

- Jasne, nie krępuj się. Mógłbym w czymś ci pomóc?

- Nie. Radzę zmądrzeć i oszczędzać chorą nogę, dopóki całkiem nie wydobrzeje.

To, czy zmądrzeje, dopiero się okaże. Póki co, mógłby się na coś przydać, na przykład otwierając i zamykając furtki w zagrodach. Ale pewnie bardziej jej pomoże, nie płacząc się pod nogami. Tak pomyślawszy, zajął się rozpamiętywaniem skąpych danych na temat własnej osoby.

Sądząc po wyglądzie rąk, nie mówiąc już o ubraniu, był zapewne dobrze zarabiającym pracownikiem umysłowym. Bankowcem, maklerem, może lekarzem albo prawnikiem, Zgadywanka byłaby nawet zabawna, gdyby nie była tak cholemie frustrująca. Z faktu, iż miał czyste paznokcie w chwili, gdy Ellen Wagner odnalazła go w rowie i przywlokła na ranczo, bynajmniej nie wynika, że jest szacownym biznesmenem czy pracownikiem umysłowym. Równie dobrze mógł być hazardzistą, malwersantem, alfonsiem... Lista podobnie przerażających możliwości jest długa.

- Skup się, człowieku! Wysłil tę swoją głupią mózgownicę! - powtarzał sobie po raz nie wiadomo który. - Jakie słowa, zwroty, porównania, obrazy najłatwiej przychodzą ci do głowy?

Pewne zwroty i wyobrażenia, które naturalnie mu się nasuwały, pozwalały wnioskować, że jakkolwiek sam chyba nie jest aferzystą, to jednak świat przestępczy nie jest mu obcy. Pierwsze, co przyszło mu do głowy, to zawód policjanta.

Policjant, nawet policjant wysokiej rangi, który chodzi w szytych na miarę ubraniach i jedwabnych gaciach? No nie! Chyba że jest policjantem skorumpowanym. Wynikające stąd ewentualności podnoszą włosy na głowie.

Dzień czwarty. Tak odmierzał obecnie mijający czas. Nie znając ani swojej przyszłości ani przeszłości, mógł jedynie uchwycić się chwili obecnej i w niej szukać ratunku. Odkrył przy okazji, że cierpliwość nie jest jego mocną stroną. Tłumaczył sobie, że każdy na jego miejscu straciłby cierpliwość, ale było to słabe pocieszenie. Natomiast Ellen utrzymywała, że Sztorm zachowuje się jak typowy tępotłowy.

Nie był pewien, co dokładnie miała na myśli, ale jeżeli chodzi jej o to, że prawdziwy mężczyzna nie lubi objąć się po domu, nie mając nic do roboty poza zamiataniem podłóg, wycieraniem kurzu i śłaniem łóżek, które to zajęcia domowe zgodziła się, acz niechętnie, scedować na niego od wczoraj - to jest gotów przyznać jej stuprocentową rację.

Proponowała kilkakrotnie, że pojedzie do miasta i popyta ludzi, czy nie słyszeli o zaginionym bez wieści mężczyźnie. Chciała nawet zamieścić ogłoszenie w lokalnej gazecie. Zaczęli na ten temat żartować.

- Gdzie byś je zamieściła? W dziale ogłoszeń o zaginięciu psów i innych zwierząt domowych?

- Czemu nie? Dobrze ułożony, przyuczony do porządku ... na moje oko chyba szczepiony przeciw wścieklicznie.

Spodobała mu się jej riposta, a zwłaszcza towarzyszący jej wyzywający uśmiezek. Ni stąd, ni zowąd stanęli naprzeciw siebie w drzwiach kuchni, tocząc zaimprovizowany mecz sparingowy oto, które pierwsze się podda. Rozpętała się między nimi jakaś zwariowana walka oczami nie wiadomo o co, którą wywołała, i podsycala, jego niespodziewana, naj zupełnie niestosowna reakcja na fizyczną bliskość Ellen.

Błahy spór o ogłoszenie sprawił, iż poczuł nagły przyływ adrenaliny, napięcie wszystkich nerwów i wzmoczenie doznań. Jego piwne oczy wwiercały się przez długą chwilę w niepochwytnie, zielone oczy Eben, szukając w nich oznak słabości.

Lecz nie chodziło przecież o udowodnienie, kto w tym sporze jest słabszy, a kto mocniejszy. Sztorm

opamiętał się i zarcikiem rozładował napięcie. Niemniej na krótką chwilę zwykle przekomarzenie się przeszło w coś znacznie poważniejszego.

Nie zgodził się na ogłoszenie miejsca jego pobytu w gazecie. Także później, ilekroć EBen proponowała wspólny wypad do miasta, gdzie mógłby rozpoznać coś czy kogoś znajomego, wykręcał się od wyjazdu pod byle pretekstem - bólem głowy, stopy albo kolana, chociaż noga prawie mu już nie dokuczała.

Tak naprawdę ...

Tak naprawdę nie wiedział, dlaczego w ten sposób postępuje. Wiedział tylko, że w tym domu czuje się bezpiecznie. Wolał nie ryzykować konfrontacji ze światem zewnętrznym, póki nie będzie wiedział, co go tam czeka i nie odzyska pełnej sprawności, zarówno fizycznej, jak i umysłowej. ,

- Wiesz co? A może poszłabym dowiedzieć się w bibliotece, czy nie mają jakichś materiałów na temat amnezji? - zaproponowała Ellen pewnego dnia.

- Bardzo ci dziękuję, ale nie ma potrzeby. Odkąd ustąpiły bóle głowy, pamięć mam coraz lepszą.

Co było tylko częściowo prawdą. Ból głowy rzeczywiście zelżał, pozostawiając po sobie tylko rodzaj tępego ucisku. Zarazem Sztorm od paru dni zaczął pewne rzeczy ... wyczuwać. Polegało to zazwyczaj na tym, że silnie reagował na niektóre wiadomości wyczytane w prasie bądź zasłyszane w dzienniku telewizyjnym.

Teraz musi dołożyć starań, aby z tych reakcji wyciągnąć znaczące wnioski, dojść ich sensu. Wolał więc nie zamulać sobie głowy wczytywaniem się w jakieś psychologiczne bajdurzenie.

Starał się też nie przysparzać Ellen dodatkowych zajęć.

I tak zbyt wiele jej zawdzięcza. Gdy tylko odzyska władzę umysłową i będzie mógł podjąć na nowo samodzielne życie, natychmiast uwolni ją od swej obecności. A zaraz potem zastanowi się, w jaki sposób spłacić wobec niej dług wdzięczności. Mógłby, na przykład, znaleźć dwóch przyzwoitych robotników, z którymi umówi się, że będzie im po kryjomu dopłacał. Albo ustanowić fundusz na kształcenie Pete'a. Cokolwiek jednak zrobi, musi postępować niezwykle taktownie, zachowując daleko posuniętą dyskrekcję. Jak na kobietę z trudem wiążącą koniec z końcem, EDen jest osobą nadzwyczaj dumną i ambitną.

Inny sposób, to zamówić kilka koni z jej hodowli. Pytanie tylko, gdzie by je potem trzymał i co z nimi robił.

Ale takich pytań bez odpowiedzi było aż nazbyt wiele.

Dzień czy dwa później, kiedy Sztorm przeglądał starą, wyciągniętą z kosza na śmieci gazetę, Ellen, po wykonaniu porannego obrządku, wróciła z dworu z płonącymi policzkami i rozwianymi, wymykającymi się spod chustki włosami. Była wyraźnie wytrącona z równowagi. Sztorm nauczył się rozpoznawać jej nastroje po sposobie poruszania a SIę.

- A gdzie Pete? - zapytał, wstając najej widok z fotela.

- W szkole. Mamy dziś poniedziałek, jeśli chcesz wiedzieć.

- Faktycznie, wczesnym rankiem zdawało mi się, że słyszę, jak pod dom zajeżdża szkolny autobus.

- Pete nie znosi jeździć autobusem. Od roku się napraszał, żebym mu pozwoliła jeździć do szkoły rowerem. Ale teraz ...

No tak. Sprawa sama się rozwiązała. I chyba dobrze, bo nie jest rzeczą bezpieczną, żeby ośmioletni chłopiec jeździł po szosie rowerem.

- Będziesz mu mogła zafundować nowy rower? Domyślił się odpowiedzi, nim Ellen zdążyła otworzyć usta. Przecież sama się przyznała, że nie ma pieniędzy na opłacenie fachowej siły roboczej. Robi, co może, by ukryć swoją biedę, lecz tę widać na każdym kroku. Menu złożone z fasoli, makaronu i kanapek z pomidorem dowodnie o niej świadczyło.

- Może na Boże Narodzenie. Tak się bałam, nie lubiłam nawet, kiedy jeździł do Joeya. Ale z drugiej strony, mieszkamy tylko przy bocznej szosie.

- Na autostradzie też nie czyhają same niebezpieczeństwa.

- Wiem, uważasz, że zanadto się nad nim trzęsę, ale ...

- Zrobiła bezradny ruch ręką, po czym z wyraźnym zdenerwowaniem zdjęła z siebie i powiesiła ciężką wełnianą kurtkę. - Niech to szlag, tyle w życiu stracił, a ja nie mogę mu dać tego, o czym najbardziej marzy! Nic nie mów, wiem, co chcesz powiedzieć, i pewnie masz rację. Chłopak musi uczyć się samodzielności. Tylko że ... on jest wszystkim, co mi w życiu zostało. Czy to tak trudno zrozumieć? - Znowu bezradnym gestem rozłożyła swoje spracowane ręce.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, opuściła głowę i zagryzła wargi.

- Przepraszam - rzekła cicho. - Wcale me musisz tego rozumieć.

- Nie przepraszaj. To ja przepraszam. Nie mogę nawet zapłacić za własne utrzymanie, a co dopiero ...

- Przestań. To ja mam u ciebie dług nie do spłacenia. Gdyby nie ty... Pete wszystko mi opowiedział. O tym, jak stał kompletnie sparaliżowany, nie wiedząc, gdzie się schować przed tornadem. Gdyby mu się coś stało, nie wiem, co bym ze sobą poczęła.

Odwróciła się i stanęła twarzą do okna. Sztorm długo milczał, nie wiedząc, co powiedzieć. W tym, co zrobił, jeśli nawet uratował malcowi życie, nie było żadnego bohaterstwa. Działał pod wpływem czystego instynktu. Co więcej, o małego chłopca nie utopił, przygniatając go swoim ciężarem.

- Jak długo to trwa? - zapytał.

- Co jak długo trwa? - Odeszła od okna. - Odkąd u nas jesteście? Niech pomyślicie, tornado...

- Nie kiedy. .. od kiedy ...

- Od kiedy mój mąż nie żyje? Mów po prostu. Nie jestem przewrażliwioną mimozą.

Była o wiele wrażliwsza, niż okazywała. Wiedział już o tym, lecz nie mógł się zdradzić, że ją przeniknął. Na szczęście utrata pamięci nie pozbawiła go rozumu.

- Od jak dawna ty i Pete jesteście zdani na siebie?

- Jake zmarł ponad dwa lata temu. Przedtem, niemal do końca, leżał w domu. Domowa pielęgniarka nauczyła mnie ... - Ellen urwała i ponownie zapatrzyła się w okno.

A więc pielęgnowała męża w domu. To musiało być okropne, zwłaszcza skoro wiedziała, że nie ma dla niego ratunku. Lecz Sztorm nie był tą wiadomością zdziwiony.

- Kiedy Jake umarł, Pete był w pierwszej klasie mówiła dalej, jakby zdecydowała się podsumować swoją historię przed spojrzeniem w przyszłość. - Poprzednio mieszkaliśmy w Laredo. A przedtem w Dallas. A jeszcze wcześniej byliśmy w wojsku. To znaczy Jake służył w armii, ale przez cały czas rozglądaliśmy się za odpowiednim miejscem na założenie hodowli koni. Szukaliśmy czegoś z dala od miasta, ale w pobliżu dobrej szkoły.

Czekał cierpliwie na ciąg dalszy. Czuł, że Ellen musi się wygadać. Odkąd tutaj zamieszkał, nikt z sąsiadów nie zajrzał do domu, nie przyjechał zapytać, jak grzeżyła tornado. Albo nie zdążyła nawiązać przyjaźni, albo unikała kontaktów z ludźmi. Chyba jednak to pierwsze. Nie sprawiała wrażenia osoby nietowarzystkiej. Jej następne słowa potwierdziły ten domysł.

- Początkowo czułam się tutaj jak na wygnaniu. Od dzieciństwa przywykłam żyć wśród ludzi.

Podobnie było w wojsku. Ale kiedy zaczęliśmy się urządzać, wszystkie inne sprawy zeszły na drugi plan. Trzeba było jak najszybciej doprowadzić do porządku stajnię. Potem mieliśmy zająć się domem.

Słuchając, obserwował jednocześnie sposób jej mówienia, gesty, jakie wykonywała, kiedy chciała coś podkreślić. Była pełna wdzięku. I bardzo kobieca. Nawet w tej starej i bezkształtnej męzowskiej koszuli, którą wkładała zawsze przed wyjściem do stajni.

- Jake nie lubił miejskiego życia. Wychował się w nędznej dzielnicy Dallas, skąd uciekł do wojska, gdy tylko osiągnął odpowiedni wiek. Zamierzał zostać zawodowym wojskowym, ale potem poznaliśmy się i ... - Zamilkła na chwilę. - Zakochaliśmy się w sobie, a kiedy zaszłam w ciążę, Jake wystąpił z armii i przenieśliśmy się do Dallas. Pracował tam na budowie. Miał nie tylko zręczne ręce, ale i logiczny

umysł; umiał świetnie zorganizować sobie pracę. Pete to po nim odziedziczył. Boję się tylko, że odziedziczył także moją impulsywność.

Obserwował Ellen z rosnącą fascynacją. W trakcie opowiadania po raz pierwszy, odkąd los skrzyżował ich drogi, stopniowo się odprężyła, jakby odzyskiwała wewnętrzny spokój. Pomyślał, że przypomina wykluwającego się z poczwarki, rozpościerającego skrzydła motyla.

Może jest poetą, skoro taka myśl przyszła mu do głowy? Musiałby jednak być cholemię wybitnym poetą, aby móc sobie pozwolić ija ubranie, w jakim został znaleziony. Ta z kolei refleksja przypomniła mu o bardziej przyziemnych sprawach.

- Jak daleko stąd do stanowego więzienia? - zapytał. Ellen potrząsnęła głową, jakby zbudzona ze snu.

- Do więzienia? - powtórzyła. - Nie wiem, nigdy tam nie byłam. Zdaje się, że kilka kilometrów. Dlaczego pytasz?

- Sam nie wiem, skąd mi to przyszło na myśl. Chyba pod wpływem jakiejś wiadomości z gazety, która utkwiała mi w głowie - odparł. - Tonący brzytwy się chwytła dodał z uśmiechem.

Uśmiech, jakim obdarzyła go w zamian, był w jakiś nieucpwytny sposób inny od wszystkich jej wcześniejszych uśmiechów.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Po wyjściu Sztorma, który już prawie nie utykał, Ellen stała długo, patrząc za nim i próbując dojść do ładu z własnymi myślami i uczuciami. Te ostatnie oscylowały pomiędzy wdzięcznością, podejrzliwością a poczuciem winy, które wzięło się nie wiadomo skąd i którego wolała nie analizować. O tym, co nieznanemu obudził w niej przed chwilą, trzeba jak najszybciej zapomnieć. Fakty są takie, że ma wobec niego dług nie do spłacenia, a zarazem zupełnie nic o nim nie wie.

Zapytał o więzienie. Słyszała w wiadomościach, że po okolicy grasują bandy żerujące na wyrządzonych przez tornado zniszczeniach, ale te mogły się pojawić dopiero po przejściu wichury. Zresztą członkowie band nie noszą chyba tak eleganckich ubrań, jakie on miał na sobie. Z drugiej strony, nie miał przy sobie żadnego dowodu tożsamości. Czy tak podróżują przyzwoici ludzie? A ona? Czy mieszkająca z dala od ludzi, samotna matka przy zdrowych zmysłach trzyma w domu nieznanego, nie mogącego się wylegitymować mężczyznę, który twierdzi, że nie pamięta, kim jest? I odsyła z kwitkiem ludzi, którzy prawdopodobnie mogli go zidentyfikować, ponieważ nie przypadli jej do gustu?

Oczywiście, że nie. A wszystko dlatego, że od wczesnego dzieciństwa żyła pod ścisłym nadzorem, marząc o wydostaniu się ze swej złotej klatki na swobodę.

Po tym, jak jedyny syn jego bliskiego przyjaciela został porwany dla okupu, ojciec Ellen otoczył córkę ścisłą kontrolą. Otrzymała własnego ochroniarza i szofera w jednej osobie imieniem Howard, który odwoził ją i odbierał ze szkoły i wszędzie jej towarzyszył. Nie mogła się bawić ani przyjaźnić z nikim, kto nie został dokładnie "prześwietlony". To samo dotyczyło chłopców, z którymi chciała się spotykać.

Czuła się jak więzień. Pewnie częściowo dlatego jej późniejsze losy potoczyły się właśnie tak. Tamtego kwietniowego dnia urwała się jak pies ze smyczy i biegając, oszołomiona wolnością, po centrum handlowym potrafiła przystojnego marynarza, który stał przed witryną sklepu z zabawkami, zastanawiając się nad wyborem urodzinowego prezentu dla trzyletniej córeczki znajomych. Kiedy przepaszając za nieuwagę zagapiła się w niego jak sroka w gnat - na co niewątpliwie zasługiwał, i to nie tylko z uwagi na swój dopasowany mundur - marynarz zapytał, co trzyletniej dziewczynce sprawi większą przyjemność - lalka Barbie czy zestaw kosmetyków? Wdali się w dłuższą rozmowę, między innymi na temat lalek dla dzieci i dorosłych laleczek, potem Ellen pomogła mu wybrać stosowny prezent, a je
szcze później została stałą bywalczynią tegoż centrum handlowego.

Zostawiała Howarda w dziale spożywczym, sarna zaś wypuszczała się niby to na zakupy. Spotykali się z Jakiem w księgarni, gdzie było najłatwiej krążyć między półkami, nie zwracając na siebie uwagi. Oglądali okładki książek, a Jake wymyślał na poczekaniu najdziwniejsze historie. Przekonała się w ten sposób, że jest nie tylko bardzo przystojny, ale także bystry i inteligentny.

Sama potem nie umiała sobie odpowiedzieć, czy wpięrow zakochała się w wyglądzie Jake'a, czy w jego innych zaletach. Jake był bowiem szalenie opiekuńczy, nieśmiały, bardzo męski, a na dodatek zupełnie inny niż wszyscy mężczyźni, jakich dotąd знаła. Nic więc dziwnego, że chowana pod kloszem studentka drugiego roku straciła dla niego głowę.

Zaufała swemu instynktowi, który jej nie zawiódł. Mimo przepaści, jaka ich dzieliła, Jake chciał stawić czoło ojcu Ellen i oficjalnie poprosić o jej rękę. Ona jednak postawiła stanowcze veto. A to dlatego, że Leonard Summerlin nie był nie tylko wzorowym obywatelem, światowej klasy finansistą i posiadaczem licznych odznaczeń za najrozmaitsze zasługi, ale posiadał także wielu wysoko postawionych przyjaciół. Zanim by się obejrżeli, Jake zostałby służbowo przeniesiony na bieżący północny, a ją wydano by pośpiesznie za męża za pupilka ojca, jego ambitnego młodszego współpracownika, Grega Sandersa.

Tak doszło do jej ucieczki z Jakiem. Ale to Jake niezwłocznie zawiadomił jej ojca, że Ellen jest z nim, cała i zdrowa. On też informował Leonarda Summerlina o każdej zmianie ich adresu, na wypadek, jak mówił: "gdyby ojciec namyślił się i postanowił złożyć nam wizytę". Ona, rzecz jasna, wiedziała swoje. W osiem miesięcy po wyjściu za męża otrzymała od ojca list, w którym wzywał ją do opamiętania i natychmiastowego powrotu do Austin. Zignorowała ten list, podobnie jak cztery poprzednie. Jeden z nich zawierał następujący passus: "Kazałem wziąć Twojego ołowianego żołnierzyka pod lupę i mogę Cię zapewnić, że nie masz pojęcia, z kim się związałaś. W jakim wychował się środowisku. To osobnik z całkiem innych kręgów. Winą za ten karygodny brak rozeznania obciążam wyłącznie Twoich przodków ze strony matki. Miałem nadzieję, że dzięki mnie staniesz się bardziej wybredna, lecz spotkał mnie zawód".

Od tamtej pory tylko raz spróbowała nawiązać kontakt z ojcem. Podczas choroby Jake'a, kiedy jego stan był już beznadziejny, potrzebując pieniędzy na wynajęcie opiekunki dla Pete'a, zwróciła się do ojca z prośbą o pomoc. Jej list pozostał bez odpowiedzi.

Ostatni kontakt z ojcem miała trzy miesiące po śmierci Jake'a. Za pośrednictwem prawnika Leonard Summerlin proponował jej powrót do domu w Austin.

- Miałabym wrócić do domu jako zbiegły przestępca?

Nigdy! - oświadczyła zdumionemu jej stanowczością adwokatowi. - A ponadto nie pozwolę, żeby ojciec zawładnął życiem mojego syna, tak jak kiedyś zawładnął moim.

Odkąd wypowiedziała ojcu posłuszeństwo i zasłużyła na jego potępienie, Ellen przeszła ciężką szkołę. Nauczyła się prowadzić dom, gospodkować pieniędzmi, obywać się bez wielu rzeczy, które dawniej uważała za niezbędne. Dowiedziała się ponadto, że posiada własną osobowość, całkiem niezależną od pozycji jej ojca. I nauczyła się ufać swemu instynktowi, który dotąd jej nie zawiódł.

- Instynkt instynktem, ale musisz też całą sprawę spokojnie rozważyć - powiedziała sobie. - Może nieznajomy i zaginiony bez wieści prokurator okręgowy J. Spencer Harrison to jedna i ta sama osoba? A może Sztorm jest oszustem, który tylko udaje, że stracił pamięć? To, że nie przypomina tamtych dwóch szubrawców, którzy w dniu tornada zapukali do jej drzwi, niczego nie dowodzi. Zdarzają się oszuści o bardzo nobliwym wyglądzie.

Obie hipotezy są jednakowo niepewne, musi więc zachować ostrożność. Przede wszystkim z uwagi na Pete'a, któremu rozpaczliwie brakuje ojca, chociaż stara się tego nie okazywać. Byłoby okropne, gdyby chłopiec wykreował nieznajomego na swojego bohatera, a ten okazał się łajdakiem i w niesławie znikł z ich życia.

Nie wolno mi jednak zapominać, że nieznamy zachował się jak bohater, ratując Pete'owi życie. I że jest sympatycznym i łagodnym człowiekiem. Najlepszy dowód, jak postępuje z Pete'em. Traktuje go serio, rozmawia z nim jak z dorosłym, nic więc dziwnego, że mały patrzy w niego jak w tęczę.

Miejmy nadzieję, że ani jej, ani Pete'owi nie przyjdzie żałować okazanej gościnności. Pete tyte już stracił w swoim krótkim życiu. Utrata świeżo zdobytego przyjaciela byłaby dla niego zbyt okrutnym ciosem.

Ellen, rzecz dziwna, nie przyszło do głowy, aby tę refleksję odnieść także do siebie. Sztorm jest niewątpliwie mężczyzną nie tylko interesującym, ale i przystojnym, wiedziała jednak, że zniknie z jej życia równie szybko, jak się w nim pojawił. Przypominał tajemniczego wędrownego ptaka, który pojawia się na niebie, by zniknąć z oczu, zanim zdołamy go zidentyfikować.

Po śniadaniu najpierw zmywał naczynia, a następnie udawał się z gazetą do salonu. Nie mógł się oprzeć pokusie przestudiowania lokalnej gazety o nazwie "Mission Creek Clarion", choć powinien przede wszystkim posłać łóżka i nastawić pralkę. Wprawdzie relacje dotyczące skutków wichury zeszły z pierwszej strony i stawały się coraz krótsze, lecz nadal liczył na ukazanie się jakiejś wiadomości, która zelektryzuje jego pamięć.

"Nowy prokurator generalny mianowany na miejsce zaginionego Harrisona". Pod wydrukowanym wielkimi literami tytułem widniała fotografia elegancko ubranego pana w średnim wieku, z małym wąsikiem i zaczesaną na czoło "pożyczką". Zerknął na biografię nominata, w której nie było nic szczególnego, Jeszcze raz przyjrzał się zdjęciu. Typowy, dosyć tuzinkowy okaz' prawniczej profesji. Dlaczego więc ma uczucie, jakby wymierzono mu lewy sierpowy w środek żołądka?

Coś mu podpowiadało, że powinien zacząć natychmiast działać, czemuś się przeciwstawić. Tylko czemu?

Poczuł, że zbiera mu się na mdłości. Wziąwszy kilka głębokich wdechów, ponownie odczytał nagłówek, przestudiował życiorys nowego prokuratora i pełny tekst artykułu. Jeszcze raz przyjrzał się uważnie podobiznie nowo mianowanego urzędnika. Potem zamknął oczy, zacisnął pięści i zaczął przeklinać. I.S. Harrison.

Sztorm Harrison?

Miał neodparte poczucie, iż coś go z tą sprawą wiąże. Uznał jednak, że póki się nie dowie, po której stronie prawa stoi i przed kim ucieka, powinien swoje przypuszczenie zachować w tajemnicy.

W parę minut później poszedł nastawić pralkę. Rzeczy Ellen leżały porządnie posortowane i poskładane. Bawiło l go, że sama pierze swoją bieliznę. Widocznie odczuwa wobec niego podobne jak on wobec niej skrepowanie. Bo chociaż Sztormowi nie przyszłoby do głowy zalecać się do swojej dobrodziejki, to jednak kiedy patrzył na jej wdzięczną postać kręcącą się po kuchni, na jej falujące przy każdym ruchu głowy jedwabiste włosy, albo gdy spoglądał w jej pełne życia, zielone oczy - trudno mu było zachować obojętność.

Powinien ograniczyć swoje uczucia do gorącej wdzięczności. I ewentualnie czulej przyjaźni. Ostatecznie wie' już o niej bardzo dużo, zapewne więcej niż Pete. A im więcej się o niej dowiadywał się, tym bardziej ją podziwiał.

Tymczasem Ellen budziła w nim także inne, nie licujące z przyjaźnią uczucia. Pierwszy erotyczny dreszcz przeszył go już pierwszego wieczoru ,po wypadku, kiedy wydawało mu się, że zamiast głowy ma wydrążony melon, a ona przyszła do niego w swoim wyświechtanym szlafroku i odwinąwszy nogawkę pidżamy, jęła nacierać mu maścią obolałą nogę. Wraz z upływem dni podobnie niestosowne uczucia nasiliły się do tego stopnia, że wieczorami, po odesłaniu Pete' a do łóżka, unikał pozostawiania z nią sam na sam w jednym pomieszczeniu. W opustoszałym umyśle Sztorma rodziły się dziwne pomysły i obrazy: a to, że skrada się po schodach do jej sypialni, to znów, że widzi ją wy-

chodzącą spod prysznic. Kiedy indziej wyobrażał ją sobie przewracającą się przez sen na łóżku.

- Opamiętaj się, Judaszu! - rzekł do siebie surowo, otwierając pralkę. Wrzuciwszy do środka swoje dzinsy i dwie pary spodni Ellen, rozejrział się za rzeczami Pete'a, które mały powinien był znieść na dół przed pójściem do szkoły.

Uznał, że pokonanie schodów nie sprawi mu większej trudności. Kolano i stopa dawno stęchły i prawie mu nie dokuczały. Guz na głowie również znikł. Gdyby nie zionąca pustką 'czarna dziura' głowie, w miejscu, gdzie powinna znajdować się jego pamięć, mógłby się uważać za wyleczonego.

Wdrapywał się na schody krok po kroku, trzymając się poręczy. Noga prawie nie bolała. Przy pokonywaniu kolejnych stopni odczuwał w niej zaledwie lekkie ukłucia.

Dotarłszy na piętro, był tak zadowolony ze swego wyczynu, że na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Który jednak zgasł, gdy ujrzał Ellen. Trzymała w rękach szlafrok i ranne pantofle. lecz poza tym była naga jak Ewa w Raju.

- O mój Boże! - szepnęła.

- Myślałem, że jesteś na dworze. - Cofnął się gwałtownie. Gdyby nie słupek na szczycie schodów, runąłby w dół. Poczul, że brakuje mu tchu. To przez ten wysiłek, powiedział sobie, bezskutecznie usiłując oderwać oczy od jej ciała.

- Co tutaj robisz? - spytała, zasłaniając się szlafrokiem. - Nie powinieneś jeszcze wchodzić na schody. - A co ty tu robisz? Nie widziałem, żebyś wchodziła.

Chcąc dostać się do swego pokoju, Ellen musiałaby przejść tuż koło niego.

- Weszłam tylnymi drzwiami. Słuchaj, nie ważne po co przyszedłeś, ale czy nie możesz odłożyć tego na później?

Zdołała wciągnąć na siebie szlafrok. Teraz wiązała pasek w talii.

- Jasne. Strasznie przepraszam. Chciałem tylko sprawdzić, czy Pete nie ma czegoś do uprania. - Nie był w stanie oderwać wzroku od jej talii. Kiedyś powiedziano by o niej, że jest cienka w pasie jak osa. - Przepraszam, Ellen, nie chciałem cię podglądać, ale... naprawdę nie zdajesz sobie sprawy, jaka jesteś piękna?

- Co ty wygadujesz! Upiłeś się, czy co?

- Ależ skąd! Piłem tylko kawę. Przysięgam. Pomyślałem tylko... to znaczy ...

Co chciał powiedzieć? Że jest piękna? To jest oczywiste. Że w tej chwili najchętniej zaprowadziłby Ellen do sypialni i poszedł z nią do łóżka?

Tak, niewątpliwie tak.

I że zachowuje się jak człowiek, który stracił nie tylko pamięć, ale i resztki przyzwoitości?

Tak, to też.

- Wyobraź sobie, że potknęłam się w stajni i przewróciłam w kupę nawozu. - Powiedziała to takim tonem, jakby się z czegoś tłumaczyła.

Pohamował uśmiech rozbawienia.

- Mam nadzieję, że miałaś miękkie lądowanie.

- To przez tę przeklętą klacz. Wygląda na to, że lada dzień się ożrebi. Weterynarz uprzedzał mnie, że przed porodem robią się niespokojne i nerwowe. Czy u koni to też nazywa się poród? Nawet tego nie wiem. Jestem kompletnie ciemna. - Zrobiła bezradną minę. Była nieodparcie czarująca.

Sztorm zrobił krok naprzód, położył jej ręce na ramionach, pochylił głowę i pociągnął nosem. O mało nie parsknął śmiechem. To rzeczywiście koński nawóz!

- Faktycznie, przyda ci się prysznic. Nie żałuj gorącej wody. Pranie może poczekać - rzekł z wesołym uśmiechem.

Ellen podniosła na niego swgie zmienne, zielone oczy, nie próbując się uwolnić od jego rarnion~

- A widzisz!

- Nie martw się, z klaczą jakoś sobie poradzimy. Kiedy przyjdzie jej pora, zadzwonimy do weterynarza i albo sam przyjedzie, albo powie, co trzeba robić. Możemy na wszelki wypadek dyżurować w stajni.

- Jacy "my"?

- No, ty i ja. Jeśli się na coś przydam.

Popatrzyła na niego, jakby myślała, że do reszty postradał zmysły, ale powiedziała tylko:

- Odsuń się, muszę zmyć z siebie ten smród. Ubranie zostawiłam na tylnej werandzie, ale nie wkładaj niczego do pralki, dopóki nie spluczę tego ... tego ...

- Tego, co przywarło. Obiecuję. A ty przyrzeknij, że przestaniesz się o wszystko zamartwiać. Jasne?

- Tego nie mogę ci obiecać, ale dziękuję za ... za to ... że się troszczysz o ...

- Już dobrze, wystarczy. - Pochylił się i złożył na ustach Ellen pocałunek. W trakcie tego pocałunku celowo trzymał ją z dala od siebie, aby pomyślała, że odpycha go od niej nieprzyjemny zapach. Wolał to, niż gdyby miała odgadnąć, jak silnie działa na niego jej bliskość. I tak musi wziąć dla uspokojenia zimny prysznic. Jeszcze skuteczniejszy byłby długi jogging.

Pocałunek trwał zaledwie moment. Na nic więcej nie mógł sobie pozwolić. Nie chciał jej sploszyć. Zadowolił się czułym muśnięciem warg. Ona zaś cofnęła się, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, że nie ma na sobie nic prócz szlafroka.

- Nie zbliżaj się! Mówiłam ci przecież, że cuchnę jak nie wiem co.

- Faktycznie. - Uśmiechnął się i ruszył w kierunku pokoju Pete' a. Niech sobie myśli, że tylko z powodu zapachu ograniczył się do niewinnego pocałunku. Mimo wszystko tak będzie lepiej. Lepiej by nie wiedziała, że umysłowe niedobory w niczym nie zakłóciły jego męskiej sprawności.

Teraz, kiedy stan jego zdrowia poprawia się z doili na dzień i zaczyna go rozsadać energia, musi wymyślić sobie jakieś zajęcie wymagające większego wysiłku niż ślanie łóżek i zmywanie naczyń. Na pewno może jej w czymś pomóc, aby nie musiała tak ciężko harować od świtu do nocy. Powinien postarać się ulżyć jej losowi na tyle, na ile potrafi.

Natomiast z całą pewnością nie powinien chodzić za nią jak zdyszany samiec. W pierwszym okresie rekonwalescencji jego reakcje na fizyczną bliskość Ellen, na przykład na dotyk jej rąk, gdy smarowała mu nogę jakimiś maściami, nie były aż tak silne i jednoznaczne jak teraz.

Obecnie jednak, wspominając swoje ówczesne odczucia, zdał sobie sprawę, że przyjemność, jaką sprawiała mu zabieg Ellen, miała w istocie erotyczny charakter. A także, iż mimo utraty pamięci nie postradał poczucia przyzwoitości i wie, że są pewne rzeczy, na które nie wolno sobie pozwalać.

Na przykład nie wolno mu wykorzystywać Ellen.

Z końcem tygodnia wiadomości o skutkach tornada przybrały postać krótkich notatek drukowanych na trzynastej stronie gazety. Ciągniki usuwały resztki żelastwa ze zniszczonego parkingu kempingowych przyczep, ich mieszkańców rozlokowano per około licy, odbudowa kościelnej wieży szła pełną parą. Sztorm w dalszym ciągu wertował miejscowy dziennik od deski do deski. Nikt jednak nie poszukiwał zaginionego członka rodziny ani pracownika. Nawet o zniknięciu okręgowego prokuratora prawie przestano wspominać.

Do powrotu Pete' a ze szkoły Ellen nadal przez cały dzień wbiegała i wybiegała z domu, samodzielnie wy- ' konując prace, o udział w których Sztorm bezskutecznie się upominał.

- Nie ma mowy. Tego by tylko brakowało, żeby kopnął cię koń albo żebyś się pośliznęła i przewróciła. W twoim stanie to zbyt niebezpieczne.

- W jakim moim stanie? - oburzył się. - Nie widzisz, że jestem już zdrowy jak byk?

Ellen popatrzyła znacząco na jego czoło, ale po guzie został już tylko żółtawy siniak.

- No jasne, mógłbyś jeszcze dziś wystąpić na olimpiadzie! - zakpiła. - Ale mówiąc senno, to gdybym

potrzebowała pomocy, mogę zawsze zwrócić się do sąsiadów.

- A właśnie! Nie zauważyłem, żeby po tornadzie bodaj jeden człowiek zajrzał dowiedzieć się, jak sobie radzicie.

- Bo wiedzą, że wichura nas ominęła. Ojciec Joeya dzwonił i pytał, jak się mamy.

- Powiedziałas mu o mnie?

Ellen długo nie odpowiadała.

- Nie zrozum mnie źle. Jeżeli zależy ci na tym, żeby wiadomość o miejscu twojego pobytu rozeszła się po okolicy, to powiedz wprost. Sama, jak parnięsz, chciałam ci w tym pomóc. Miałam jednak wrażenie, popraw mnie, jeśli źle cię rozumiałam, że wolisz się nie ujawniać, dopóki masz z głową nie w porządku.

- Jest ze mną aż tak źle? Nie mogłaś tego ładniej nazwać?

Cień uśmiechu zaigrał w kącikach jej warg.

- Wiesz, że nie miałam nic złego na myśli.

- Wiem, tylko żartowałem.

Ellen z westchnieniem opadła na kanapę. Wyciągnawszy spod siebie plastikowy model samolotu bojowego F-18, niedbałym gestem odłożyła go na zagracony niski stolik, na którym walały się komiksy, egzemplarze "Kwartalnika Hodowcy Koni" oraz parę innych, nie pasujących do salonu przedmiotów.

- Chyba wyszłam z wprawy. Mam na myśli przekomarzanie się. Jake lubił ze mnie podkpiwać. Na przykład z tego, że nie odróżniam konia gniadego od kasztanowatego. Albo że nie lubię smażonej wątróbki i lodów truskawkowych.

- Nie lubisz wątróbki z truskawkowymi lodami?

- Głuptas z ciebie. Nie lubię wątróbki i nie lubię truskawkowych lodów. Nie razem, ale osobno.

- Aha, rozumiem. A czym się różni gniady koń od kasztanowatego?

- Maścią, człowieku! Maści koni to cała osobna dziedzina wiedzy. Jeśli chcesz, mogę ci pokazać parę książek na ten temat, Jake zgromadził pokaźną końską bibliotekę. Ja niewiele zdążyłam z tego przeczytać. A teraz już całkiem nie mam czasu na studiowanie fachowej literatury.

Siedzieli potem jeszcze długo, nic do siebie nie mówiąc. Ale milczenie, o dziwo, wcale im nie przeszkadzało. Czuli się z nim dobrze, jak ludzie, którzy nieźle się znają. I dobrze się czują w swoim towarzystwie.

W pewnej chwili Ellen wyciągnęła z zagłębienia w kanapie jeszcze jedną plastikową zabawkę, zawahała się i popatrzyła na Sztorma, jakby chciała mu coś powiedzieć. Jednakże potrząsnęła tylko głową, mruknęła, że obowiązki na nią czekają, wstała i wyszła z domu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Co takiego chciała mu powiedzieć? Wymówić mu gościnę? A może po prostu zwrócić uwagę, że niechlujnie ściele łóżka albo zużywa za dużo proszku do prania?

Miał już powyżej uszu ciągłego przesiadywania w domu. Pokuśtykał do sionki, otworzył drzwi i rozejrzał się po obejściu, Podwórze robiło sympatyczne wrażenie, chociaż niczym szczególnym się nie odznaczało i wszędzie widniały ślady zaniedbania.

Zapewne białe niegdyś płot od lat nie widział farby.

Podobnie jak łuszczące się zewnętrzne ściany domu. Smętne resztki dawnego trawnika rozpaczliwie wołają o ratunek. Wokół trawnika rosło kilka nie strzyżonych krzewów ozdobnych. Z pomocą sekatora można je szybko doprowadzić do porządku.

O dziwo, ze wszystkich zabudowań, nie wyłączając domu, najlepiej prezentowała się stajnia. W sumie z tego, co zobaczył, gospodarstwu najbardziej przydałby się cieśla. Instynkt podpowiadał mu jednak, iż ciesielstwo nie jest jego zawodem.

Ale w końcu nie trzeba być fachowcem, aby poprzykręcać obłuzowane zawiasy i wykonać inne drobne naprawy.

Powiodł wzrokiem po wyboistym podjeździe prowadzącym od bramy do domu. Do dziś pamiętał, jak

taczka, którą Ellen z Pete'em wieźli go do domu, podskakiwała na nierównej drodze, wpadając od czasu do czasu w głębokie dziury.

Dalej, za bramą, biegła niewidoczna zza wysokiego żywopłotu szosa. Z werandy słychać było tylko szum sunących samochodów. Gdzieś tam musi się znajdować jego własne auto, lub jego resztki. Z pierwszych chwil po wypadku zachował tylko mętne wspomnienia, niemniej pamiętał, że wokół miejsca, gdzie wylądował w rowie, nie widać było ani śladu samochodu.

Ellen wspomniała jednak o porzucanych wzdłuż szosy szczątkach paru aut. Czy któreś z nich należało do niego?

Skoro jechał samochodem, co chyba nie ulegało wątpliwości, to w jego środku musiały być jakieś ślady jego tożsamości. A tablice rejestracyjne? Czy ktoś je odnalazł i ustalił, do kogo należały?

Nie znajdując na swoje pytania odpowiedzi, skierował wzrok na padok, po którym przechadzały się obie klacze Ellen. Uświadomił sobie, że nigdy jeszcze nie widział Ellen ani Pete'a w siodle. Ale konie muszą być ujeżdżone. Mógłby kupić od Ellen jednego z wałachów i odjechać stąd na koniu.

Kupić? Za co? A poza tym skąd wie, czy potrafi utrzymać się w siodle? Wszystko to było w najwyższym stopniu frustrujące. Miał po dziurki w nosie pozostawiania w kompletnej nieświadomości. .

Zszedł ostrożnie z werandy i skierował się przez podwórze ku stajni. Z wnętrza dochodziły odgłosy ożywionej rozmowy. Po chwili zorientował się, że to Ellen ruga parobka.

- Nie będę słuchać żadnych wykretów! Ogrodzenie ma być poprawione i kropka!

- Robiliśmy jak trzeba, paniusiu. Czy to moja wina, że słupki są zmurszałe i nie trzymają om gwoździ?

Sztormowi ręce zwinęły się w pięści, uznał jednak, że póki co lepiej nie interweniować. Był wprawdzie cięższy i silniejszy od obu chuderlawych parobków, ale wtrącając się w nie swoje sprawy, zaogni tylko sytuację. Ellen Jest dzielną kobietą i sama da sobie z tym typem radę.

- A gdzie Clyde? - zapytała.

To znaczy, że w stajni jest ten drugi, jak mu tam. Buster? Nie, Booker.

- Pojechał po paszę. A w powrotnej drodze pewnikiem wstąpi do baru coś przekąsić.

- I znowu się upije! Pić możecie po fajrancie, ale nie w godzinach pracy - oburzyła się Ellen. - Ogrodzenie ma być gotowe przed zmrokiem! Bo jak nie, to mnie popamiętacie!

Sztorm uznał, że czas wkroczyć do akcji. Bezsilność jej groźby była w oczy. Ellen nie może sobie pozwolić na przepędzenie niesolidnych parobków i bezczelny łachudra dobrze o tym wie. Leżał rozwalony na beli siana, śmiejąc się jej w nos. Sztorm tuszył przed siebie, a jednocześnie usłyszał warkot skracającego na podjazd samochodu.

W drzwiach stajni minął się z Ellen, która, nadal trzęsąc się ze złości, szła wyrzucić przed dom. W przelocie rzuciła mu spojrzenie zdające się mówić: Odczep się, sama dam sobie radę!

Akurat! Ellen Wagner jest niewątpliwie bardzo dzielną kobietą, lecz sytuacja ją przerosła. Kiedy odchodziła, mrucząc pod nosem coś w rodzaju: "Kogo to znowu diabli niosą?", zuchwały parobek strzelił śliną, która wylądowała o parę centymetrów od miejsca, gdzie przed chwilą stała jego pracodawczyni.

W Sztormie zabułgotało. Jednym susem znalazł się w stajni. Chwyciwszy bezczelnego Bookera za przód koszuli, jednym szarpnięciem poderwał go na nogi.

- Posłuchaj, nędzna kreaturo! - wrzasnął. - Jeśli jeszcze raz ośmielisz się zrobić coś podobnego, będziesz miał ze mną do czynienia. Zrozumiano? A teraz druga rzecz. Ogrodzenie ma być naprawione! Jeszcze dziś! Jasno się wyrażam?

- A czy to moja wina, że słupki zmurszały? - wybełkotał oszołomiony Booker.

Sztorm puścił go tak gwałtownie, że facet zatoczył się do tyłu, mamrocząc przekleństwa, ale Sztorm uciszył go groźnym spojrzeniem. Najwidoczniej posiadał umiejętność radzenia sobie z tego typu ludźmi.

Czy Ellen zdawała sobie sprawę, że słupki wymagają wymiany? Pewnie tak. Ale nie ma pieniędzy na kupno nowych. Jdłi naprawdę chce jej pomóc, musi jak najszybciej odzyskać pamięć, upewnić się, na co go stać, a następnie zamówić dla Ellen ciężarówkę drewna i innych niezbędnych materiałów. A także opłacić robociznę.

Booker stał nadal obok niego, obgryzając ze złością brudne paznokcie.

- Czy zrozumiałeś, co ci powiedziałem? - upewnił się Sztorm.

- Jak pan se życzy. Jak Clyde wróci, weźmiemy się za to pieprzone ogrodzenie. Ale mówie, że klamry i tak nie będą trzymały - odburknął.

- Macie zrobić tak, żeby trzymały! Sprawdzę jutro z samego rana, jak się sprawiliście.

Maszerując w kierunku domu, zdał sobie sprawę, że nie tylko potrafi rozmawiać z małymi łapserdakami, ale i wie coś niecoś na temat budowania parkanów. Brawo! Jeszcze parę tysięcy takich drobiazgów i złoży swoje dawne życie do kupy!

Ellen stała przed domem w wyraźnie defensywnej pozie, z założonymi na piersiach rękami, obserwując zbliżający się wyboistym podjazdem elegancki samochód. Kiedy podszedł do niej, gotów znowu stanąć w jej obronie, przysunęła się o krok bliżej, ale nic nie rzekła.

- Spodziewasz się gości? - zapytał.

- Ja nie - odparła. - Może to ktoś do ciebie?

- Niewykluczone, choć sądziłem, że bankiet ma się rozpocząć dopiero o wpół do piątej. Chyba muszę poszukać lepszej sekretarki.

Dowcip nie był najlepszy, lecz Ellen w końcu się roześmiała. Miał jedynie na celu poprawienie jej nastroju i rozładowanie nerwowego napięcia. W swoim obecnym stanie niewiele więcej mógł dla niej zrobić.

Zwróciwszy głowę ku bramie, pomyślał, że niespodziewany gość może być kimś, kto poszukuje jego, i poczuł nagle podniecenie, połączone z lekką domieszką niezrozumiałego zawodu.

Zamiast zatrzymać się przed szopą, gdzie stały zaparkowane obie furgonetki, przybysz podjechał niemal pod sam dom. Luksusowy samochód dziwnie raził na tle nędznych krzewów i oblażącego z farby, niegdyś białego płotu.

- Myślisz, że to jakiś przedstawiciel wytwornych kręgów, w których nosi się jedwabną bieliznę i opatrzone monogramem chustki do nosa? - zagadnął Sztorm, siląc się znowu na żarty.

Ellen zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów.

- Jeżeli nawet, to na pewno cię nie rozpozna. Czy ktoś z twoich przyjaciół miał okazję widzieć cię ostatnio w przykrótkich dzinsach, z fioletowożółtym siniakiem na czole?

Stojąc tuż za Ellen i wciągając w płuca bijący od niej zapach siana oraz dzieciennego pudru, którego używała po kąpieli, Sztorm czekał niecierpliwie na wyłonienie się nieznajomego. Przemknęło mu przez głowę, że roczny dochód człowieka jeżdżącego takim, samochodem musi osiągać liczbę sied'miocyfrową,

- O cholera! - mruk'nęła Ellen, kiedy przystojny, elegancko ubrany mężczyzna około czterdziestki bez pośpiechu otworzył drzwi i wysiadł z auta. - Greg, co ty tu robisz? - powiedziała spokojniejszym, opanowanym tonem.

- Cześć, Ellen. Kopę lat.

Sztorm zlustrował przybysza uważnym spojrzeniem.

Uprzejmy, swobodnie zachowujący się mężczyzna zrobił na nim złe wrażenie. Nie zostawi Ellen z nim sam na sam, chyba że będzie sobie tego wyraźnie życzyła. Fakt, iż nieznajomy nie przyjechał po niego, tylko do Ellen, sprawił Sztormowi ulgę i zawód równocześnie. Ale niewątpliwie obudził jego ciekawość.

- Poznajcie się. Greg Sanders, współpracownik mojego ojca, a to Sztorm hm ... Hale - przedstawiła ich sobie Ellen.

Sztorm dopiero po ułamku sekundy zorientował się, kogo ma na myśli. Wcześniej nie pomyśleli o nadaniu mu nazwiska. Jej improwizacja ,dowodzi, iż Ellen woli nie wyjawiać przybyszowi prawdy na jego temat.

Współpracownik jej ojca? Ciekawe. I bardzo dziwne. Kim w takim razie jest jej ojciec i czym się zajmuje? Najwidoczniej dobrze mu się p,owodzi. Dlaczego wobec tego pozwala, żeby jego córka klepała biedę?

Sztorm zorientował się, że zapadło niezręczne milczenie i szybko zaproponował gościowi kawę. Nie lunch, choć była na to pora, tylko kawę. Ellen ochoczo przytaknęła. Przybysz zwany Gregiem uśmiechnął się sztucznie.

- Wybierałem się w testrony, więc pomyślałem, że wpadnę zapytać, co u ciebie słychać - wyjaśnił. - Twój ojciec prosił, żebym przy okazji podrzucił ci parę drobiazgów. - Wskazał ręką bagażnik.

Ellen potrząsnęła głową.

- Podziękuj mu, jeżeli chcesz, ale ja niczego nie przyjmę.

- Zrobisz mu wielką przykrość.

- Tak sądzisz?

Po tej krótkiej wymianie zdań, która dawała wiele do myślenia, wolnym krokiem skierowali się ku domowi. Sztorm zamykał pochód. Kiedy tamci dwoje weszli do salonu, on pozostał w holu. Nie chciał im przeszkadzać, wołał jednak być w pobliżu na wypadek, gdyby Ellen potrzebowała wsparcia.

Sanders przeszedł przez pokój i odwróciwszy się plecami do kominka, instynktownie przybrał nonszalancką pozę, znamionującą poczucie przewagi nad otoczeniem. Nie zaszczycił spojrzeniem stojącego na gzymsie nad kominkiem zdjęcia zmarłego Jake'a.

- Jak się chowa twój syn? - zapytał. - Musi mieć chyba dziewięć lat.

- Dziękuję, dobrze - odparła Ellen zdawkowo. Nie zadała sobie trudu, aby skorygować wiek chłopca, który skończył dopiero osiem lat.

- Cieszę się. Ojciec dał mi dla niego. piłkę do futbolu i gry wideo.

- Pete woli baseball. A na gry nie ma czasu.

- Jak to, nie ma czasu? - zdziwił się Sanders:- Przecież nie siedzi cały dzień w szkole.

- Nie, ale ma obowiązki w domu. I lekcje do odrobienia. A w wolnych chwilach woli pojeździć konno albo pograć w baseball, zamiast bawić się w domu mechanicznymi zabawkami.

- Ależ moja droga, naj widoczniej kompletnie straciłaś kontakt ze światem - obruszył się Sanders. - Trzeba ci wiedzieć, że te, jak to nazywasz, mechaniczne zabawki potrafią kosztować więcej niż ...

- Nieważne, ile kosztują - przerwała mu Ellen. Bądź łaskaw powiedzić ojcu, że dajemy sobie radę i niczego od niego nie potrzebujemy: ani jego pieniędzy, ani prezentów.

"Brawo, Ellen!" - pochwalił ją w duchu Sztorm.

- Nie wiem, czy słyszałaś, że ojciec ponownie się ożenił?

- Nie, nie śledzę jego osobistego życia.

- Tak przypuszczałem.

Sztorm, który bacznie obserwował eleganckiego przybysza, zauważył pogardliwe spojrzenie, jakim Sanders obrzucił skromny salonik. Na jego twarzy malowało się aroganckie poczucie wyższości.

Przekonany, iż Ellen poradzi sobie sama z nieoczekiwanym gościem i obawiając się, by nie powiedzić czegoś niepotrzebnego, Sztorm udał się do kuchni robić kawę.

Kiedy po paru minutach wrócił z tacą do salonu, rozmowa nagle się urwała. W pierwszej chwili chciał przeprosić i pod byle pretekstem opuścić pokój, lecz jakiś instynkt kazał mu pozostać na miejscu.

Nie bójcie się, nie gryzę, miał ochotę powiedzić, chociaż nie był bynajmniej w łagodnym nastroju.

Sanders zapytał o konie.

- Hodowla jest wciąż niepełna - odparła Ellen. Pierwotnie planowaliśmy kupić cztery klacze i ogiera, ale nadarzyła się wyjątkowa okazja, którą trudno było przepuścić. A Jake uważał, że wałachy przydadzą się jako siła pociągowa. Więc na razie mamy tylko dwie klacze, a resztę dokupię ...

Jak będzie mnie na to stać, dopowiedział w myśli Sztorm.

- ... po wybudowaniu w stajni dodatkowych boksów - dokończyła Ellen.

Oczywiście. Nic prostszego.

Z częściowych informacji Sztorm umiał już dzisiaj złożyć w ogólnych zarysach historię Jake'a i Ellen. Katastrofa życiowa dotknęła ich wkrótce po nabyciu farmy i wykonaniu najbardziej podstawowych napraw i przeróbek. Potem Jake zachorował i resztę pieniędzy z otrzymanej przy wyjściu z wojska odprawy pochłonęła jego kuracja.

- Pamiętasz tamten rok, kiedy wybraliśmy się całym towarzystwem na wyścigi konne? - zagadnął

Sanders, strzepując ze swych eleganckich sportowych spodni niewidoczny pyłek. - Miałas najwyżej szesnaście lat.

Sztorm spróbował ją sobie wyobrazić jako szesnastolatkę. Była pewnie trochę niezdarna i nieśmiała. Niektóre dziewczęta dojrzewają wcześniej, a inne późno. Ellen należała chyba do tej drugiej kategorii.

- Może, nie pamiętam.

Nastawił uszu. Albo bardzo się myli, albo Ellen nie chce rozmawiać z facetem o dawnych czasach. W ogóle niechętnie z nim rozmawia. Wygląda na zirytowaną. Zupełnie nie przypomina owej spokojnej, opanowanej kobiety, jaką zna. Postanowił więc wtrącić się i skierować rozmowę na mniej osobiste tory.

- Musiał pan pewnie słyszeć o huraganie, jaki przeszedł tędy w zeszłym tygodniu. Czy w pana stronach też dał się we znaki?

- Owszem, słyszałem. Co prawda tylko w telewizji.

Nie było mnie wtedy w San Diego. Ale z tego co widzę, El, szczęście ci dopisało - zauważył Sanders.

Ku swemu zaskoczeniu Sztorm dostrzegł w kącikach jej warg uśmiezek rozbawienia..

- To prawda, szczęście mi dopisało - przyznała. Sztorm z przyjemnością wypił łyk kawy. Proponując jej przygotowanie, nie zastanawiał się, czy się na tym zna. A tymczasem zaparzył bardzo dobrą kawę. No, no!

- Może wypakuję prezenty, a ty wybłeresz z nich, co będziesz chciała? - zaproponował Sanders.

- Niczego nie wezmę.

- Naprawdę? Nie zmienisz zdania? ;Zastanów się, w końcu to twój ojciec.

- Nie. Mam swoje zdanie na temat jego wielkoduszności.

- Ostro powiediiane - zauważył Sanders. - No to będę się zbierał. Muszę zdążyć na kolację z burmistrzem, senatorem i paroma notablami. Nudy na pudy.

Przybysz popatrzył na Sztorma.

- Czy my się skądś nie znamy? Nazwisko Hale nic mi nie mówi, ale dałbym głowę, że gdzieś pana widziałem. Gra pan w golfa?

Sztorm z namysłem odstawił filiżankę na boczny stolik. - Ostatnimi czasy nie miałem czasu na grę w golfa - odparł wymijająco.

- Brałem niedawno udział w meczu na dobroczynne cele w klubie Lone Star w Mission Creek. Może tam się poznaliśmy? A czym się pan zajmuje, jeśli wolno zapytać?

- Jestem... pisarzem.

- O! To może czytałem którąś z pańskich książek?

- Nie sędzę. Piszę sentymentalne powieści.

Ellen omal nie udławiła się kawą. Kiedy odprowadzali Sandersa, Sztorm pozwolił sobie otoczyć ją ramieniem. Obserwowali Sandersa, jak odjeżdża, szorując rurą wydechową na wybojach. W milczeniu

wrócili do domu.

- To było, hm ... interesujące - zauważył, kiedy weszli do kuchni.

- Nie udawaj. Chciałbyś wiedzieć, kim jest ten arogancki palant i skąd go znam - wypaliła prosto z mostu.

Trafiła prawie w dziesiątkę; prawie, bo chciał jej zadać o wiele więcej pytań. Na razie powiedział tylko:

- Jeśli się nie przesłyszałem, gość pracuje w firmie twojego ojca i nie widzieliście się, odkąd miałaś szesnaście lat. Nic więc dziwnego, że będąc w sąsiedztwie, postanowił cię odwiedzić.

- Ostatni raz widziałam Grega, czekaj, niech policzę ... prawie dwanaście lat temu - odparła.

Nic nie odrzekł, chociaż chętnie dowiedziałby się czegoś więcej o niespodziewanym gościu. Czuł, że za jego skądinąd zrozumiałą wizytą kryje się jakaś tajemnica.

Albo raczej kilka tajemnic. Bo jeżeli facet jest bliskim współpracownikiem jej ojca, to dlaczego od tylu lat nie miała z nim kontaktu? Dlaczego Ellen klepie biedę, skoro jej ojciec musi być człowiekiem co najmniej równie bogatym i wpływowym, jak jego współpracownik? No i dlaczego odmówiła przyjęcia przysłanych przez ojca prezentów?

- Pewnie niejedno cię zdziwiło - odezwała się, nalewając sobie z dzbanka resztę kawy.

- Nie przeczę, że chętnie bym o to i owo zapytał.

- Mogłabym powiedzieć, żebyś pilnował własnego nosa, ale ...

- Jesteś na to za dobrze wychowana.

- Nie byłabym tego taka pewna - uśmiechnęła się. - W każdym razie przepraszam, jeżeli obecność Grega sprawiła ci przykrość. Nie wiem jednak, czy zrobiłeś dobrze, ukrywając przed nim utratę pamięci. Sprawiał wrażenie, jakby naprawdę skądś cię znał.

- Widzisz, mam jakieś dziwne, niezrozumiałe dla mnie samego poczucie, że nie powinienem na razie ujawniać swojego miejsca pobytu.

Ellen, która od paru dni zastanawiała się, jak i kiedy poinformować Sztorma o wizycie dwóch dziwnych osobników, którzy wieczorem po przejściu tornada dopytywali się o rzekomo zaginionego przyjaciela, uznała, iż nadszedł właściwy moment. W paru zdaniach opowiedziała mu tamto zdarzenie.

- Harrison - powtórzył Storm po długim milczeniu. - J.S. Harrison. To mógłby być Jason Spencer Harrison.

- Jak to, więc pamiętasz?

- Niestety nie. Po prostu przestudiowałem książkę telefoniczną. Znalazłem kilkunastu Harrisonów, kilku z inicjałem "S". Mógłbym ich obdzwonić, ale póki co wolę z tym poczekać.

- A jeżeli jesteś tym zaginionym prokuratorem?

- Posłuchaj mnie, Ellen. Sama, mówisz, że ci dwaj, którzy o mnie pytali, wyglądali co najmniej podejrzanie. A mnie przez cały czas kołacze się po głowie niejasna, ale zdecydowanie nieprzyjemna myśl.. że mam coś wspólnego ze stanowym więzieniem. Więc dopóki nie będę miał pewności, kim naprawdę jestem, rozsądek nakazuje mi zachowanie daleko idącej ostrożności.

- Och, daj spokój, nie jesteś przestępcą! - gorąco zaprotestowała Ellen. - Dla mnie ulega wątpliwości, że jesteś człowiekiem, z gruntu uczciwym. Najprawdopodobniej owym zaginionym prokuratorem, co by tłumaczyło, dlaczego w książce telefonicznej nie ma J.S. Harrisona, bo mogłeś mieć zastrzeżony numer. A już na pewno nie masz nic wspólnego z tamtymi dwoma.

- To dlaczego mnie szukali?

Ellen bezradnie pokręciła głową ..

- Są trzy możliwości. Pierwsza, że mylisz się co do mnie, a oni byli faktycznie moimi współnikami.

Druga, że chcieli zbiec za granicę i próbowali ukraść samochód. - Przecież mieli samochód.

- Zbyt łatwy do rozpoznania.
- A trzecia możliwość? - spytała Ellen.
- To tylko domysł, którego nie potrafię nawet wyraźnie sformułować. W każdym razie instynkt podpowiada mi, że niezależnie od tego, kim jestem, moje przedwczesne ujawnienie się wyzwoliłoby reakcję łańcuchową, nad którą w obecnym stanie umysłu nie potrafię zapanować.
- Jeżeli o mnie chodzi, możesz tutaj siedzieć, jak długo uznasz za potrzebne ... to znaczy, dopóki nie odkryjesz, kim jesteś.

- Dziękuję, Ellen. A zatem wszystko zostaje po staremu, z tym, że ja wezmę na siebie wszystkie obowiązki domowe, z gotowaniem włącznie. Zgoda?

- Ależ nie musisz wcale ...

- Umowa stoi czy nie?

- No dobrze, niech ci będzie - zgodziła się niechętnie.

- W porządku. A teraz powiedz mi coś o tym cholernym Gregu. Wyraźnie nie byłeś jego wizytą zachwycona.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Przyjęłaś go niezbyt gościnnie. Nie spieszyłaś się z zaproszeniem go do domu. Kawę ja musiałem mu zaproponować.

- Byłam po prostu zaskoczona.

- Chyba chodziło o coś więcej. Ale masz rację, niepotrzebnie się wtrącam.

Na twarzy Ellen pojawił się smętny uśmiech. Długo milczała, jakby toczyła ze sobą wewnętrzną walkę.

- Widzisz, prawda jest taka, że od lat nie utrzymuję z ojcem stosunków - odezwała się na koniec. - A kiedyś, dawno temu, miałam wyjść za Grega za męża.

- Nie mów! - zdumiał się. - Byłaś zaręczona z tym sztywniakiem?

Tym razem naprawdę się uśmiechnęła.

- Nie, nie byliśmy formalnie zaręczeni. Miałam najpierw ukończyć studia. Tak w każdym razie planował mój ojciec. Najpierw studia, potem uroczyste zaręczyny, a w stosownym czasie skromny ślub z udziałem trzystu albo czterystu starannie dobranych osobistości. Zaś po powrocie z podróży poślubnej na Bermudy albo do Paryża, Greg miał zostać współdziałowcem firmy, podczas gdy ja zajęłabym w Austin należne miejsce wśród młodych małżonek z miejscowej socjety ...

W głosie Ellen brzmiał ton gorzkości.

- Ale potem wypowiedziałam ojcu posłuszeństwo i cały jego misterny plan legł w gruzach - dodała.

- Po poznaniu Jake'a, czy tak?

Ellen obracała w rękach pustą filiżankę. Sztorm przyjrzał się jej pokancerowanym dłoniom. Połamane paznokcie od niepamiętnych czasów nie widziały manikiurzystki.

- Nie zrozum mnie źle - podjęła po chwili. - Ojciec nie zawsze był tyranem. Ale po tym, jak syn jego przyjaciela został porwany dla okupu, całkowicie pozbawił mnie swobody. Dostałam własnego ochroniarza, który wszędzie mnie woził. I wiesz co? - zaśmiała się smutno. - Bardzo szybko nauczyłam się wymykać spod kontroli. Ojcu nawet nie przychodziło na myśl, że mogłabym postąpić wbrew jego woli. Nic o mnie nie wiedział. Ani ja o nim. W parę miesięcy po śmierci mamy wdał się w pierwszy romans. Miał potem wiele el~ganckich kochanek, z którymi lubił się afiszować.

Sztorm wyczuwał atmosferę jej opowieści, choć nie bardzo wiedział, skąd mu się to bierze. A jednocześnie rosła jego sympatia dla nieznanego Jake'a, z którym zapewne niewiele by go łączyło. Oczywiście poza upodobaniem do kobiety imieniem Ellen.

- Myślę, że Greg chciał się ze mną ożenić wyłącznie dla interesu. Chyba od początku to wiedziałam. Jeśli chodzi o kobiety, ma taki sam gust jak papa. Obaj lubią wysokie, dobrze zbudowane, olśniewające

blondynki.

- Nie byłaś zazdrosna? Mam na myśli kochanki ojca?

- Czy ja wiem? - zastanowiła się. - Pewnie tak. Chyba żadne dziecko nie lubi, gdy inna kobieta zajmuje miejsce matki. Chociaż ja mojej prawie nie pamiętam. A jeżeli chodzi o kobiety, z którymi spotykał się Greg, to wydaje mi się, że były mi obojętne, bo nawet nie próbowałam z nimi konkurować.

- Na przykład w jaki sposób?

- No cóż, myślę, że każda kobieta chce podobać się mężczyźnie, na którym jej zależy. Mnie tymczasem nie chciało się ani rozjaśniać włosów, ani tym bardziej poddawać kosmetycznym operacjom. Więc zostałam skromną brunetką ze zbyt krótkim nosem i brakami w innych strategicznych miejscach - dodała, śmiejąc się z lekką Ironią.

- Jesteś o wiele za skromna - zaprotestował Storm, na co Ellen zabawnie wykrzywiła twarz.

Potem odrzuciła głowę do tyłu i odetchnęła głęboko, jakby zrzuciła z pleców noszony od dawna ciężar. Przemknęło mu przez głowę, że każda kobieta potrzebuje przyjaciółki, z którą może się podzielić swymi przeżyciami i problemami. Czyżby Ellen nie miała nigdy żadnej powiernicy?

- I co, ty i ojciec nadal nie utrzymujecie stosunków?

- Wiesz, kiedy widziałam go ostatni raz? Prawie dziesięć lat temu. Od czasu do czasu dowiaduję się czegoś o nim z prasy, ale poza tym nie mamy kontaktu.

Zapadło milczenie. Sztorm nie odrywał od niej oczu.

- Lada, chwila, przyjedzie szkolny autobus. Powinam... - zaczęła, wstając od stołu, lecz umilkła, gdy Storm zastąpił jej drogę i położył ręce na ramionach.

- Bardzo ci współczuję - powiedział. - Wiem, że to tylko słowa, ale naprawdę głęboko ci współczuję.

Zbyt wiele w życiu przecierpiałaś.

Jej oczy zaszyły nagle mgłą.

- Nie musisz. To nie twoja wina.

- Wiem, że nie moja, ale mimo to bardzo ci współczuję. Czy nie od tego są przyjaciele, żeby dzielić nasze uczucia?

- Przyjaciele? - powtórzyła drżącym ze wzruszenia głosem. W tym momencie czara się przepelniła.

Usta zaczęły jej się trząść, czubek nosa poczerwieniał i w następnej chwili Sztorm trzymał w ramionach szlochającą Ellen, tuląc ją do siebie i łagodnie gładząc po plecach.

Miał jednak uczucie, że chwila słabości nie potrwa długo i Ellen szybko wróci myślami do swoich codziennych trosk.

Jedwabiste włosy ocierały się o jego policzki. Był aż nadto świadomy bliskości jej ciała. Czy w ciągu ostatnich dni myślała o seksie równie często, jak on? Czy od czasu owdowienia miała kochankę?

Powtarzał sobie, iż nie posunął się poza czuły uścisk, mający przynieść Ellen pociechę, czując równocześnie, że tym razem będzie mu niezmiernie trudno zachować powściągliwość.

Czy Ellen czuje podobnie? Czy pragnie czegoś więcej niż przyjacielskiej pociechy?

Na ganku rozległy się szybkie kroki, i trzasnęły wejściowe drzwi.

- Cześć, mamó! - zawołał Pete z przedpokojem. - Dostałem piątkę z ... Mamó! co ci się stało?! - wykrzyknął, stając w drzwiach.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Sztorm i Pete sprząтали razem boksy przed wprowadzeniem koni na noc do stajni. Mały przestał się boczyć, lecz nadal patrzył na starszego mężczyznę podejrzliwym wzrokiem.

- Znałeś go wcześniej? No, tego znajomego mamy? - zapytał Pete.

Poprzednio wytłumaczyli chłopcu, że mama rozczuliła się, ponieważ odwiedził ją dawny znajomy z jej rodzinnego miasta.

- Nie - odparł Sztorm, rozrzucając w boksie świeże siano. Robotę powinni wykonać dwaj parobcy, którzy jednak byli wciąż zajęci, pewnie naprawianiem ogrodzenia.

- Myślisz, że bym go polubił?

- Chyba nie.

- Kapuję. Ale pamiętaj, żebyś więcej nie doprowadzał mamy do płaczu! Mama jest pod moją opieką - ostrzegł go Pete.

- Nigdy w to nie wątpiłem - odparł z powagą dorosły.

Po ustaleniu tej ważnej kwestii Pete ostatecznie się odprężył.

- Aleśmy wtedy przeżyli burzę, no nie? - odezwał się pojednawczo. - Kumpel w szkole mówił, że widział, jak koło jego domu wywaliło przyczepę załadowaną grejpfrutami i zrobił się z tego dziki karambol.

- Nie jestem pewien, czy można tornado nazwać burzą - rzekł Storm z namysłem. - Albo na przykład huraganem ...

- Widziałeś kiedy huragan?

- Hm ...

- A prawda, nie pamiętasz - zreflektował się Pete.

Do stajni weszła Ellen, prowadząc oba wałachy. Sztorm wziął od niej wodze i wprowadził konie do świeżo oczyszczonych boksów. Zrobił to automatycznie, nie zastanawiając się, czy umie obchodzić się z końmi.

- Mamo, mówiłem ci, że kotka Joeya ma dwa kociaki?

- Nie, jeszcze mi tego nie mówiłeś - odparła Ellen. Była zajęta oczyszczaniem kopyt jednej z klaczy.

- Oczywiście wolalbym psa, ale kotki też byłby fajny. Było to pytanie raczej niż stwierdzenie i Sztorm czekał z ciekawością na reakcję Ellen. Ona jednak milczała. Być może jest to dalszy ciąg zadawnionego sporu, do którego lepiej się nie wtrącać.

Wałachy były spokojne i posłuszne, natomiast klacz imieniem Sara zachowywała się nerwowo.

Sztorm odruchowo zaczął ją klepać po szyi i wkrótce nie tylko się uspokoiła, lecz jęła się o niego ocierać, zapewne oczekując jakiegoś przysmaku.

- Sara lubi jabłka - podsunął mu Pete. - Jabłka i marchewkę.

- Czy boks Zeusa oczyszczony?! - zawołała Ellen. - Już ja się rozprawię z tymi dwoma nierobami, jak tylko się pojawią. Wiedzą dobrze, że pierwsze, co mają zrobić z rana, to oczyścić stajnię. - Prowadziła na wodzy ogiera o prawdziwie gromowładnym usposobieniu.

Sztorm obserwował Ellen, która nie bez pewnego trudu wmanewrowała do boksu potężnego Zeusa. Mimo że prowadzenie wielkiego ogiera najwyraźniej przekraczało jej siły, zachowywała się wobec niego stanowczo i nieustępliwie, trochę tak jak wobec Pete'a.

- Nie oczyściłam mu kopyt - rzekła. - Clyde to robi, kiedy się pojawi. Może nie uwierzysz, ale on umie obchodzić się z końmi.

- Ma doświadczenie z wyścigów konnych.

- Co mówisz? - Zamknąwszy wejście do boksów, Ellen rozglądała się po stajni, sprawdzając, co jeszcze zostało do zrobienia.

- Nic takiego, przyszło mi tylko do głowy, że Clyde przypomina takich osobników, jacy kręcą się zwykle przy torach wyścigowych, wykonując rozmaite pomocnicze zajęcia. Nie mogę sobie przypomnieć, jak się ich nazywa.

- Widać znasz się na wyścigach - zauważyła. - To już coś.

- Myślisz? Ale na dżokeja jestem chyba za wysoki?

- O pół metra za wysoki i o dwadzieścia kilo za ciężki. Ale mógłbyś być instruktorem - albo ujeżdżaczem.

- Nie sądzę - odparł po namyśle. - Czuję się w stajni swobodnie, ale nie wydaje mi się, żebym

naprawdę znał się na koniach.

- Mógłbyś być właścicielem stajni. Sądząc po ubraniu, mógłbyś nim być. Może utyłanym w błocie, ale zamożnym właścicielem stajni.

Spodobało mu się jej żartobliwe podejście do jego problemu. A poza tym czuł wyraźnie, że niedługo wróci mu pamięć. Najpewniej stanie się to nagle i od razu będzie wiedział ... dokąd iść.

Tak, ale potem wróci. Musi do niej wrócić, ponieważ Ellen bardzo potrzebuje oddanego przyjaciela. Zostanie jej przyjacielem. Chce być jej przyjacielem. A może nawet, zadumał się, wsparty na widłach, może połączy ich kiedyś coś więcej niż przyjaźń?

Ale co będzie, jeżeli się okaże, że ma żonę i dzieci, którzy czekają na powrót męża i ojca, na przykład, z długiej podróży służbowej?

- Mamo, skończyłem. Czy mogę teraz skoczyć do Joeya? Chcieliśmy pograć w piłkę.

- A odrobiłeś lekcje?

- Mamo!

- Jak szybko odrobisz lekcje, odwiozę cię do Joeya furgonetką. Zdążycie jeszcze przed zmrokiem pograć godzinę albo i dłużej.

Po odejściu Pete'a, Sztorm przymierzył się do taczki z nawozem, który miał wywieźć ze stajni.

- To Pete chodzi zwykle do Joeya piechotą? - zdziwił się. - Przecież on mieszka ze dwa kilometry stąd

..

- Trudno, tak już jest. Dawniej jeździł rowerem.

- Rozumiem. A kiedy są jego urodziny?

- We wrześniu.

- No to będzie musiał poczekać do Bożego Narodzenia.

Podczas gdy Ellen odwoziła Pete'a do kolegi, Sztorm zabrał się do gotowania kolacji. Był przekonany, że' zna się trochę na kuchni, a w każdym razie na pewno umie rozmrażać jedzenie i posługiwać się mikrofalówką.

- Naprawdę nie musisz tego robić - rzekła Ellen po powrocie, siadając na krześle.

Widać było jednak, że jest wykończona. Niepożądana wizyta dawnego znajomego, która przywołała przykre wspomnienia, wiele musiała ją kosztować.

Pomyślał sobie, że po dniach wypełnionych nieprzerwaną, wyczerpującą pracą należy jej się. czasem jakaś odmiana.

Chętnie zabrałyby ją wieczorem do miasta. Na kolację, do kina, może na dansing. Nigdy nie widział Ellen w sukience. Na pewno wyglądałaby olJniewająco.

Zauważył dziś, że część pastWIska zostara niedawno skoszona, a siano w belach zwiezione do stodoły. Najwidoczniej Booker i Clyde umieją się czasem przyłożyć do roboty, bo nie widział, by Ellen jeździła starym traktorem.

Ale kto wie, może i z tym umie sobie poradzić. Ellen nieustannie czymś go zaskakuje. Raz zdumiewa siłą ducha i czysto fizyczną odpornością, to znów wrażliwością, a nawet bezradnością.

- Kolacja będzie gotowa za dziesięć minut - oznajmił. - Pojedziesz po Pete'a, czy go odwiozą?

- Sama go odbiorę. Nie lubię prosić Ludlumów o przysługi. Zresztą znam tylko ojca Joeya, jego matki nigdy nawet nie widziałam na oczy. Nie są towarzyscy.

- Następnym razem powinnaś sobie znaleźć przyjaźniejszych sąsiadów.

- Którzy mogliby ustalić, kim jesteś i skąd pochodzisz?

- Którzy po tornadzie przyjechaliby zapytać, czy nic ci się nie stało - odbił piłeczkę Sztorm, sięgając po pudełko z ryżem i odczytując przepis na gotowanie.

- Przecież ci mówiłam, że zadzwonił - odparła, zabierając się do nakrywania stołu. - Słuchaj, a może po odebraniu Pete'a skoczę do biblioteki i zobaczę, czy nie mają czegoś na temat amnezji? To nie potrwa

długo, kolacja mogłaby poczekać.

- Nie warto. Mam wrażenie, że lada chwila wszystko sobie przypomnę.

- Słuchaj, a może jest coś, czego boisz się dowiedzieć? - Wyraz twarzy Sztorma zdawał się potwierdzać jej podejrzenie. - Zresztą, co ci szkodzi poczytać o przyczynach amnezji, sposobach jej leczenia i jak długo może trwać?

- Czy ja wiem? Mozerzeczywiście uciekam wamnezję, żeby uniknąć zderzenia z rzeczywistością? - To jedna z ewentualności, jakie brał pod uwagę. Były też inne, bardziej przerażające, o których wołał nie wspominać.

- Co to, to nie - zaprotestowała gwałtownie. - Najlepsze są zawsze najprostsze wyjaśnienia. Miałeś na głowie guza wielkości melona i to jest powód. Czysto fizyczny. Nie wmawiaj sobie jakichś psychicznych oporów w rodzaju lęku przed stawieniem czoła rzeczywistości. Trochę cię już poznałam i wiem, że na pewno nie jesteś tchórzem.

- No proszę, odkąd to stałaś się taką znawczynią charakterów? A co do mojego guza, to był wielkości najwyżej cytryny. Możesz mi powiedzieć, gdzie stoi garnek do gotowania ryżu?

- Na górnej półce, ten z ciasno przylegającą pokrywką. Na pewno umiesz gotować ryż?

- A może mnie zapytasz, czy umiem gotować wodę? - odciął się jej szybko.

- Nie muszę, wiem, że to akurat potrafisz. Aha, i do odmierzenia ryżu weź suchą filiżankę, bo inaczej przyklei się do ścianek. I zrobi się biały werniks.

- Mądrała! - mruknął pod nosem. Nie zrobi jej tej przyjemności i nie zapyta, o co chodzi z tym białym werniksem.

- No to jadę teraz po Pete'a - powiedziała, wstając z krzesła. - Nie chcę, żeby zaczęli się niecierpliwić, kiedy go zabiorę.

Kurczak był wysuszony, a jarzyny bez smaku. Ryż zapomniał posolić. Pete jadł bez apetytu, i nic dziwnego. Będzie lepiej, jeśli na przyszłość zostawi gotowanie Ellen.

Jakby miała za mało pracy, westchnął w duchu Sztorm, czując wyrzuty sumienia.

Powiedziała coś, czego nie dosłyszał. Był zbyt zaabsorbowany własnymi myślami. Przyjrzała mu się, przekrzywiając głowę.

- Sztorm, co ci jest? Zaczynasz sobie przypominać? - spytała.

- Przez moment miałem takie wrażenie - odparł z wahaniem. - Coś zaświtało mi w głowie, ale umknęło, nim zdołałem się skoncentrować.

- Co to było? Imię na "S" czy nazwisko na "H"? Jak litery w monogramie, pamiętasz? Może Sztorm Harrison? Albo Harrison Sztorm? A może Harry Smith?

- A może Kevin Costner? - podsunął Pete. - Ma "s" i "h" w środku.

- Przykro mi kolego, ale "h" nie ma. Obawiam się, że będę musiał obniżyć ci stopień z ortografii.

Jego umysłowe wysiłki przypominały bieg po ruchomych piaskach. Nie posuwał się naprzód, choćby nie wiedzieć jak szybko przebierał nogami., Tak jak wtedy ...

- Przepraszam - wybąkał, odsuwając się gwałtownie od stołu.

- Czy coś się stało?

- Nie, nic. Muszę tylko na chwilę wyjść, odetchnąć świeżym powietrzem. Zostawcie naczynia, później je pozmywam.

Ellen też się podniosła.

- Nie troszcz się o zmywanie - rzekła. - Mam nadzieję, że to nie z powodu kolacji. Wcale nie była taka zła. .

- Dziękuję za subtelny komplement - odburknął, wkładając starą kurtkę Jake'a i ruszając ku drzwiom. Ellen wyszła za nim do sieni i przytrzymała za rękę.

- Chciałabym ci pomóc, ale musisz mi na to pozwolić. Powiedz, co ci się przypomniało, może mi się z czymś skojarzy.

- Przywieź te książki, o których mówiłaś!

- Dobrze, jeszcze zdążę. Biblioteka jest czynna do dziewiątej.

Z dworu przez otwarte drzwi wionęło zimnym powietrzem. Za dnia było jeszcze ciepło, lecz wieczorem temperatura gwałtownie spadała.

- Nie chcę, żebyś jeździła po nocy. Poczekam do jutra. I przepraszam za swoje zachowanie, ale już miałem wrażenie, że jakaś klapka otwiera mi się w głowie, a tu znowu nic!

- Nie musisz mnie przeproszać. - Ellen nieświadomie pogłaskała go po rękę. - Chciałam ci pomóc odzyskać pamięć, ale jeżeli sobie tego nie życzysz, nie będę się napraszać.

- Nie gniewaj się, Ellen. Nie musisz tam dzisiaj jechać. - Omal nie dodał, że wystarczy, jeżeli jutro w ciągu dnia podrzuci go do biblioteki albo pożyczyci mu furgonetkę, lecz w porę ugryzł się w język. Nie ma przecież karty bibliotecznego ani prawa jazdy. Wie natomiast jedno: że jego nazwisko brzmi Harrison. No, prawie wie.

W książce telefonicznej było kilkunastu abonentów o nazwisku "Harrison", niektórzy mieli nawet właściwe inicjały. Kiedy zadzwonił dziś rano pod jeden z tych numerów, w słuchawce odezwał się nagrany na taśmę kobiecy głos: "Tu Jessica Harrison, nie mogę teraz podejść do telefonu, ale proszę ... "

Zniechęcony nieudaną próbą, nie podjął następnych. Niemniej czuł coraz wyraźniejszy związek z zaginionym prokuratorem okręgowym. Kierując się zdrowym rozsądkiem, powinien niezwłocznie zwrócić się do policji o pomoc w ustaleniu jego tożsamości, nadal jednak czuł podświadomą niechęć do podjęcia takiego kroku. Może rzeczywiście boi się spojrzeć prawdzie w oczy?

- Ellen, chcę, żebyś o czymś wiedziała. To może być ważne. - Teraz on pogłaskał ją po rękę.

- Mamo, wymiotłem wszystko z talerza! - zawołał Pete z kuchni. - Czy mogę teraz zjeść siedem herbatników?

- Tylko trzy - odrzekła, nie odwracając się od Sztorma.

- Myślisz, że on naprawdę zjadł to świństwo?

- No nie. Wymiotł wszystko do kubła. Nie powiedział prawdy, ale i nie skłamał - szepnęła ze śmiechem.

Stali tak blisko siebie, i że 'niemal dotykał brodą jej czoła. Czuł zapach jej włosów. Było mu dobrze, wręcz błogo.

- Co takiego powinnam wiedzieć? - przypomniała mu.

- Nie wiem dlaczego, ale z jakiegoś powodu obawiam się kontaktu z policją. Powiniennem pojechać do miasta i ujawnić się, coś mnie jednak przed tym powstrzymuje. - Tak bardzo wyteżał umysł, usiłując pochwycić myśl błakającą się pod samym progiem świadomości, że na czoło wystąpiły mu krople potu. - Powiedz mi, jaki można mieć rozsądny powód, żeby bać się kontaktu z policją? Poza najoczywistszym?

Nie odpowiedziała.

- Ellen?

- Zastanawiam się. - Westchnęła głęboko. - Powiem ci, co myślę. Absolutnie nie wierzę, żebyś mógł być kryminalistą. A jeśli chodzi o twoje pytanie, to istnieje wiele powodów, dla których nawet najporządniejszy człowiek może nie mieć ochoty na to, by oddać się w ręce policji.

- Wymień choćby jeden.

Ellen cofnęła się o krok, uwalniając rękę, z jego dłoni. Jednakże Sztorm miał tak silną potrzebę bliskiego kontaktu, że przyciągnął ją z powrotem ku sobie.

- Na przykład, jeżeli policja jest skorumpowana - odparła.

Wstrzymał oddech.

- A czy jest? - zapytał.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Co prawda nie miałam okazji sprawdzić tego na własnej skórze. Znam tylko

lokalnego szeryfa. Nie słyszałam, żeby wobec naszej lokalnej policji wysuwano jakieś zarzuty.

- Ale pewności nie masz. - Przyciągnął Ellen jeszcze bliżej, a ona nie zaprotestowała, jakby to była najnaturalniejsza rzecz na świecie.

- Nie, pewności nie mam - przyznała.

- Chciałbym cię o coś zapytać.

- Co chcesz wiedzieć? Ile mam lat, ile ważę, jakie miałam w szkole przydomek? - Celowo mówiła byle co, żeby zagadać narastające między nimi napięcie,

- Nie, nic z tych rzeczy, chociaż przydomek też byłbym ciekaw. Czy możesz mi zdradzić, co to jest biały werniks?

Parsknęła śmiechem. Mimo panującego w sieni mroku Sztorm miał wrażenie, że w jej oczach zapaliły się iskielki.

- To termin z dziedziny malarstwa. Nie mówiłam ci, że studiowałam historię sztuki? Nie bardzo wiem, dlaczego, ale wtedy wydawało mi się to ciekawe.

- A co ten termin oznacza? - zapytał.

Celowo poruszył ten osobliwy temat, aby nie myśleć o najważniejszym: o tym, jakie uczucia budzi w nim jej fizyczna bliskość.

- Tak nazywano specjalną technikę stosowaną przez dawnych mistrzów. Pokrywali gotowy obraz cieniutką białą powłoką, nadającą ciepłym kolorom chłodniejszy, niebieskawy odcień.

- Ciekawe. Muszę to sobie zapisać, nigdy nie wiadomo, co człowiekowi może się w życiu przydać, Ellen znowu się foieśmiała, on jej zawtórował, ale gdy tylko śmiech zamarł, atmosfera znów stała się napięta. Naładowana oczekiwaniem. Całkiem jak wtedy, gdy ujrzał przed sobą zbliżające się z hukiem tornado.

Nieśmiało dotknął jej ust. Był to pocałunek delikatny i niezmiernie czuły. Ellen rozgarnęła połę ciężkiej kurtki i uchwyciła się obiema rękami jego koszuli. Mimo mało romantycznych okoliczności Sztorma ogarnęło nie znane mu dotąd wzruszenie. Nie wiedział, skąd o tym wie, niemniej miał pewność, że pierwszy raz w życiu doznaje podobnego uczucia.

Na dźwięk tłukącego się naczynia odskoczyli od siebie.

- Muszę pójść zobaczyć ... - szepnęła.

-Ja też.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Pospieszyła do kuchni. Sztorm szedł tuż za nią.

- Przepraszam, mam, talerz sam wysliznął mi się z ręki.

- A jedzenie też pewnie samo wysliznęło się do kubła? - zapytała, mierząc Pete'a surowym spojrzeniem.

Uznała, że powinna zaprowadzić wobec syna większą dyscyplinę. Znadto mu dotąd pobłażała, bo albo litowała się nad jego sieroctwem, albo miała inne kłopoty na głowie.

Wygłosiła więc ostre kazanie, po czym, uzyskawszy od syna obietnicę poprawy, odesłała go na górę, każąc mu przed pójściem spać odrobić resztę lekcji: skończyć czytanek i napisać wypracowanie.

- Tak jest, mamusiu - odparł potulnie Pete, kierując się ku schodom z miną przestępcy skazanego na galery. - Chętnie przeczytam przed snem twoje wypracowanie! - zawołał za nim Sztorm. - Ale pospiesz się. Wiesz, że twoja mama każe mi wcześniej iść do łóżka.

Mały pokwitował żart bladym uśmiechem.

- Muszę jeszcze pojechać na pastwisko i sprawdzić, czy Clyde i Booker naprawili ogrodzenie - rzekła Ellen.

- Zostań w domu, ja pojedę.

- Nie masz prawa jazdy. I nie wiesz, dokąd jechać.

- Wobec tego pojedę z tobą.

- Ktoś musi zostać z Pete'em.
- Nie przesadzaj, to duży chłopak, ma już osiem lat!

Zresztą nie wyjeżdżamy na długo.

- Uważasz, że osiem lat to dużo? Tak dobrze znasz się na dzieciach? - zachnęła się, lecz natychmiast zawstydyła się s~oich ostrych słów. Nie powinna wyładowywać rozdrażnienia na życzliwym człowieku, który stara się jej pomóc.

Ale najlepiej by jej pomógł, gdyby wziął ją w ramiona i pozwolił się wypłakać.

- Czy znam się na dzieciach? Chyba nie bardzo. Zajęta swoimi myślami, nie od razu zrozumiała, że Sztorm o<;lpowiada na jej niegrzeczną odzywkę.

- Przepraszam za to, co powiedziałam.

- Nie gniewam się. Ale wierz mi, że Pete'owi nic się nie stanie, jeżeli na pół godziny zostanie sam w domu. Byłoby znacznie gorzej, gdybyś nie daj Boże potknęła się po ciemku i złamała nogę. Nie wiedziałbym nawet, gdzie cię szukać.

- Dobrze sobie! Zaraz zaczniesz mi wmawiać, że nie dbam o twoje dobre samopoczucie! Ach, dajmy temu spokój i jedźmy! To niedaleko. Kilka minut drogi w jedną stronę.

Jechali w milczeniu porytą koleinami drogą. Pierwsza odezwała się Ellen.

- Przepraszam za moje zachowanie, ale miałam dzisiaj wyjątkowo trudny dzień.

Sztorm poprawił się na siedzeniu., Domyślał się głównej przyczyny jej rozdrażnienia. I majpewniej nie chodzi o Pete'a ani o ogrodzenie, lecz o jej stosunki z ojcem. O to, co ich poróżniło. Ellen pewnie nie powiedziała mu na ten temat wszystkiego. Wizyta Sandersa musiała odświeżyć w jej sercu dawne rany i obudzić poczucie winy.

A on nie może na to nic poradzić.

Ellen skręciła z polnej drogi na niewielką polanę.

- To tu. Przewrócone ogrodzenie ... - zaczęła.

- Nie zostało naprawione - skończył Sztorm.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu, patrząc na powywracane paliki i walające się po ziemi zwoje kolczastego drutu. Wreszcie Ellen pchnęła drzwi i wysiadła z samochodu.

Sztorm poszedł za jej przykładem. Stanąwszy za Ellen, już miał położyć jej ręce na ramionach, lecz rozmyślił się w obawie, by niewczesną czułością nie doprowadzić jej do płaczu. Okazało się jednak, że Ellen wcale nie ma zamiaru się rozczulić.

- Przysięgam, że zamorduję tych skurwysynów własnymi rękami! Wydłubię im oczy, będę dusić i przypiekać na wolnym ogniu. A potem rzucę psom na pożarcie.

O mały włos nie parsknął śmiechem.

- Sam bym tego lepiej nie ujął - przytaknął gorliwie. - Ale najpierw musimy ich dopaść.

- O to się nie martw. Prędzej czy później stawią się po pieniądze. teraz piją, bo w piątek dostali tygodniówkę, i będą tak chlać do poniedziałku. Juz ja ich znam. Pojawią się najwcześniej we wtorek i dopiątku będą udawali, że pracują. A od piątku znowu pójda w tango.

Nie chcąc stać z założonymi rękami, Sztorm zebrał z ziemi porozrzucone narzędzia i wrzucił je na tył furgonetki. Potem podszedł do najbliższego stojącego słupka i poruszył nim, chcąc się przekonać, czy nie jest zmuszały. Drewniany palik pochylił się i wywrócił, pociągając za sobą trzy następne odcinki ogrodzenia.

- Miał rację, mówiąc, że są zmuszałe - zgnębionym głosem rzekła Ellen.

- Faktycznie, ale dzisiaj nic już nie zdziałamy - odparł rzeczowo. - Do jutro niewiele się tutaj zmieni. Chodźmy, ja poprowadzę - dodał, a fakt, że Ellen nie .zaprotestowała, naj dobitniej świadczył o stanie jej ducha.

Zatrzymali się przy samochodzie. Promienie zachodzącego słońca podkreślały zarys jej policzków, jej czyste, wysokie czoło. Nie do wiary, jak bardzo pociąga go ta zagadkowa, twarda i nieustępliwa kobieta w wysokich butach i bezkształtnym, niedbałym ubraniu.

- Wracajmy! - ponaglił. Bał się ulec pokusie.

- Dobrze, jedźmy - wyszeptła łamiącym się głosem.

Tego już było za dużo. Niewiele się namyślając, objął ją, wtulając twarz w jej włosy.

- Och, Ellen! - wymamrotał. - Co ty ze mną robisz!

Ostatni promyk złota znikł za przesłoną chmur. Gdzieś na drzewie synogarlica rozpoczęła swoje żałobne pienie. Sztorm nadal tulił Ellen, lecz trzymał zmysły na wodzy, zdając sobie sprawę, że w tej chwili bardziej niż seksu ta kobieta spragniona jest czułości.

Gdyby tylko potrafił uwolnić ją od trosk! Na jak długo jeszcze starty jej dzielności? Jak długo ma się samotnie szarpać z ciężarem życia, bez nadziei na, lepszą przyszłość?

- Jedź, kochanie! - powiedział. - To był ciężki dzień. Musisz odpocząć.

Otworzył drzwi i pomógł jej wsiąść do samochodu.

- Nie patrz na mnie - odezwała się po chwili, co naturalnie dało odwrotny efekt.

Spojrzał na nią i zobaczył łzy spływające po jej twarzy. Po powrocie na farmę Ellen poszła najpierw sprawdzić przed nocą pomieszczenia gospodarskie, a Sztorm pobiegł do domu zajrzeć do Pete'a. Podczas ich półgodzinnej nieobecności zrobiło się ciemno i w pokojach panował mrok. Sztorm z przyjemnością przemierzał skromne, znajome pomieszczenia, do których zdążył tak dalece przywyknąć, że czuł się w nich jak u siebie w domu.

Został Pete' a śpiącego kamiennym snem na łóżku, z nosem wciśniętym w poduszkę. Z uśmiechem rozejrzał się po pokoju, w którym panowały prawdziwie chłopięce porządki. Na krześle piętrzył się stos starannie poskładanych ubrań z minionego tygodnia, a na małym biurczku, na którego skraju leżały książki i zeszyty, królował jeszcze niedokończony, plastikowy model samolotu F-18 Delta Wing.

Ellen wkrótce tutaj wkroczy i zaprowadzi własny ład, on jednak patrzył ze zrozumieniem na rządzący pokojem małego porządek. Chyba nieźle rozumiał dorastających chłopców.

Czy tyłk:o dlatego, że sam był chłopcem? A może ma syna w podobnym wieku?

Nagle przyszło mu nie wiadomo skąd do głowy, że mając ośmioletniego syna, nie tylko budowałby razem z nim modele samolotów, ale umiałby mu powiedzieć, co czuje pilot, kiedy siedząc w kokpicie, trzyma rękę w skórzanej rękawicy na sterze potężnej maszyny.

Zamarł w bezruchu, usiłując pochwycić obraz, który przelotnie ukazał się w jego wyobraźni. Jednakże wizja znikła równie szybko, jak się pojawiła ..

J.S. Harrison. Kolejny raz uderzyła go zbieżność między zniknięciem człowieka o tym nazwisku, a pojawieniem się bezimiennego mężczyzny z chustką opatrzoną monogramem S.H. w kieszeni. Może to właśnie on? Nim jednak cokolwiek zrobi, musi się o tym upewnić. Głównie dlatego, że nadal nie może się wyzbyć nieokreślonego lęku przed ujawnieniem się.

Delikatnie przykrywszy Pete'a kocem, wsrzedł na palcach z pokoju i zszedł do kuchni.

- Pewnie już śpi? - spytała Ellen.

- Jak kamień. - Chwilę stał niezdecydowany. - Wiesz co? Mógłbym przysiąc, że znam się na odrzutowych samolotach myśliwskich.

- Może jako chłopiec zbierałeś modele samolotów? - podsunęła, nastawiając kawę i wyjmując z kredensu deserowe talerzyki.

- Nie sądzę. Zresztą wtedy nie było F-18. Ale gdybym był pilotem, to powinienem nosić mundur.

- Nie znam się na tym. Może latałeś na liniach pasażerskich. - Otworzyła zamrażalnik. - Co wolisz,

ciasto kokosowe czy szarlotkę?

- Jedno i drugie.
- Figa z makiem.

Z przyjemnością obserwował jej spokojną, celową krzątaninę. Działała mu na wyobraźnię, chociaż w ruchach Ellen nie było nic uwodzicielskiego. Nagle wstał i zaczął niespokojnie krążyć po kuchni.

- Wiesz, te nieoczekiwane przebliski świadomości doprowadzają mnie do szaleństwa. Coś nagle zaczyna mi świtać, ale jak tylko spróbuję się na tym skoncentrować, ulatuje bez śladu. Zupełnie jakbym chwycił strzępki mgły. Myślisz, że to normalne?

- Siadaj!
- Słuchaj, im prędzej zdobędziesz te książki, tym ...
- Siadaj i jedz! Wznosisz tylko kurz i zdeptujesz mi podłogę.
- Opowiedz mi jeszcze raz o tych dwóch facetach, którzy mnie szukali.
- Przecież już ci mówiłam.
- Opowiedz jeszcze raz!
- Dobrze, ale musisz usiąść. Mam wrażenie, że za chwilę zdemolujesz mi mieszkanie.
- Nie mam zwyczaju niczego demolować - oświadczył urażonym tonem, niemniej posłusznie usiadł przy stole. - Opisz mi ich jeszcze raz. Może tym razem coś mi się przypomni.
- No dobrze. Przerwij, jak będziesz miał dosyć. Wzięła głęboki wdech. - No więc było późno, byłam bardzo zmęczona. W stanie silnego stresu.

- Tak, i co?
- Mówisz, że te twoje przebliski przychodzą ni stąd, ni zowąd. Podobnie jak przecucia, czy tak?
- Teraz mówimy o tamtych dwóch, a nie o moich przebliskach.
- Ale mnie zdarzyło się wtedy coś bardzo podobnego. Od pierwszej chwili wydali mi się podejrzani. Czulałam, że kłamią. Gdyby rzeczywiście szukali zaginionego przyjaciela, powinni być może niekoniecznie zrozpaczeni, ale . przynajmniej mocno zatroskani. A wcale na takich nie wyglądali.
- I te dwa podejrzane typy twierdziły, że szukają swojego kumpla, J.S. Harrisona. Czy możesz ich dokładniej opisać?

- Hm. Jeden prawie się nie odzywał, był raczej niski, niewiele wyższy ode mnie, ale rysów twarzy nie widziałam, bo stał w cieniu. Lepiej zapamiętałam drugiego, a właściwie jego tatuaż. Był w czarnym podkoszulku, ale część tatuażu widać było nawet na szyi; jakby płomienie czy może węże albo jakieś macki.

Próbował złożyć nie pasujące do siebie kawałki łamigłówek: Z jednej strony oprychy podające się za jego znajomych, z drugiej - bliżej niesprecyzowany związek z osobą okręgowego prokuratora. Co może łączyć te dwa wątki? A do tego natrętyie powracająca myśl o areszcie i więzieniu.

A także instynktowna niechęć do zgłoszenia się na policję?

Odsunął talerzyk z ciastem.

- Straciłem apetyt - wyjaśnił.

Twarz Ellen przybrała żalony wyraz. Było jasne, że powinna była mu dawno powiedzieć o podejrzanej wizycie, ale robienie jej z tego powodu wyrzutów nie posunie sprawy do przodu. Zresztą ma dosyć własnych problemów, znacznie trudniejszych do rozwiązania niż zagadka jego tożsamości.

- Nie miej do siebie pretensji - powiedział. - Myślę, że zrobiłaś słusznie, odsyłając ich z kwitkiem. Mogli mieć złe zamiary, a ja nie mogłem się bronić.

Ani obronić ciebie! - przyszło mu nagle do głowy. Po raz pierwszy dotarło do jego świadomości, iż niebezpieczeństwo, którego instynktownie się obawia, może zagrażać nie tylko jemu, ale i jej.

Ellen miała nadal niepewną, skruszoną minę. Jakby nie wiedziała, czy ma się rozplakać, czy uśmiechnąć. Tak czy tak, cholemie mu się podobała. Przysunął sobie z powrotem talerzyk z ciastem.

- Wygląda smakowicie - oświadczył, zabierając się do jedzenia.

W parę minut później ~ wstali od stołu, niemal w pogodnym nastroju.

- Niewykluczone, że uratowałaś mnie przed aresztowaniem. Tamci dwaj mogli być na przykład łowcami nagród, którzy wiedzieli, że jestem poszukiwanym przestępcą usiłującym zwać za granicę.

Ellen tylko ziewnęła i powiedziała coś o synu i aniele stróżu, czego nie dosłyszał, bo całą jego uwagę pochłonięła gra świateł na jej szyi. Trudno mu będzie dzisiaj zasnąć - nie tylko wskutek kłopotów z własną tożsamością.

- Oboje jesteśmy skonani - powiedział. - Bardzo cię proszę, nie zmywaj naczyń. Zrobię to jutro z samego rana.

- Psujesz mnie.

- Bardzo bym chciał. Ktoś wreszcie powinien zacząć cię psuć - odparł czule, ujmując ją za rękę.

Miał wrażenie, że przyciąga ich ku sobie jakaś niepowstrzymana siła. Czy ona czuje to samo, czy tylko jest zbyt zmęczona, aby się opierać?

Otoczył ją ramionami i uściskał, nie pozwalając sobie jednak na pocałunek.

- Idź spać - powiedział. - Sam zamknę drzwi i pogaszę światła.

Długo leżał bezsennie, wpatłując się w ciemność i analizując zagadkę swojej tożsamości. Gdyby mógł wybierać, najchętniej by się zidentyfikował z zaginionym prokuratorem, niemniej równie dobrze może być po prostu skorumpowanym urzędnikiem, jakich wielu kręci się w sferach biznesu i polityki. Albo komiwojażerem ze skłonnością do mitomanii.

- Skup się, do jasnej cholery! - powtarzał sobie. - Już parę razy byłeś o krok od przypomnienia sobie wszystkiego!

W końcu zrezygnował, skupił uwagę na smugach światła padającego przez okno na ścianę, i wreszcie zasnął.

Obudził się o świcie.

I wszystko sobie przypomniał!

ROZDZIAŁ ÓSMY

W pierwszym odruchu chciał niezwłocznie pobiec z nowiną do Ellen. Zaczął nawet wciągać spodnie, ale zamiast tego usiadł z powrotem na łóżku.

Jeśli dobrze pamięta, wiadomość o zaginięciu prokuratora okręgowego ukazała się w prasie tylko dwa razy. Dlaczego tak szybko przestano o nim pisać? Prokurator okręgowy to ważna postać. Zwłaszcza w obecnej chwili, kiedy mafia stara się uzyskać większy wpływ na lokalną politykę w Mission Creek.

Ostatni nagłówek w lokalnej gazecie: "Nowo mianowany prokurator okręgowy kontynuuje śledztwo w sprawie zamordowania sędziego" - obrażał zdrowy rozsądek. Szybkie mianowanie nowego prokuratora to na pewno robota DeI Bria. Normalna procedura nakazuje zawiesić dochodzenie i rozpocząć intensywne poszukiwania.

Teraz rozumiał, dlaczego w trakcie czytania tamtego artykułu zbierało mu się na wymioty. W zaistniałej sytuacji powinien niezwłocznie się ujawnić, zanim mianowany na jego miejsce skorumpowany prokurator skłoni Aleksa Blacka do wzięcia całej winy na siebie, obiecując mu w zamian złagodzenie wyroku.

Wziąwszy dla uspokojenia kilka głębokich oddechów, Spence jeszcze raz przywołał najważniejsze fakty ze swego życia. Nazywa się Jason Spencer Harrison, ma trzydzieści pięć lat, urodził się w Midland w stanie Teksas, był za młodu na bakier z prawem i najprawdopodobniej zmarnowałby sobie życie, gdyby nie pomoc sędziego Bridgesa, który wykierował go na ludzi. To dzięki sędziemu trafił do Akademii Wojskowej i służył w piechocie morskiej - ba, dorobił się Srebrnego Krzyża - a potem został prawnikiem.

Czując się trochę jak pasażer napędzanej cudzą ręką karuzeli, zaczął gorączkowo podsumowywać zapamiętane z gazet informacje i snuć domysły na temat tego, co się za nimi kryje. Publikowane w prasie wiadomości na pewno nie odpowiadają prawdzie. Na przykład sprawa jego zniknięcia. Czy puszczono plotkę, że w trakcie przygotowań do ważnego procesu, w którym miał oskarżać, prokurator okręgowy wyjechał nagle w sprawach rodzinnych na długi czas do odległego stanu?

Cholera, gdyby potrafił odgadnąć, kto pociąga za sznurki, wiedziałby przynajmniej, jaką obrać taktykę! Niestety, w tak zamkniętej w sobie i żywej społeczności, jaka rządzi w Mission Creek, gdzie wszyscy znają się od pokoleń i gdzie znaczniejsze rodziny są ze sobą powiązane na wiele sposobów, trudno było się rozeznąć, kto naprawdę jest kim i w co może być zamieszany. Spence na palcach jednej ręki mógł policzyć ludzi, którym mógłby powierzyć własne bezpieczeństwo.

Spojrzał na zegar. Czwarta rano. Miał ochotę pobiec do kuchni i zacząć po nich wydzwaniać, bez względu na porę, lecz się opanował. Luke zapewne pozostaje poza zasięgiem, krążąc po Ameryce Środkowej w poszukiwaniu Philipa Westina. 'Są' mu' to winni. W końcu to Westin z narażeniem własnego życia wyciągnął ich oddział z niewoli.

No tak, ale Flynt i Tyler są w mieście. Dlaczego nie spowodowali rozesłania ogłoszeń o jego zaginięciu? Kiedy nie pojawił się po przejściu tornada, musieli odgadnąć, że stało się coś złego. Skoro nie podjęli żadnych działań, to widać mieli po temu ważny powód.

Położywszy się na plecach, z głową opartą na jednej ręce, podczas gdy palce drugiej obmacywały długą bliznę na ramieniu - pamiątkę po pobycie w niewoli - Spence jął na spokojnie rozważać swoją sytuację, biorąc pod uwagę zarówno znane fakty, jak i domysły. Wiedział mniej więcej, kto, jak i gdzie nakreśla zakulisowe sprężyny. Gorzej było z odpowiedzią na pytanie o cele oraz przyczyny tych poczynań.

Wkrótce potem zasnął, lecz przed zaśnięciem postanowił nie zdradzać na razie, iż odzyskał pamięć. To, co podają w telewizji i piszą w gazetach; może być częściowo prawdą, ale na pewno nie oddaje całej prawdy. Gdyby Ellen dowiedziała się, kim jest, musiałby się stąd wynieść, a tymczasem roztropność nakazuje pozostanie w ukryciu, dopóki nie ustalą, z której strony wieje wiatr. Przed swoim zniknięciem podjął walkę na śmierć i życie z ludźmi, którzy nie mają zwyczaju przebierać w środkach. Swoim przedwczesnym ujawnieniem się mógłby narazić Ellen na poważne niebezpieczeństwo.

Zadzwoić od razu do Tylera i Flynta? Nie, ich telefony mogą być na podsłuchu. Lepiej wysłać list, oczywiście bez adresu nadawcy. Dalsza zwłoka o dzień czy dwa nie zrobi różnicy. Będzie uważnie śledził, co dzieje się w sprawie Blacka, a jeśli nowy prokurator spróbuje wszcząć proces przed jej ostatecznym wyjaśnieniem, wówczas wkroczy na salę sądową, aby zatrzymać koło niesprawiedliwości. Bo chociaż Alex Black jest niewątpliwie płatnym mordercą, zasługującym na najwyższy wymiar kary, to jednak Spence'owi zależało przede wszystkim na ujęciu zleceniodawcy, który wydał rozkaz zastrzelenia sędziego. Jeżeli nie uda się głównego sprawcy postawić przed obliczem sądu, handlarze narkotyków i specjaliści od prania brudnych pieniędzy rozzuchwałą się do reszty.

Obudził się później niż zwykle, a przed wstaniem z łóżka jeszcze raz przemyślał swoją sytuację. Kiedy umyty, ogolony i ubrany wszedł do kuchni, Ellen i Pete byli dawno po śniadaniu. Wyjrawszy przez okno na podwórze, zobaczył, że Pete wraca do stajni, pchając opróżnioną taczkę, a Ellen wyprowadza na padok obie klacze. Najwidoczniej jest dzisiaj sobota albo jedno z owych tajemniczych szkolnych świąt, wymyślonych po to, aby nauczyciele mogli ograżać biurokratyczne obowiązki.

Do dzisiejszego dnia kalendarz niewiele dla Spence'a znaczył. W okresie przymusowej bezczynności czas niejako uległ zawieszeniu. Co bynajmniej nie oznacza, że w jego życiu nic się nie działo. Pod pewnym względem wręcz nabrało rumieńców. Do niedawna skłonny był przypisywać to swej długotrwałej abstynencji seksualnej.

Obecnie zaczynał rozumieć, iż to osoba Ellen wprawia go w stan niezwyklego pobudzenia.

No tak, ona i Pete to osobny problem, z którym w swoim czasie musi się zmierzyć. Niezależnie od tego, jak potoczą się jego dalsze losy, chciałby, aby na trwałe stali się częścią jego życia. Oczywiście, jeżeli się na to zgodzą. Na razie jednak o planowaniu stałych związków nie może być mowy. Nieninie, im prędzej doprowadzi do zwycięstwa sprawiedliwości, tym szybciej będzie mógł pomyśleć o swoich osobistych sprawach.

Kiedy wreszcie pojawił się na podwórzu, Ellen wyprowadzała ze stajni Zeusa, a Pete zabierał się do czyszczenia jego boksu. Na widok pomykającego bokiem dzikiego kota, potężny gniadosz wierzgnął kopytami i przewrócił wiadro. Ellen mocniej chwyciła wędzidło.

- Byłby spokojniejszy, gdyby ktoś regularnie na nim jeździł - rzekła, mocując się z opornym ogierem.
- Ja nie czuję się na siłach. Clyde dosiadł go parę razy, ale mu zabroniłam, bo źle się z nim obchodził.

Spence podszedł bliżej, z uznaniem mierząc wzrokiem zwierzę.

- Może ja bym spróbował?

- Myślisz, że byś sobie z nim poradził? I spytała, spoglądając na Spence'a z powątpiewaniem sp/od szerokiego ronda starego kowbojskiego kapelusza.

Omam hie wypalił, że był młodszy od Pete'a, kiedy dosiadał o wiele dzikszych koni. Ale powiedział tylko: - Nie wiem, musiałbym spróbować.

- Zaczniij od jazdy na innym koniu. Wałachy są łagodne. Klacze też, ale nie wiem, czy powinno się je dosiadać teraz, kiedy mają się ożrebić. A właśnie, muszę koniecznie zadzwonić do weterynarza. -

Ellen głęboko westchnęła. - Lista rzeczy, które powinnam zrobić, wydłuża się niczym nos Pinokia.

Nie była to skarga, tylko zwykłe stwierdzenie faktu, które jednak trafnie określało jej sytuację. Spence uznał, że póki korzysta z jej gościnności, mógłby przynajmniej przydać się na coś, ujeżdżając konie. Nie był może mistrzem rodeo, ale od lat żaden koń nie zdołał wyrzucić go z siodła.

Prawdą jest również, iż od lat nie siedział na koniu, i wobec tego lepiej nie ryzykować skręcenia karku na półdzikim ogierze. Ma w tej chwili ważniejsze sprawy do załatwienia. Zeus musi wziąć na wstrzymanie.

- Pete, pomożesz mi osiodłać wałachy?! - zawołał.

- A co, wybierzemy się na przejażdżkę? - ucieszył się chłopiec.

- Tak, chcę się przejechać. Z tobą albo z mamą. Chciałbym ... - już miał powiedzieć: "poćwiczyć mięśnie nóg, zanim dosiade ogiera", ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. - Chciałbym: się przekonać, czy potrafię jeździć konno, a mama uważa, że klacze trzeba na razie zostawić w spokoju.

- Przecież Clyde stale jeździ na Sarze - zdziwił się Pete.

- Niech go jasna cholera! - wybuchła Ellen. - Powiedziałam mu wyraźnie, żeby nie ruszał klaczy. Przecież może jeździć na wałachach. Od tego są

Spence położył jej rękę na ramieniu.

- Szkoda twoich nerwów. Klaczom na moje oko nic się nie stało, a tego łobuza zdązysz zwymyślać, kiedy się pojawi.

- Czekaj tatka latka! Jestem przekonana, że Clyde i Booker nieprędko się tu pokażą.

- Do diabła z nimi! - Spence osiodłał większego wałacha, który nazywał się Sam.

Pete założył mu popręg. Po wykonaniu tej czynności chłopiec wyprostował się i, wkładając o wiele na niego za duże robocze rękawice, zwrócił się do Ellen:

- Mamo? Ty jedź pierwsza. Ja muszę dokończyć sprzątanie boksov. Sztorm i ja przejedziemy się później.

Ellen i Spence popatrzyli na siebie nad grzbietem Sama. W jej oczach malowało się zdziwienie, w oczach zaś Spence'a - rozbawienie. Domyślił się, co małemu chodzi po głowie: uznał zapewne, że jego mama potrzebuje dorosłego opiekuna, i do tej roli wyznaczył jego.

Natomiast Ellen najwidoczniej niczego się nie domyśliła.

- Pete na pewno wolałby pojeździć konno niż sprzątać stajnię. Jedź z nim, ja zostanę.

- Nie zgadzam się - zaprotestował Spence. - Potrzebuję dorosłej asysty, na wypadek gdybym spadł z konia. - Poczekał, aż chłopiec oddalił się do stajni, i z szelmowskim uśmiechem dodał: - Zresztą Pete się nie zgodzi. Nie widzisz, że chce nas wyswatać?

- Gadasz byle co! - Wsunąwszy stopę w strzemień, wskoczyła na siodło ze zrećznością i wdziękiem tancerki.

- Wcale mu się nie dziwię - ciągnął Spence, wsiadając na drugiego wałacha. - Chłopak zdaje sobie sprawę, jak ci jest ciężko samej prowadzić gospodarstwo i jak trudno o fachowych parobków. Wie również, że jest za młody na to, żeby móc ci naprawdę pomóc. Cóż więc pozostaje?

- Nie mam pojęcia. Chyba nic. Przestań wygadywać bzdury! - rzuciła zniecierpliwiona.

Wyjechali z obejścia, kierując się tylną aleją ku pastwiskom. Ellen jechała pierwsza, sztywno wyprostowana. Obróciwszy się w siodle, burknęła przez ramię:

- Myślisz, że jesteś bardzo mądry, co? - Chyba się przy tym zarumieniła, ale Spence nie miał pewności, bo jej twarz kryła się częściowo pod rondem kapelusza.

- Może nie bardzo, ale od wczoraj trochę zmadrzałem! - zawołał wesoło.

Niech zgaduje, co chciał przez to powiedzieć. Zadał sobie na nowo pytanie, czy mimo wszystko nie wyznać Ellen prawdy. Oszukując ją, postępuje paskudnie, ale z drugiej strony, dla dobra ich wszystkich powinien jeszcze przez jakiś czas zachować anonimowość. Przynajmniej dopóki nie zorientuje się, jak wygląda sytuacja w Mission Creek.

Przed nadejściem tornada problemy Spence' a bynajmniej nie ograniczały do sprawy zniknięcia Westina i zbliżającego się procesu Aleksa Blacka. Między Frankiem DeI Brio i Rickym Mercado toczyła się zażarta walka o przywództwo w miejscowej mafii. Spence czułby się nieswojo, gdyby szefem mafii został Mercado - jego dawny przyjaciel i towarzysz broni. Mur wrogości, który ich rozdzielił po tym, jak on, Flynt i Tyler zostali wplątani w aferę tajemniczego zaginięcia siostry Ricky'ego, nadal istniał. Wprawdzie dzięki sędziemu Bridgesowi cała trójka została oczyszczona z zarzutów, niemniej ich stosunki z Rickiem były wciąż napięte.

Niemniej Spence zdawał sobie sprawę, że gdyby mafią kierował Mercado, jemu, jako prokuratorowi generalnemu, byłoby łatwiej zapanować nad sytuacją i doprowadzić do ograniczenia przestępczej działalności na jego terenie. Ricky Mercado, który mafijne powiązania odziedziczył po przodkach, nie był człowiekiem złym do imentu.

Okręg Lone Star nie tylko opływał ~w bogactwa, ale między panującymi w nim najbogatszymi rodzinami istniały od pokoleń skomplikowane powiązania. Na gruncie wielkich pieniędzy łatwo pleni się przestępczość, zaś utrwalone z dawien dawna więzi utrudniajil jej ujawnienie. Spence liczył na to, że jako prokuratorowi okręgowemu uda mu się wyplenić najgorsze przejawy choroby, a tym samym nie dopuścić do jej dalszego rozprzestrzeniania się.

Wie już dziś, kim byli dwaj posiukujący go mężczyźni. Nie znał ich osobiście, ale o nich słyszał.

Pozostają na usługach Franka DeI Brio, noszą ksywki Kapuś i Milczący Sal, i są bandziorami najniższej rangi. Obaj mają zbrodnicze skłonności wypisane na twarzy. Gdyby DeI Brio chciał go tylko odszukać, wysłałby bardziej przekonujących emisariuszy. Jeśli natomiast zamierza go zlikwidować, ci dwaj byłiby odpowiednimi wykonawcami takiego zadania.

Jest to dosyć jasna wskazówka, skąd wieje wiatr. Ellen ściągnęła lejce, przechodząc z klusa w powolny stęp. Nie wyglądała już, jakby połknęła kij. Ze wszystkich stron dolatywały późnojesienne, wiejskie zapachy: unoszącego się w powietrzu kurzu, dojrzałych grejpfrutów, świeżo nawiezionych pól. Z dala dochodziła ostra, żywcizna woń palonych-pni drzew. W ciszy rozlegał się tylko śpiew ptaków.

Całkowity spokój. Można wieść tutaj czynne i twórcze życie, nie tęskniąc za miejskim gwarem.

Spence prowadził wyso,kiego kasztana ze swobodą wytrawnego jeźdźca. Ellen albo nie zwróciła na to uwagi, albo nie uznała za godne skomentowania. W każdym razie, kiedy się z nią zrównał, wróciła bez wstępu do poprzedniego tematu.

- Nie wierzę, żeby Pete próbował mnie wyswatać. Zanadto kochał ojca - powiedziała.

- Ellen, nie widzisz, jak ten dzieciak się stara? Znajdź mi drugiego chłopaka w jego wieku, który pracowałby bez szemrania w piątki świątki i niedziele. Nigdy się na nic nie skarży. Zachowuje się jak dorosły, odpowiedzialny farmer.

- Mówisz tak, bo twoje dzieci są inne? Skarżą się, kiedy każesz im cokolwiek zrobić? Widać źle je wychowałeś.

Co miał jej na to powiedzieć, nie zdradzając, iż wie, że nie ma dzieci i nie jest żonaty?

Nie jest też związany z żadną kobietą. Oczywiście nie licząc Cassie, sympatycznej agentki handlu winem z Napa Valley, z którą ku obopólnemu zadowoleniu sypia od czasu do czasu, kiedy w swych podróżach służbowych wpada do Mission Creek.

Chwilę jechali obok siebie w milcz~niu.

- Przepraszam za to, co powiedziałam. Nie powinnam wyładowywać na tobie swoich frustracji - odezwała się Ellen, kiedy dojechali do połamanego ogrodzenia.

Spence bez słowa zeskoczył z konia.

- Pewnie nie masz nowych słupek w zapasie? - zapytał.

- Jeśli dobrze pamiętam, na strychu w stajni leży trochę akacjowych pali, pozostawionych przez dawnego właściciela.

Spence przeszedł się wzdłuż przewróconego płotu.

- Wiesz co? Myślę, że gdyby wymienić co trzeci słupek, udałoby się jako tako umocnić ten odcinek. Przynajmniej na jakiś czas - stwierdził rzeczowo. - Czy tamten teren również należy do ciebie? zapytał, wskazując grejpfrutowy gaj za ogrodzeniem.

- Tak, ale jest wydzierżawiony. Jake'a interesowała wyłącznie hodowla koni.

- A ty ją kontynuujesz. Za parę dni stado się powiększy.

- To właściwie przypadek. Poprzedni właściciel radził, żeby z kryciem klaczy poczekać rok albo i dłużej. Ale kiedy Jake zachorował, zdałam się całkowicie na pana Castera, który uznał, że trzeba dopuścić Zeusa do klaczy, bo inaczej rozniesie wszystkie ogrodzenia. No więc powiedziałam, żeby robił. Co chce. Dlatego będziemy mieli wkrótce dwa żrebaki. Nie wiem, jak sobie z tym wszystkim poradzę.

Spence milczał. Nie może jej przecież powiedzieć, że nie należy zakładać hodowli koni, nie mając odpowiedniego przygotowania. Ellen mogłaby oczywiście sprzedać ranczo, przeprowadzić się gdzie indziej i znaleźć sobie inne zajęcie, ale o jaką pracę miałyby się ubiegać, skoro nie ma żadnych konkretnych kwalifikacji? Jak ma utrzymać siebie i syna?

Było wyjątkowo ciepło jak na tę porę roku. Spence zawiązał rękawy pożyczonej koszuli, zaś Ellen zdjęła skórzaną kamizelę i przewiesiła ją przez siodło.

- Znasz się na palikowaniu? - spytała, ale natychmiast się poprawiła: - Nie musisz odpowiadać.

Pewnie nie pamiętasz.

- Pytasz o palikowanie pomidorów czy krów na pastwisku?

_ Dobrze wiesz, że mówię o ogrodzeniu!

Prawnicze umiejętności pozwoliły mu wykręcić się od odpowiedzi. Dalsza rozmowa na temat wbijania słupek i o sposobach naciągania kolczastego drutu pokazała, że Ellen orientuje się w tych sprawach o wiele lepiej niż on.

Spence znał się trochę na gospodarstwie i trochę na majsterkowaniu. Podczas studiów chwycił się różnych zajęć. Przez jakiś czas pracował nawet w myjni samochodów.

- Jak mocny musi być płot odgradzający od drogi stado grejpfrutów? - zażartował, kiedy ruszyli w powrotną drogę.

- Ale dowcipniś z ciebie! Im mocniejszy płot, tym lepsi sąsiedzi. Tak się tutaj mówi.

- Teraz rozumiem, dlaczego po przejściu tornada żaden z sąsiadów nie zatroszczył się o ciebie. Bo twoje płoty są takie słabe.

- Przestań, ile razy mam ci powtarzać, że się dowiadywali? Zresztą Pete powiedział papą Ludlumowi, że mamy w domu gościa, który nam pomaga.

Ciekawe, z iloma osobami Ludlum zdążył się tą wiadomością podzielić? Ludzie Franka Dei Brio najwidoczniej wiedzieli, gdzie go szukać. I mieli go zabić. Gdyby doszło do nich, że nadal żył, tym razem przysliby odpowiednio uzbrojeni. Sam może by sobie z nimi poradził, ale Ellen i Pete znaleźliby się w niebezpieczeństwie.

A poza tym, co się u diabła stało z jego samochodem? I z jego rzeczami? Kto wie, może byłoby najlepiej, gdyby pojawił się w mieście bez uprzedzenia i zobaczył, co

zacznie się dziać? No tak, ale wtedy Ellen i Pete zostaną na farmie sami, bez niczyjej opieki. DeI Brio ma głowę na karku. Jest może postrzelony, ale nie głupi. Użyje wszystkich środków, żeby raz na zawsze pozbyć się Spence'a. Jeśli nie zdoła go uśmiercić, postara się zmusić go szantażem do rezygnacji ze stanowiska i wyjazdu z miasta, robiąc z Pete'a i Ellen swoich zakładników.

Nic go nie powstrzyma. Teraz, kiedy udało mu się obsadzić swojego człowieka na stanowisku prokuratora, będzie chciał za wszelką cenę pozbyć się jego prawowitego poprzednika przed zakończeniem procesu Aleksa Blacka.

- Jak miło - szepnęła Ellen.

Skinął głową. Przeszło mu przez myśl, że od dłuższego czasu jada obok siebie stępa, nic nie mówiąc, jakby byli parą dobrze zżytych przyjaciół, a nie ludźmi, których los zetknął ze sobą zaledwie dwa tygodnie temu.

Zważywszy na okoliczności, ich stosunki układają się zdumiewająco harmonijnie, chociaż sytuacja jest pod wieloma względami nad wyraz skomplikowana. Z którego to powodu nie wolno mu na razie myśleć o Ellen inaczej jak o przypadkowej znajomej. To znaczy, dopóki nie uporządkuje swoich spraw.

A ponadto nie wydawało mu się, żeby był zakochany w Ellen. Miał dla niej wiele sympatii i uznania, lecz nie nazwałby tego miłością. Chwilowe. pożądanie i trwała miłość to dwie różne rzeczy. Ellen jest kobietą wyjątkowo atrakcyjną i seksowną, a do tego niezwykle dzielną, lecz fakt, iż bardzo mu się podoba i ma ochotę pójść z nią do łóżka, nie oznacza jeszcze, że się w niej zakochał.

Tak czy owak, ma obecnie zbyt wiele innych kłopotów na głowie. Gdy dwa tygodnie temu zamykał drzwi swego biura, myślał jedynie o odebraniu od świadka kluczowego dla sprawy zeznania. Na miłość do kobiety nie ma miejsca w jego życiu. Celem numer jeden jest wykrycie sprawcy zabójstwa sędziego Bridgesa, doprowadzenie winnego przed oblicze sądu i wymierzenie mu jak najsurowszej kary.

Drugie miejsce na liście priorytetów zajmuje tajemnicze zniknięcie Luke'a oraz ich dowódcy gdzieś w Ameryce Środkowej, skąd po raz ostatni nadesłali znaki życia.

Trzecim wreszcie celem jest ukrócenie wpływów mafii. O całkowitym jej zlikwidowaniu nie może, rzecz jasna, nawet marzyć. Niemniej można przynajmniej poobcinać najgroźniejsze macki wszechobecnej, zbrodniczej bestii.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Po południu zabiorę się z Pete' em do wymiany słupków - odezwał się Spence, który chciał bodaj na chwilę uciec od dręczących go myśli.

- To nie takie proste. Trzeba je najpierw ściągnąć ze strychu, a drzewo akacjowe jest podobno wyjątkowo ciężkie.

- Posłużę się blokiem, który widziałem w szopie.

- A rzeczywiście. Jake używał go przy rozładowywaniu traktora:
- Wiem, Pete mi mówił. A swoją drogą, musisz się postarać o przyzwoitego, fachowego pracownika.
- Nic prostszego. Wiem nawet, jakie dam ogłoszenie do gazety: "Uczciwy, fachowy stajenny potrzebny od zaraz za najniższe wynagrodzenie. Nie przyjmujemy nałogowych pijaków i narkomanów" - zażartowała gorzko Ellen.

- Wiedziałaś, że Clyde i Booker biorą narkotyki?
- Domyślałam się. A ty skąd wiesz?
- Któregoś dnia poczułem w stajni dziwny zapach. Inny niż zapach tytoniu.

Ostatnie kilkaset metrów przebyli w milczeniu. Na temat finansowej sytuacji Ellen Spence wiedział tylko tyle, że ta kobieta z trudem wiąże koniec z końcem. Znalazłaby odpowiedzialnego pracownika, gdyby było ją na to stać. Ale wychowała się przecież w zamożnym domu. Ojciec na pewno mógłby ją wspomóc

- Czy ojciec nie może wynająć dla ciebie przyzwoitego pracownika? - zapytał, choć domyślał się z góry, co mu odpowie. Chciał ją jednak namówić, by schowała na jakiś czas dumę do kieszeni, przynajmniej dopóki nie minie grożące jej z jego powodu niebezpieczeństwo. Ale ponieważ Ellen pewnie się nie zgodzi, będzie musiał znaleźć dla niej ochroniarza znajdującego się na koniach. Wiedział, że Ellen za nic nie opuści farmy, nie zapewniwszy koniom właściwej opieki. - Nie mogłabyś mimo wszystko odnowić z nim stosunków?

- Nawet mi o nim nie wspominaj - odparła krótko.

Zajechali właśnie na podwórze, gdzie Ellen, jakby dla zaznaczenia swojej samodzielności, zeskoczyła z siodła, nie czekając, aż Spence poda jej rękę.

- Coś ci powiem - dodała. - Mieliśmy w domu gospodynię, która lubiła mieszać różne porzekadła. Otóż za każdym razem, kiedy wydałam kieszonkowe i prosiłam ją o pożycznie paru groszy z pieniędzy na dom, kobiecina powtarzała: "Jak się nawarzyło piwa, to trzeba się teraz w nim wyspać!"

Spence w milczeniu przełknął porażkę. Nie wiedział, jak ostrzec Ellen przed ewentualnym niebezpieczeństwem, nie zdradzając, kim jest. Ufał jednak, że to nie potrwa długo. Jeżeli po wkroczeniu do akcji dopisze mu szczęście, przygotowanie oskarżenia, nie potrwa długo. Główne dowody zdołał zgromadzić przed tornadem, a zeznanie, po które jechał wtedy do stanowego więzienia, miało być tylko dodatkowym ich uzupełnieniem. Póki co DeI Brio niech sobie myśli, Ż6 Harrisona porwała trąba powietrzna.

Rozkulbaczywszy konia, odprowadził go na padok. Z domu wybiegł tymczasem Pete.

- Co robisz, Sztorm?! - zawołał. - Myślałem, że teraz pojedziesz ze mną?
- Chętnie, ale innym razem. Teraz mamy robotę.

Spence i Pete zdążyli przed lunchem zainstalować blok i z jego pomocą przetransportowali ciężkie ogrodzeniowe słupki ze strychu stajni na platformę półciągarówki.

- Ciekawe, po co windowali je aż na strych? - zauważył Pete, kiedy zbierali narzędzia.
- Może nie były akurat potrzebne, a nie chcieli się pozbywać cennego drewna. Masz jeszcze jakieś pytania? - zażartował Spence, mierzwiąc małemu włosy.

- A jak je tam załadowali?
- Też przy pomocy bloku.

Wcześniej Spence wytłumaczył chłopcu, że jego propozycja zrolowania słupków na dół po pochylni nie jest dobrym pomysłem, bo trzeba by je potem ręcznie ładować z ziemi na ciężarówkę. Przy tej okazji wspominał o przepuklinie i musiał wyjaśnić, co to takiego.

- Jak jesteś taki mądry, to powiedz, skąd biorą się szczeniaki - spytał teraz chłopiec.
 - Mama na pewno lepiej ci to wytłumaczy niż ja - wykręcił się Spence.
- Sam wiem. Tak tylko pytam, żeby sprawdzić, czy wiesz. Ellen podała na lunch fasolę w sosie

pomidorowym z puszki i hot dogi.

- Super! - ucieszył się Pete.

Spence odsunął krzesło dla Ellen i poczekał, aż usiądzie, zanim sam zajął miejsce przy stole. Podczas jedzenia omówili pokrótce plan pracy, a następnie Ellen poruszyła sprawę korzystania z furgonetek.

- Ja jeżdżę najczęściej mniejszą, chyba że muszę użyć towarowej przyczepy - powiedziała.

- Mama umie jeździć z przyczepą do tyłu, manewrować i w ogóle - pochwalił ją Pete, mając buzię pełną jedzenia. - Już prawie nigdy na nic tyłem nie wjeżdża.

Spence rzucił Ellen porozumiewawcze spojrzenie.

- Załadowałem słupki na większą półciągarówkę powiedział. - Na wypadek, gdybyś pod naszą nieobecność chciała wybrać się do miasta. - Już wcześniej doszli do przekonania, że Spence może swobodnie jeździć bez prawa jazdy, byle nie przekraczał granicy posiadłości Wagnerów. - Wrócimy przed zapadnięciem zmroku.

Spence bez trudu przystosował się do jazdy ze sprzęgłem, mimo że od niepamiętnych czasów jeździł wyłącznie samochodami z automatyczną skrzynią biegów. Pod jego ręką dieslowski silnik mruczał równo, jak zadowolony kot.

Podczas powolnej jazdy wyboistą polną drogą Pete ponownie poruszył temat szceniąt. Spence słuchał go jednym uchem, zastanawiając się nadal, jak w sytuacji, w której się znalazł, najlepiej postąpić. Bardzo nie chciał zostawiać Ellen i Pete'a bez opieki, a co więcej, zdawał sobie sprawę, że w ogóle nie ma ochoty z nimi się rozstawać. Niemniej musi ich opuścić, by załatwić swoje niedokończone sprawy. Los wszystkich trojga zależy od tego, jak prędko się z nimi upora.

Musi się więc pośpieszyć. Jeżeli pod jego nieobecność śledztwo zostanie zamknięte, doprowadzenie do odroczenia procesu będzie diabło trudne. Musiałby dysponować ważkim argumentem w rodzaju dowodu na fałszowanie zeznań świadków. Wiele zależy będzie od tego, jak dalece DeI Brio zdołał opleść swoimi mackami maszynę wymiaru sprawiedliwości. Ponadto wznowienie procesu zajęłoby wiele dni, jeśli nie tygodni, a w międzyczasie mógłby się zdarzyć nieszczęśliwy wypadek, na przykład podsądny popełniłby samobójstwo w więziennej celi, i sprawa automatycznie zostałaby zamknięta.

Trzeba, cholera, jak najszybciej przystąpić do akcji.

- Podaj no mi, synu, ręczną koparkę!

Spence zabrał się do robienia dołków pod paliki, posapując od czasu do czasu z wysiłku, prostując plecy i ocierając pot z czoła. Pete w skupieniu wyciągał tymczasem obcęgi i porzewiałe gwoździe i kłamry ze starych, zmurszałych pali.

Przeszedłszy się wzdłuż ogrodzenia, Spence stwierdził, że właściwie wszystkie słupki są do wymiany. Nowych jednak miał niewiele. Czasami trudno było na pierwszy rzut oka ocenić, czy dany słupek jest zdrowy, czy też przegniły u samej podstawy.

Podobnie rzeczy się miały we właściwej dziedzinie jego działalności. W mieście takim jak Mission Creek, gdzie sieć utrwalanych od pokoleń znajomości obejmuje najrozmaitsze kręgi ludzi, wszędzie można się natknąć na najdziwniejsze, podejrzane powiązania. Spence mógł zaufać tylko nielicznej grupie najbliższych przyjaciół. Czyli, pod nieobecność zajętego inną misją Luke'a, Flyntowi i Tylerowi. Jeżeli przypadkiem nie ma ich teraz w mieście, jest zdany wyłącznie na siebie, w każdym razie do czasu skontaktowania się z policją federalną.

Pete odrzucił łom i podszedł do Spence'a, podobnie jak on pogwizdując pod nosem i ocierając czoło. Stali teraz obok siebie, obaj na rozstawionych nogach, oceniając dotychczasowe rezultaty swojej pracy.

- Wcale nie musi spać ze mną w łóżku - zagadnął mały, robiąc poważną minę. - Tylko na początku,

dopóki się nie zadomowi., Co o tym myślisz?

Głos chłopca przywołał Spence'a do rzeczywistości.

Ach więc to tak, Pete marzy o posiadaniu psa, ale nim wystąpi z tym do matki, chce się upewnić, czy znajdzie sojusznika.

- Masz w zasadzie rację, ale ja bym wprowadził jedną poprawkę: zamiast brać psa do łóżka, można mu zrobić w pokoju własne posłanie. Na wypadek, gdyby się wytarzał w jakimś paskudztwie. Psom to się czasami zdarza.

- Tak, wiem - rozsądnie zgodził się Pete. - Pan Caster mówił, że pies robi to po to, żeby przeciwnik nie mógł go zwęszyć. Psy w ogóle rzadko się myją, nie tak jak koty.

- Fakt.

W spólnym wysiłkiem zdołali obsadzić zaledwie pięć z siedmiu słupków. Robota szła wolniej, niż Spence przewidywał, ponieważ z powodu suszy ziemia była twarda jak kamień. Nie chcąc rozciągać po ciemku kolczastego drutu, resztę pracy postanowili odłożyć do jutra.

- Nie mam nic przeciwko kotom, poza tymi dzikimi, które grasują po stajni - podjął Pete, kiedy wsiedli do furgonetki i ruszyli w powrotną drogę. - Mama mówi, że są zapchłone, nawet całkiem małe kociaki, i że gdybym wziął takiego do domu, pchły oblażyłyby nas wszystkich. Ale też nie pozwala używać środków przeciwko pchlom i innym robakom, bo mówi, że są trujące.

- To rzeczywiście trudna sprawa. Ale mamy już takie są - Spence dyplomatycznie wykręcił się od zajęcia jednoznacznego stanowiska.

Przeszedł na drugi bieg; pokonując wyjątkowo wyboisty odcinek drogi. Mimo zmęczenia prowadzenie samochodu, w którym musiał naciskać pedał i przesuwać drążek sprzęgła, robiło mu dużą frajdę. Po dwóch tygodniach beczynności każde, nawet najprostsze fizyczne zajęcie stanowiło miłą odmianę. Obsadzanie dwupółmetrowych słupków rozrw;zało mu mięśnie. A także, o dziwo, rozjaśniło umysł. I bardzo dobrze. Jeżeli chce się ujawnić" musi być w doskonałej formie.

- Mama mówi, że koty są w stajni potrzebne, ale nasz ostatni pies stale się za nimi uganiał. Aż wreszcie kopnął go Zeus i biedak zdechł. Dobrze było psisko. Bardzo lubił warzywa, a kiedy miałem grypę, mama pozwoliła mi spać na podłodze przy moim łóżku. Chciałbym mieć nowego psa, ale mama za każdym razem mówi, że jeszcze nie teraz. Może chce mi podarować psa na Gwiazdkę, ale chyba nie, bo w tym roku mam obiecany rower. Wiedziałeś, że ubezpieczenie nie obejmuje rowerów? Wiem o tym od pana Ludluma. Obejmuje samochody i inne maszyny, ale za rowery nie zwracają. Mógłbyś pogadać z mamą o psie? Przecież na farmie powinien być podwórzowy pies do pilnowania domu, no nie? Mnie tam wszystko jedno jaki, byle był pies. Jak dostanę szczeniaka, wszystkiego sam go nauczę: jeść jarzyny, szczekać na obcych, nawet spróbuję oduczyć go gonienia kotów, ale to chyba będzie trudne. Jak myślisz, czy można psa nauczyć, żeby nie straszył kotów?

- Aleś się synu rozpędził! Spokójnie, nie wszystko naraz. Nie musimy tego załatwiać dzisiaj wieczorem.

Chociaż może należy się pospieszyć. Spence nie był pewien, ile zostało mu czasu. Teraz, odkąd zdał sobie sprawę, do jakiego stopnia Pete obdarzył, go sympatią i zaufaniem, opadły go nowe wątpliwości. Zaczął się obawiać, jak chłopiec zareaguje, kiedy Spence będzie musiał ich nagle opuścić, zwłaszcza że ze względu na ostrożność niewiele będzie mógł mu wyjaśnić.

- Przepraszam. - Pete naorał powietrza dla złapania tchu po długiej przemowie. Zbliżali się do zabudowań. Mały skierował na Spence' a spojrzenie kasztanowych oczu, w których paliła się ciekawość. - Jak to jest, kiedy się ma tę, no ... magnezję? - zapytał.

Spence starannie zaparkował furgonetkę pod ścianą stajni, a następnie odruchowo zlustrował otoczenie w poszukiwaniu jakichkolwiek podejrzanych qznak. Zabawne, że nabyte w siłach specjalnych nawyki momentalnie wróciły po tylu latach.

- Pytasz o amnezję? No cóż, nie bardzo wiem, jak ci to wytłumaczyć. Wyobraź sobie, jakby to było,

gdybyś poszedł teraz na górę, wszedł do swojego pokoju, ale nie zapalił światła. Wiedziałbyś, że wszystko jest na swoim miejscu, ale nie mógłbyś tego zobaczyć. Chociaż nie - poprawił się - to nie dobra analogia.

- Analogia? Co to takiego?

Siedzieli jeszcze chwilę w szoferce zmordowani do cna, a zarazem uszczęśliwieni, ponieważ osiągnęli nieoczekiwane poczucie bliskości. Spence nie mógł nadażyć z wyjaśnieniami, a Pete chłonał każdą nową wiadomość jak gąbka. Spence doceniał jego ciekawość i inteligencję, ale kiedy wreszcie wysiedli, aby udać się na kolację, miał wrażenie, że jego umysł jest chyba jeszcze bardziej wyczerpany niż ciało.

- Chyba tak. Chłopiec powinien mieć swojego psa. - W tej sprawie był całkowicie po stronie Pete'a.

- Nie, masz pojęcie, jak rozpaczał, kiedy zdechł Bow-ser. Dopiero niedawno zaczął mówić o nowym psie.

~ Widać pogodził się z tamtą stratą. Rany goją się z czasem, nawet te najboleśniej. Co prawda zostają po nich blizny, chociaż i one wtapiają się z czasem w ... - Wzruszył bezradnie ramionami. - Na pewno rozumiesz, co chcę powiedzieć.

Czy rozumie? A on? Czy mówił o żalu chłopca po stracie psa, jego żałobie po śmierci ojca, czy o głębokiej ranie zadanej sercu kobiety, która straciła ukochanego męża?

Po powrocie do domu Ellen wzięła syna na spytki. - Lekcje odrobione?

- Tak, mamusiu.

- Czyste ubranie na jutro przygotowane?

- Tak, ale zielona koszula zrobiła się za ciasna. Czy naprawdę tak urosłem?

Spence z udaną surowością zmierzył go wzrokiem.

- No cóż, młody człowieku, musisz wstrzymać się z rośnięciem, dopóki mama nie sprawi ci nowych ubrań. Na moje oko portki też się skurczyły.

Pete rozpromienił się, jakby usłyszał nie wiedzieć jaki komplement. Spence poszedł pogasić zewnętrzne światła. Gdyby mógł o tym decydować, zostawiłby zapalone światła na werandzie i w stajni. Ale to Ellen płaci rachunki za elektryczność, a nie on.

Następnym punktem wieczornego rytuału była sporna kwestia słodyczy.

- Mamusiu, czy mogę sobie wziąć siedem herbatników? Są naprawdę bardzo małe.

- Nie siedem, tylko trzy.

- A mogę popatrzeć na telewizję?

- Tylko do pierwszej przerwy na reklamy.

Tego wieczoru oglądali film przyrodniczy o węzach. Pete'a, który siedział po turecku na podłodze, zafascynowały anakondy. Spence nachylił się do ucha Ellen i szepnął, że musi jak najszybciej sprawić synowi psa, bo inaczej sprowadzi do domu jakiegoś dzikiego zwierza.

- Czy to ładnie sprzymierzać się z synem przeciwko matce? - żartobliwie zgromiła go Ellen, na co Pete odwrócił głowę i popatrzył na matkę i Spence'a znaczącym wzrokiem. Chłopak miał swój rozum, widział, co się święci.

Po odesłaniu syna do łóżka Ellen wzięła książkę, a Spence włączył stację poświęconą lokalnym wiadomościom. Wobec oczekującej go rozprawy, liczył się każdy strzęp informacji. Szkoda, że nie ma kogo posłać do miasta na zwiady, kogoś doświadczonego, kto umiałby się zorientować w zakulisowych rozgrywkach. Dziennikarze mają wprawdzie swoich informatorów, ale nie zawsze można na nich polegać. No i wszyscy są mniej albo bardziej stronniczy.

W najgorszym razie wkroczy bez uprzedzenia do sądu i wywali kawę na ławę. Gdyby miał tylko siebie na uwadze, wybrałby takie właśnie rozwiązanie. Niestety, w grę wchodziły inne osoby, uwikłane w sprawę nie z własnej winy. Przed ujawnieniem się musi zapewnić Pete'owi i Ellen bezpieczeństwo. Na samą myśl o tym, do czego DeI Brio byłby zdolny się posunąć, gdyby jakimś sposobem doszło do niego,

gdzie jego potencjalny oskarżyciel ukrywał się przez ostatnie dwa tygodnie, Spence'owi przeszły ciarki po plecach.

W odległości kilku zaledwie kilometrów od domu Wagnerów odbywała się tajna narada. Na poboczu polnej drogi stały pod kępą sosen dwa samochody. Karoseria jednego z nich była pomalowana w płomienne wzory.

- Niech to cholera, stary, muszę mieć stuprocentową pewność! Przysiągłem Frankiemu, że facet wacha korzonki, a on na tej podstawie doprowadził do mianowania Malone'a.

Niższy mężczyzna podniósł kościste ramiona.

- Nie trzeba było się zarzekać - powiedział, omijając kumpla wzrokiem.

- Od tamtej pory minęły dwa pieprzone tygodnie. Musiałem coś wreszcie powiedzieć. Zresztą nie ma siły, jakby żył, już byśmy go mieli. Przeczesałiśmy całą okolicę i nic, nikt faceta nie widział ani o nim nie słyszał. Przecież widziałeś jego samochód. Nikt by tego nie przeżył. Chciałbym tylko wiedzieć, gdzie się podziały jego cholerne zwłoki.

- Drzwi były urwane, więc może wyssał go pęd powietrza. A psy albo myszolowy rozniosły to, co z niego zostało.

- To dlaczego pęd powietrza nie wyssał jego marynarki?

- A bo ja wiem - burknął niższy. - To nie ja dałem szefowi słowo, że ma faceta z głowy.

- Niech cię cholera! Frankie zaczął działać zaraz po tym, jak gliny znalazły szczątki samochodu Harrisona z jego osobistymi rzeczami. A Joe Ed Malone tylko czekał, żeby przy pierwszej okazji wskoczyć w jego buty. Tak to było.

- Dobra, dobra, ale nadal nie ma pewności, co się z facetem stało. Mógł się zamelinować u tej cholernej wdowy - wyraził swoje zdanie małomówny Sal. - Mówiłem ci przecież, co mi opowiadali przy barze tamci dwaj goście?

- Pamiętam, nie musisz się powtarzać! I co, mam teraz iść do Frankiego i wszystko odszczekać? Trzeba by najpierw sprawdzić, czy to rzeczywiście Harrison. Nie wiem jak tobie, ale mnie nie spieszy się do cementowych butów.

Nastąpiła dalsza gorączkowo wymiana zdań, okraszona soczystymi przekleństwami. Na zakończenie Milczący Sal oświadczył:

- Trzeba jeszcze raz zajrzeć do tej wdowy. Ale jeśli go znajdziemy, to ja od reszty umyвам ręce. Wiesz, co to jest zaciukać prokuratora? Krzesło elektryczne, jak w banku.

- Coś ci powiem, stary - odparł na to jego kompan. - Jakby się okazało, że ten cholerny Harrison nadal żyje, trzeba go z miejsca wykończyć. Bo jeżeli wyjdzie z ukrycia po tym, jak dałem Frankiemu słowo, że wacha kwiatki od dołu, będzie nie tylko po :rrtnie, ale i po tobie. Mężczyzna nazywany Milczącym Saleem tylko pokiwał głową. Natomiast jego towarzysz w zamyśleniu podrapał swój najnowszy, najwyraźniej zainfekowany tatuaż. Kapuś wiedział, co ma zrobić. Mniej więcej to samo, czym zajmował się od jedenastego roku życia, kiedy to obrobił swój pierwszy sklep. Pierwszego w swoim życiu faceta zastrzelił jako trzynastolatek. Jednakże tym razem stawka jest wyjątkowo wysoka. Spieprzenie roboty zleconej przez Franka DeI Brio to nie była zabawa.

Mruknąwszy pod nosem, że najwyższy czas wiać na południe, Milczący Sal ruszył niepewnie w stronę swojego auta. Przystanął na chwilę obok samochodu stanowiącego największą dumę i radość Kapusia, popatrzył na kumpla i pukając się w czoło, zapytał:

- Czyś ty zwariował, żeby jeździć gablotą, którą ślepy rozpozna z odległości dziesięciu kilometrów?

- Nie kapujesz, że to dzieło sztuki, ty miernoto? dumnie odparł Kapuś.

Zatrzasnął drzwi, szybko włączył silnik i ruszył przed siebie z piskiem opon. Sal to mięczak. Niech sobie wieje do Meksyku, i tak nie 'ma z niego pożytku. Kapuś znał jednego uczeniaka, którego łatwo

będzie przycisnąć do muru. Wiedział, jak z takim gówniarzem gadać. Wystarczy wziąć smarkacza pod włos i wszystko wyśpiewa. Jeżeli zaś plotka się potwierdzi, a on zrobi swoje i będzie mógł pokazać Frankiemui martwe szczątki prokuratora, nikt już szefowi więcej nie podskocE.' Zaś on będzie urządzony do 'końca żyda. Nie potrzeba mu do tego pomocy tego niedojdy Sala.

- A mówiłam, żebyś nie przesadzał. Jeszcze parę dni temu chodziłeś o kulach, a dziś musiałeś się zabrać do najcięższej roboty - gderała Ellen, nacierając mu plecy jakąś mocno pachnącą miksturą.

- Nie o kulach, tylko o jednej kuli. I wyłącznie dla twojej przyjemności - odparł z godnością. Ellen zauważyła, z jakim trudem wstaje z krzesła i to go zdradziło. - Oj, nie tak mocno! - zaprotestował.

- Leż spokojnie! - upomniała go, ale na jej twarzy malował się uśmiech zadowolenia.

Miło jej było czuć pod palcami jego ciało. Również Spence'owi kuracja ta sprawiała więcej przyjemności niż bólu. Przyjemność, jaką odczuwał, stawała się wręcz niebezpieczna. Było mu coraz trudniej uleżeć spokojnie na twardym materacu.

- Zastanawiałaś się nad sprawą psą? - zapytał, głównie po to, by czym innym zająć myśli.

Ręce Ellen coraz delikatniej muskały jego skórę, a masaż zmieniał się stopniowo w pieszczotę.

- No pewnie. Miał dostać na Gwiazdkę rower, ale w tej sytuacji będę się musiała postarać o rower z drugiej ręki, a szczeniaka poszukam w schronisku dla zwierząt.

Ciepłe mocne dłonie przesuwały się łagodnie po jego kręgosłupie.

- Czy to maść miętowa? - spytał prZeż zaciśnięte zęby.

~ Nie, mentolowa.

- Och! Nie, nie, nie przestawaj! - poprosił nieswoim głosem. - A może się podzielimy? Ty dasz mu rower, a ja szczeniaka?

- A jeśli na Boże Narodzenie już cię tutaj nie będzie? - zapytała, podejmując na nowo energiczny masaż.

Spence wziął głęboki oddech, po czym jednym ruchem przewrócił się na plecy. Ellen gwałtownie cofnęła ręce, jakby się czegoś zawstydzila, i spuściła oczy.

- Elien, spójrz na mnie!

- Lepiej nie - szepnęła.

- Na litość boską, spójrz na mnie!

Kiedy go posłuchała, prawie tego pożałował. Czy to możliwe, by w jej zielonych, przejrzystych oczach malował się smutek? Z jego powodu? Nie, to niemożliwe. Ale czy przeżycia ostatnich dwóch tygodni nie nauczyły go, że nie ma rzeczy niemożliwych?

To jednak w niczym nie zmienia powziętego wcześniej postanowienia; nie może jej jeszcze bardziej wplątywać w swoje trudne sprawy. Usiadłszy na brzegu łóżka, położył Ellen ręce na ramionach i lekko nią potrząsnął.

- Ellen, proszę, popatrz mi jeszcze raz w oczy. Ł uważnie mnie posłuchaj. Mogę tutaj zostać albo wynieść się, gdyby mój pobyt stwarzał jakieś problemy. To zależy od ciebie. Chcę jednak, abyś wiedziała, że niezależnie od tego, kim jestem i co mam do zrobienia, zamierzam tu wrócić. Obiecuję.

Nie miał prawa składać takiej obietnicy - nie wiedział nawet, czy Ellen sobie tego życzy - niemniej był zdecydowany dotrzymać słowa. Choćby ze względu na Pete'a, gdyby wolała w ten sposób postawić sprawę, i ze względu na siebie. Westchnąwszy cicho, obdarzyła go bladym uśmiechem, lecz nic nie odrzekła.

Czekał na coś więcej, sam nie bardzo wiedząc, na co.

- Naprawdę? - szepnęła.

- Nie wierzysz mi? - Kusił los. Gdyby się przedwcześnie ujawnił, wskutek czego niepożądane osoby odkryłyby, że coś ich łączy, wszystkim trojgu mogło grozić poważne niebezpieczeństwo.

- Nie, nie chodzi o to, że ci nie wierzę. Ale widzisz ...

Och, dosyć tego, mam na imię Spence, a nie Sztorm! Nawet tego nie może jej powiedzieć, nie zdradzając, kim jest. Musi pamiętać, że im mniej Ellen o nim wie, tym jest bezpieczniejsza. Co prawda już raz potrafiła zataić jego obecność, ale nie wiadomo, czy potrafi tę sztukę powtórzyć. Ellen jest osobą do głębi szczerą i uczciwą. Za to między innymi ją ko ... to znaczy, bardzo to u niej podziwia. Wprawdzie tamtego wieczoru zwiódła goryli Franka, ale wtedy nie była jeszcze przyzwyczajona do jego obecności w domu. Następnym razem DeI Brio może przysłać sprytniejszych łotrów.

Pocałował ją właściwie z poczucia bezradności. I trochę z rozpędu. Do tego natomiast, co zaczęło się później, kiedy przestał rozsądnie myśleć, popchnęło gdiczysto fizyczne pożądanie. Oboje zresztą zdawali sobie chyba sprawę, że bez względu na tQ, jak bardzo siebie pragną, pogłębianie łączącej ich więzi zapewne do niczego dobrego nie doprowadzi.

A, do diabła z przezornością!

Niech się dzieje, co chce!

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Wzajemne przyciąganie narastało od zbyt długiego czasu. Pierwsze dotknięcie i pierwszy pocałunek wystarczyły, by wybuchło płomieniem. Spence objął Ellen za szyję i pociągnął za sobą na łóżko. Nie tylko nie stawiała oporu, ale przytuliła się do niego całym ciałem. Pachniała mentolową maścią, szamponem i talkiem dla dzieci.

Świadomość, że pragnie go tak samo jak on jej, odebrała mu resztkę rozsądku. Jej usta miały smak jabłko(wego wina. Nie przerywając pocałunku, zjął jakimś cudem rozpiąć jej bluzkę.

- Ellen? - zapytał, odrywając się od jej ust. - Jesteś pewna, że chcesz?

Skinęła głową, nie patrząc mu w oczy.

- Jeżeli masz wątpliwości, powiedz od razu.

- Prawie się nie znamy - wyszeptła. - Dwa tygodnie temu nie wiedziałam nawet, że istniejesz.

- Rozumiem. - Usiłował ją od siebie odsunąć, ale zamiast tego dotknął jej piersi. - Więc nie spieszymy się.

Oboje ciężko oddychali. Spence czuł na J6zyi pieszczotliwy dotyk jej pachnących mentolem palców.

- Chyba masz rację - szepnęła, rozpinając na nim koszulę.

- Nie chcę cię do niczego zmuszać - powiedział, nie wierząc we własne słowa.

Zdrowy rozsądek opuścił go ostatecznie, kiedy ręce Ellen zaczęły się przesuwac z jego torsu na brzuch i jeszcze niżej. Teraz nie było już odwrotu. Nie mógł zapobiec temu, co musiało się stać, tak jak niepodobna zatrzymać fali przyływu. Niemniej rozbierał Ellen powoli, drażnił się z nią, szeptał czule głupstwa do ucha, przedłużał grę wstępną. Ona podjęła przewrotną grę, starając się przyspieszyć to, co on usiłował opóźnić.

- Jeżeli nie przestaniesz mnie rozpalać, łóżko zaraz stanie w ogniu - ostrzegł ją w pewnym momencie.

Ellen roześmiała się swawolnie, nie przerywając pieszczot. Takie zmysłowe przekomarzanie się w łóżku z kobietą było dla Spence'a czymś zupełnie nowym. Nigdy do tej pory nie odczuwał potrzeby przedłużania wstępnych zabiegów. No tak, ale Ellen nie jest jedną z jego wielu kochanek. Jest kimś zupełnie wyjątkowym.

Nawet w ostatnim momencie zawisł nad nią niezdecydowany, aby przedłużyć oczekiwanie na moment spełnienia.

- Och, chodź, błagam cię! - jęknęła, podnosząc ku niemu biodra. To, co nastąpiło potem, było jedną niepowstrzymaną burzą zmysłów. Dopiero później Spence zdał sobie sprawę, że nie pomyślał o żadnym środku ostrożności. Może Ellen zabezpiecza się w jakiś sposób, choć jest to mało prawdopodobne. Tak czy inaczej; to on byłby odpowiedzialny za ewentualne skutki swojej lekkomyślności. Nigdy cię nie

opuszcze, przysiągł sobie. Wróć do éfebie, choćbym musiał w tym celu pokonać największe przeszkody.

Obudził się w łóżku sam. Narzuciwszy w pośpiechu ubranie, wybiegł na podwórze. Musi ją natychmiast zobaczyć, upewnić się, czy nie ma mu za złe tego, co się stało.

- Moxie zaczyna rodzić - wyjaśniła Ellen, wychodząc ze stajni i kierując się ku domowi. - Muszę natychmiast zadzwonić po weterynarza.

Zrozumiał. O wczorajszej nocy trzeba na razie zapomnieć. Teraz najważniejsza jest klacz i mające narodzić się źrebię, bo od tego zależy przyszłość hodowli, a pośrednio - przyszłość Pete' a.

- Oczywiście. A gdzie Pete?

- Siedzi przy Moxie w stajni. Powinien być w szkole, ale uznałam, że to jest ważniejsze - odparła i zniknęła w domu.

Źle się stało, pomyślał. Od tej pory będzie stałe myślał o tym, co się wydarzyło minionej nocy i marzył, żeby znowu się z nią kochać. Jakby miał za mało kłopotów!

Pete siedział na sianie poza boksem klaczy.

- Wiesz, że Moxie będzie miała małe? - zapytał. Mama pozwoliła mi zostać, ale zabrJrnęła wchodzić do boksu, bo Moxie może się zdenerwować. To jej pierwszy źrebak, więc ma prawo być niespokojna.

- Widzę, że panujesz nad sytuacją - pochwalił go Spence, przysiadając obok chłopca na sianie.

Po parominutowym milczeniu Pete zaczął mówić o sporcie, w pewnej chwili zapytał Spence'a, czy umie grać w baseball, lecz rntychmiast się zreflektował.

- Przepraszam, zapomniałem o twojej... amnezji. Dlaczego nie może im powiedzieć, że ma inne, własne życie i trudny zawód, któremu w najbliższym czasie będzie musiał całkowicie się poświęcić?

- Chcesz, żebym cię nauczył podkręcać piłkę?

- Chętnie, ale zrobimy to kiedy indziej. Teraz musisz przede wszystkim pomagać mamie.

-Fakt. Pomagam jej, jak potrafię, ale to już nie to co dawniej, kiedy był pan Caster. I kiedy żył tata.

To prawda, ich życie już nigdy nie będzie takie jak dawniej. Jego życie też się zmieni. Ale póki co, jest prokuratorem okręgowym, którego czeka najtrudniejsza rozprawa w dotychczasowej karierze, a stawką w niej może być jego własne życie.

Mimo całej sympatii, a nawet upodobania do egzystencji na małym ranczu tudzież serdecznej więzi, jaka się nawiązała między nim a Pete'em i jego matką, nie mówiąc już o tym, co wczoraj połączyło go z Ellen musi się przede wszystkim wywiązać ze swoich wcześniejszych obowiązków. „Których dopełnienie potrwa nie wiadomo jak długo.

I nie wiadomo, jak się zakończy.

Dwaj mężczyźni spotkali się na polu golfowym podmiejskiego klubu Lone Star.

- Dowiedziałeś się czegoś? - zapytał Flynt Carson, przymierzając się do strzału.

- O Luke'u czy o Spensie?

- O jednym i drugim.

Tyler podrapał się w głowę.

- Od Luke'a nadal nie ma żadnej wieści. Jego sprawę przejęła informacja wojskowa. A jeśli chodzi o Spence'a, to zastanawiam się, czy nie został porwany. Przeczesałiśmy dokładnie okolice między stanowej szosy na odcinku między biurem prokuratora a więzieniem. Teraz zabieramy się do pomniejszych dróg, ale przyznam się, że zaczynam tracić nadzieję. Gdyby żył, do tej pory powinien się gdzieś pojawić.

- Tak myślisz? A może z jakiegoś powodu postanowił się ukryć? - odparł Flynt, przecierając ciemne okulary .

- Pozwalając, żeby DeI Brio posadził Malone'a na jego stołku?

- A masz lepszy pomysł?

- Nie wiem, zastanawiam się. Wiemy już, że jechał dłuższą drogą, bo na stacji benzynowej zapłacił

kartą kredytową. Co trzyma się kupy, bo często mówił, że najlepiej mu się myśli, kiedy prowadzi samochód. A jechał do więzienia przesłuchać Blacka. Nigdy tam nie dotarł. Boję się, czy coś mu nie grozi. Dziennikarza, który chciał zrobić szum wokół jego zniknięcia, poprosiłem, żeby poczekał, bo lada dzień wyjdą na jaw istotne sprawy, o których będę go informował. W podobny sposób zamknąłem gębę paru irtnym reporterom. Wiadomo, że ludzie DeI Bria wypytywali o niego. Jeżeli ich ubiegniemy ...

Flynt pokręcił głową.

- I tak niewiele zrobimy. Nawet jeżeli zawiadomimy prokuratora generalnego, że Ed Malone jest przekupnym łajdakiem, bez dowodów nie da się go ruszyć.

- Prokuratorzy generalni też bywali przekupywani zauważył Tyler.

- Chcesz powiedzieć, że ...

- Nie, nie, o ile wiem, obecny jest poza podejrzeniem. Po prostu nie mamy żadnych konkretnych dowodów. - Tyler zamyślił się. - Jeśli ktoś je ma, to tylko Spence. Dałbym głowę, że przed zniknięciem był blisko zamknięcia sprawy. Ale od tego czasu jego biuro, łącznie z komputerami, zostało dokładnie oczyszczone.

- Czyli wróciliśmy do punktu wyjścia. Gdzie on się podział? Przeszukałem wszystkie kostnice i szpitale w trójkącie między Laredo, Corpus Christi i Brownsville. Do policji nie możemy się zwrócić, nie mając pewności, czy mafia nie ma swoich wtyczek wśród funkcjonariuszy.

- Nie rozumiem, jak mógł zniknąć, zostawiając nie tylko dokumenty, ale nawet karty kredytowe. Wiem o tym od jednego z moich informatorów, który twierdzi, że wpadły w ręce oprychów Franka. I że samochód był doszczętnie skasowany.

- A może nasz przyjaciel uznał, że znikając na pewien czas z pola widzenia, uzyska większą swobodę ruchów i łatwiej skompletuje dowkly potrzebne do oczyszczenia tego bagniska. A kiedy nadeszło tornado ...

- ... skorzystał z okazji - dopowiedział Ty ler.

- Z ust mi wyjąłeś. To by był sprytny ruch.

- Godny Spence'a. Zawsze miał łeb nie od parady.

Spence Harrison sklejał w skupieniu uszkodzony model samolotu. Przed chwilą postawił na stole półmiski z serem, wędliną i pokrojonymi ogórkami, zaparzył dzbanek kawy i nakrył do stołu. Teraz czekał niecierpliwie na przyjście Ellen. Postanowił wyznać jej prawdę. Im prędzej to zrobi, tym lepiej. Może się zdarzyć, że będzie musiał szybko przejść do działania i nie będzie czasu na wyjaśnienia.

Ellen zrzuciła z nóg gumiaki i wpadła do kuchni, wnosząc za sobą falę świeżego, chłodnego powietrza.

- Już niedługo urodzi! - zawołała. - O, jedzenie! Cudownie! Umieram z głodu!

- Jak Pete?

- W raj u tuczników.

- Ze co?

- Nie mówiłam ci, że jestem tylko w połowie Teksanką? Moja mama pochodziła z Północnej Karoliny, jej ojciec miał wielką hodowlę świń.

- Twój ojciec ożenił się z córką hodowcy świń, a z tobą zerwał, bo wyszłaś za żołnierza?

- Nie podobają ci się hodowcy świń? To może zrezygnujesz z szynki, bekonu i kotletów schabowych? - Sięgnęła do lodówki po majonez. - Lubię myśleć, że po ojcu odziedziczyłam zmysł do interesów, a po matce zdrowy rozsądek. Matki zresztą prawie nie pamiętam. A jeśli chodzi o zmysł do interesów, to zdaję się na twoją ocenę.

Spence lekko się zakrztusił. Ellen jest taka zabawna i wzruszająca zarazem ...

- W każdym razie narodziny źrebaka podniosą twoje aktywa - odparł wymijająco.

- Na razie podskoczył mój rachunek u weterynarza - odparła Ellen, która zdążyła tymczasem zrobić sobie kanapkę. Przełknąwszy pierwszy kęs, dodała: - Pete postanowił zostać weterynarzem.

- Nie przejmuj się. Ma dopiero osiem lat. Zanim dorośnie, zdąży wiele razy zmienić decyzję. Będzie chciał zostać strażakiem, pilotem, ujeżdżaczem koni, nie wiem kim jeszcze.

- Ale mnie zależy na tym, żeby rozwinąć hodowlę koni. Może nawet je trenować - westchnęła Ellen.

- Czyli zrealizować plan Jake'a. Ale Pete powinien mieć swobodę wyboru. Może z czasem przekona się do twojego pomysłu na życie.

Ellen zamilkła na długą chwilę, jedząc w zamyśleniu kanapkę. Zaczął się nawet obawiać, czy nie uznała jego uwagi za wtrącanie się w nie swoje sprawy.

- A czy ty poszedłeś w ślady ojca? Och, przepraszam, nie gniewaj się, tak mi się powiedziało. - Była wyraźnie przejęta. Na pewno nie tylko z powodu rodzącej klaczy. Oboje z pewnością myślą o tym samym.

Oczywiście, o wczorajszym: wieczorze ... i o tym, kiedy go powtórzą.

- Bo jeśli, o mnie chodzi, to przekreśliłam wszystkie jego plany - podjęła Ellen. - Mój ojciec miał trzy'natzenia: potroić majątek, rozwinąć rodzinny interes i splodzić pluton synów. A tymczasem urodziła mu się tylko jedna córka, która w dodatku wyszła za mąż nie po jego myśli.

- Za co Bogu niech będą dzięki - wtrącił Spence. - Ale przynajmniej dałaś mu wnuka.

- Którego nie zaakceptował. Ojciec nigdy nie widział Pete'a na oczy. Kiedy w trakcie choroby Jake'a znalazłam się w rozpaczliwej sytuacji i zwróciłam się do ojca z prośbą o pomoc, nie raczył nawet odpowiedzieć na mój list. Teraz na szczęście jakoś dajemy sobie radę i o nic nie muszę go prosić.

Prędzej piekło pokryje się lodem, niż pozwolę ojcu wtrącać się w życie mojego syna.

Dają sobie radę? Na jego rozum Ellen właśnie teraz rozpaczliwie potrzebuje czyjejs pomocy. Do kogo mogłaby się o nią zwrócić, jeśli nie od ojca? Chyba że ponownie wyjdzie za mąż. Nie była to dla Spence'a przyjemna myśl...

Odchyliwszy się na krześle, wyobraził sobie, jak by wyglądała w dostatnim otoczeniu, elegancko ubrana. Obraz taki sam mu się nasunął, co było o tyle osobliwe, że dotąd widywał ją wyłącznie w workowatym męskim stroju, a raz jeden - w starym wytartym szlafroku.

Ellen wzięła do ust następny kęs, dokładnie go pogryzła i popiła kawą.

- Gdyby Pete rzeczywiście chciał zostać weterynarzem, mógłby się nadal zajmować hodowlą koni. Musiałabym po prostu zdobyć skądś pieniądze na jego studia.

Ale do tego czasu zdążę coś odłożyć.

- Odłożyć? - zdziwił się Spence.

Niby z czego? Czy ma prawo zwrócić jej uwagę, że ledwo wiąże koniec z końcem? Czasami jednak okrutna prawda bywa lepsza od złudzeń. Może należałoby ściągnąć Ellen na ziemię?

- Dlaczego nie? Konie z czasem zaczną przynosić dochód. Co dwa albo trzy lata stadnina będzie się powiększać o dwa kolejne źrebaki. A jeżeli będą wśród nich przeważać klacze i jeżeli ...

- No właśnie, jeżeli - wtrącił Spence, nie wiedząc, co innego może w tej sytuacji powiedzieć.

Ellen na pewno zdaje sobie sprawę, jak wiele rzeczy może pójść nie po jej myśli, tylko woli o tym nie pamiętać.

- Wszystko jakoś się ułoży, zobaczysz - odparła, podnosząc dumnie głowę i spoglądając mu wyzywająco w oczy.

Spence miał ochotę zerwać się z miejsca, porwać ją w ramiona i bronić przed okrutną rzeczywistością.

- To prawda, wszystko zawsze jakoś się układa przytaknął. - Tyle tylko, że czasem układa się lepiej, a czasem gorzej.

Ellen nadal mu się przypatrywała. Z wielką uwagą.

- Coś się wydarzyło, prawda? - zapytała. - To znaczy Jeszcze coś ... poza... no wiesz, tym, co było wczoraj.

- Skąd ci to przyszło do głowy? Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Kobieca intuicja.

- Nie zawiodła cię. Rzeczywiście coś się wydarzyło.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nadeszła chwila szczerości. I tak za długo z tym zwlekał. Będąc z natury człowiekiem szczerym i bezpośrednim, miał już po dziurki w nosie udzielania wykrętnych odpowiedzi. Teraz, kiedy nareszcie objawiła mu się prawda o nim samym - może nie cała prawda, ale ta 'jej część, którą potrafił sam ogarnąć - musi się swoją wiedzą podzielić z Ellen.

Wysłuchiwała jego opowieści, ani razu mu nie przerywając. Raz czy dwa jakby chciała coś wtrącić, lecz Spence nie dopuścił jej do głosu. Zresztą nie mówił długo. W krótkich, rzeczowych słowach wyjaśnił, kim jest oraz czym się zajmował i dokąd jechał, kiedy nadeszło tornado. Dodał jeszcze, że nie jest żonaty i nigdy, ani bezpośrednio przed wypadkiem, ani w latach wcześniejszych, nie był związany z żadną kobietą. Wyraz ulgi, jaki po ostatnim zdaniu pojawił się na twarzy Ellen, na pewno nie był wytworem jego wyobraźni.

- No więc to tyle - powiedział na zakończenie. - Widzisz więc, jak blisko byliśmy prawdy.

- Coś podobnego! - szepnęła z przejęciem po wysłuchaniu jego relacji. - Nie rozumiem tylko, dlaczego w gazetach tak mało pisano o twoim zniknięciu. przypominam sobie tylko jeden krótki artykuł na ten temat. I jeszcze drugi, o mianowaniu kogoś na twoje miejsce. Wiadomość o niewyjaśnionym zniknięciu ważnego przedstawiciela wymiaru sprawiedliwości powinna być szeroko komentowana na pierwszych stronach głównych gazet. Może zresztą była .. Ja wiem tylko o tym, co pisano w "Clarionie". A na podstawie tego, co w nim przeczytałam, można było pomyśleć, że prokurator okręgowy wziął dłuższy urlop albo dokądś wyjechał.

- Faktycznie wygląda to tak, jakby sprawa została celowo wyciszona. Trzeba jednak pamiętać, że Lone Star nie jest pępkiem świata. Redaktorzy muszą selekcionować wiadomości według ich rangi, a w tym samym czasie działy się tak ważne rzeczy jak finały międzyszkolnych mistrzostw futbolu czy doroczna kościelna wenta na cele dobroczynne.

- Nie rób sobie żartów!

- Przepraszam, wiem, że to nic zabawnego. - Jemu milczenie prasy też nie dawało spokoju. -

Przypuszczam, że komuś zależało na zatuszowaniu sprawy.

- Komu mogło na tym zależeć? I dlaczego?

- Posłuchaj mnie, Ellen. Jest jeszcze coś; o czym powinnaś wiedzieć. Nie mogę ci wyjawić wszystkich szczegółów, mogę tylko powiedzieć, że w momencie nadejścia tornado jechałem do stanowego więzienia, gdzie miałem przesłuchać ważnego świadka. - Którego zeznanie, dodał w myślach, mogło się przyczynić do zdobycia ważkich

dowodów oskarżenia. - W skomplikowanej sytuacji jaka się wytworzyła, wolę, żeby o moim istnieniu wiedziało możliwie jak najmniej osób. Dlatego bardzo cię proszę, żebyś nikomu o mnie nie mówiła.

- Oczywiście, możesz na mnie polegać. A co z Pete'em?

Spence zadumał się.

- Postaraj się dobrze mnie zrozumieć - rzekł w końcu. - Nie chcę odchodzić bez wyjaśnienia, a tym bardziej okłamywać Pete' a, ale musisz mieć świadomość, że ludzie, których staram się dopaść, nie zawahają się posłużyć tobą i Pete'em, żeby mnie unieszkodliwić.

Ellen bardzo powoli odłożyła niedojedzoną kanapkę.

Jej twarz zrobiła się odrobinę bledsza, a oczy rozszerzyły się i pociemniały.

- "Posłużyć się nami" w jakim sensie? - spytała cicho.

- Dobrze się domyślasz. Jeśli będą mieli podstawy sądzić, że zależy mi na tobie i małym, nie zawahają się zagrozić waszemu bezpieczeństwu, wiedząc, że w ten sposób skutecznie zamkną mi usta.

- Ale tylko gdyby ci na nas zależało - rzekła cicho.

- Zwykła ludzka przyzwoitość... - zaczął, lecz nie dokończył zdania.

Nie chciał jej znowu okłamywać. Zarazem jednak czuł, że nie ma prawa mówić, jak bardzo jest mu droga, i z każdym dniem staje się droższa, skoro stara się to uczucie w sobie stłumić, gdyż niczego nie może jej obiecać. Nie jest to odpowiedni moment na wyznania. Może kiedyś, jeśli dopisze mu szczęście. Albo nigdy. Dziś nie

wolno mu składać niepewnych obietnic kobiecie, która tyle już w życiu, straciła.

- Ellen, to CO było wczoraj....

Wyciągnęła rękę przez stół i przykryła jego dłoń.

- Nic nie mów. Stało się, chociaż może nie powinno, ale wcale tego nie żałuję.

- Przrzekam, że nie zostawię cię samej, gdyby ... się okazało ... Nie zachowaliśmy wczoraj ostrożności.

- W tej chwili w ogóle o tym nie myśl. Masz inne sprawy na głowie. Czy chcesz odejść od razu? Weź furgonetkę, najlepiej tę mniejszą. Jak przestanie ci być potrzebna, zostawisz mi ją w umówionym miejscu. Bak jest pełen. A czy nie powinieneś najpierw z kimś się skomunikować?

- W chwili wypadku miałem przy sobie komórkowy telefon. - Przez twarz Spence'a przebiegł błady uśmiech. - Nie mówiąc już o samochodzie, magnetofonie, teczce z dokumentami i paru innych rzeczach, których w tej chwili nie potrafię wyliczyć. - Samochodem zajmie się później. Miejmy nadzieję, że nie wpadł w niepowołane ręce. - Masz rację, w obecnej chwili muszę pomyśleć, w jaki sposób skontaktować się z dwoma przyjaciółmi, nie zdradzając miejsca pobytu.

- Nie możesz do nich zadzwonić?

- W każdym razie nie z twojego telefonu. Pewnie nic by się nie stało, ale wolę dmuchać na zimne. Ci dwaj faceci, którzy wieczorem po burzy złożyli ci wizytę, na pewno nie bez powodu szukali mnie w tej okolicy. Nie mam pojęcia, co się stało z moim samochodem i czy się odnalazł, a jeżeli tak, to gdzie, ale im dłużej o tym myślę, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że wyjeżdżając z miasta, wlokłem za sobą ogon i gdyby nie burza, która pokrzyżowała im plany, kawałek dalej najprawdopodobniej zginąłbym w sfingowanym wypadku.

- Gdyby była na świecie sprawiedliwość, tornado powinno było porwać tamtych dwóch łajdaków - zapalczywie odezwała się Ellen.

- Boję się, że nie zmieściliby się we dwóch do twojej taczki.

Ellen pominęła wysiłony dowcip milczeniem.

- Dobrze przynajmniej, że nic im nie powiedziałam.

- A Clyde i Booker? Na pewno zapamiętali, w jakim momencie się u ciebie zjawiłem. Nawet Pete mógł wspomnieć o mnie swojemu Joeyowi, to w końcu najbliższy kolega. Nic naturalniejszego, nikt mu nie zakazywał.

Ellen ukryła twarz w dłoniach.

- O mój Boże! - westchnęła. - Nie przyszło mi do głowy.

- Oczywiście, że nie, bo niby skąd? Mam prośbę. Spróbuj wytrzymać ze mną jeszcze dzień albo dwa. Ja przez ten czas skontaktuję się z paroma osobami i dowiem czegoś więcej o zakulisowych posunięciach przed swoim wielkim wyjściem na scenę. - Miai ponadto zamiar załatwić dla Ellen i Pete'a bezpieczną kryjówkę na czas jego nieobecności, lecz o tym wolał na razie nie mówić.

- To znaczy, że jeszcze zostajesz? - Była wyraźnie uradowana.

- Najwyżej dwa dni, jeśli ci to nie przeszkadza. Przez ten czas zorientuję się w sytuacji i ułożę plan

działania.

Zamilkli oboje na długą chwilę. Żarniast jedniak ókładać plany i rozważać, co dzieje się w Mission Creek. Spence myślał w tej chwili wyłącznie o tym, co będzie się działo w sypialni na parterze, kiedy Pete zostanie odesłany na noc do swego pokoju na górze. Na próżno mówił sobie, iż nie ma prawa przywiązywać Ellen do siebie. Tego, co stało się wczoraj, nie da się cofnąć. Dżin wydostał się z butelki.

- Ellen?

Z podwórza dobiegł ich tupot nóg i wołanie Pete'a:

- Mammo, mammo, chodź szybko!

Przestraszeni poderwali się z krzeseł i pobiegli co sił w nogach do stajni. Tymczasem na miejscach ich oczom ukazało się świeżo urodzone, jeszcze mokre, z trudem stojące na chwiejnych nóżkach źrebiątko.

- Popatrz, mamusiu, popatrz na niego! - wołał rozradowany Pete. - Moxie zachowała się jak bohaterka. Nawet nie zarżała.

Reszta dnia upłynęła im na podziwianiu nowo narodzonego źrebaka i uspokajaniu drugiej kłaczy, Sary, która zrobiła się jeszcze bardziej nerwowa. Zdaniem Pete' a zazdrościła Moxie, że ta ma już swojego źrebaka, a ona nie.

- Bardzo możliwe - zgodził się Spence. - Musi być teraz pod stałą opieką.

Weterynarz, który przyjechał po paru godzinach, zbadawszy źrebaka orzekł, że jest zdrowy i silny. - Czy może mieć na imię Bowser? - spytał Pete. Ellen nie mogła odżalować, że urodził się źrebak i pierwsza szansa na powiększenie stada rozplodowych kłaczy przeszła jej koło nosa. Ale na głos powiedziała: - Nie chcesz nadać imienia Bowser nowemu psu?

Pete z namysłem przekrzywił głowę.

- Nie, dwa psy nie powinny *mieć* tego samego imienia, ale źrebaka mogę nazwać Boswer, bo nie jest psem - zawyrokował.

Doktor Leonard przy okazji obejrzał Sarę i ostrzegł, że może się ożrebić w ciągu najbliższej doby.

- Trzymajmy palce, żeby urodziła się źrebiczka westchnęła Ellen, nie mogąc otrząsnąć się z zawodu, jaki sprawiła jej Moxie. Może zamiast koni powinnam hodować szybko mnożące się króliki, pomyślała.

No tak, ale na króliki nie ma zbytu.

Późnym popołudniem Ellen zaproponowała, żeby Spence i Pete osiodłali wałachy i wybrali się na przejażdżkę. Sama postanowiła uzupełnić papiery rodowodowe koni.

- W szanującej się hodowli każdy koń musi mieć własną metrykę, obejmującą szczegółowe dane na jego temat - oświadczyła.

- Kim była jego mama i jak nazywał się tata, prawda? - wtrącił Pete.

- Podaje się nawet imiona dziadków. Mam wszystkie potrzebne papiery, ale od wieków do nich nie zaglądałam. Jedźcie sobie, a ja tymczasem doprowadzę dokumenty do porządku, zanim Sara zacznie się żrebić.

Pojechali obejrzyć miejsce wczorajszej pracy. Poprzedniego popołudnia naprawili sporą część ogrodu, lecz zostało jeszcze sporo. do zrobienia.

- Co byś powiedział, żeby to dzisiaj skończyć? - zapytał Spence. - Poczekaj tu, a ja wrócę za chwilę furgonetką i przywiozę narzędzia.

- A może ja pojedę i wrócę furgonetką? - zaproponował mały z nadzieją w głosie.

- Jeszcze czego! Uważasz, że mama ma za mało kłopotów?

- To pojedziemy razem, ale pozwolisz *mi* prowadzić.

Pan Caster pozwolił *mi* kiedyś poprowadzić traktor i powiedział, że bardzo dobrze sobie radzę.

- Proponuje kompromisowe wyjście: skoń~zmy najpierw naprawianie ogrodu, a potem

pomyślmy o nauce jazdy. Zgoda?

- Zgoda.

Spence jeszcze w trakcie mówienia zdał sobie sprawę, że składa chłopcu pochopnie obietnicę. W jego głowie zaczynał się układać plan działania. Stojąc w szerokim rozkroku, z rękami na biodrach, rozważał go w myślach, popatrując na ciągnące się daleko ogrodzenie zbudowane w czasach, gdy rosnący po drugiej stronie grejpfutowy gaj stanowił część pastwiska.

Pete też rozstawił nogi i podparł się pod boki, podświadomie naśladowując starszego mężczyznę.

- Dobrze. Najpierw naprawimy ogródzenie, a potem nauczysz mnie prowadzić siunochód - oświadczył z powagą mma.

Skończyli pracę nadspodziewanie szybko, na długo przed zapadnięciem zmroku. Wsiadając do furgonetki, Spence maksymalnie cofnął siedzenie kierowcy, posadził Pete' a przed sobą i pozwolił mu trzymać kierownicę, podczas gdy on zmieniał biegi. Chłopiec był w siódmym niebie.

- Mógłbym jutro zacząć ćwiczyć zmienianie biegów? - zapytał, kiedy wrócili na podwórze.

- Nie wszystko naraz - odparł Spence. - Poczekajmy, aż dobrze przyswoisz sobie pierwszą lekcję.

- Zgoda - odparł Pete, ale w jego oczach malowało się pełne nadziei oczekiwanie.

Spence był zły na siebie. Niepotrzebnie złożył chłopcu obietnicę, której nie będzie mógł dotrzymać.

Ellen niby to udawała, że pójdzie z polowym łóżkiem spać do stajni, ale tak naprawdę ani ona, ani Spence nie mieli wątpliwości, gdzie kto będzie spał i z kim. Na obolałe mięśnie doradziła mu wziąć gorącą kąpiel w łaźnicy na piętrze. Na parterze był tylko prysznic, zainstalowany w dawnej spiżarni sąsiadującej z pokojem przerobionym na dodatkową sypialnię.

W jego obecnym stanie Spence' owi najbardziej by się przydał zimny prysznic, oboje jednak zdawali sobie sprawę z bezcelowości opierania się temu, co nieuchronne. Mądre to czy niemądre, będzie tak, jak być musi.

W rezultacie podczas gdy Spence wchodził do gorącej wody, mającej złagodzić ból mięśni nienawykłych do ciężkiej fizycznej pracy, Ellen wybiegła na dwór zajrzeć do kłaczy. Spence' owi tak bardzo się śpieszyło, że po wyjściu z wanny prawie się nie wytarł. Kiedy brał do ręki maszynkę do golenia, na dole rozległ się szum prysznica.

Szybko owinał biodra ręcznikiem i zbiegł na dół. Ellen leżała już w łóżku. W ciepłym świetle nocnej lampki ujrzał jej twarz w aureoli świeżo umytych, jeszcze wilgotnych włosów. Nie mogła ich wysuszyć, bo suszarka, wraz z wszystkimi kosmetykami, została w łaźnicy na górze.

Nie miało to jednak znaczenia. Wyglądała prześlicznie, leżąc spokojnie pod cienkim prześcieradłem. Nie było w niej cienia fałszywej skromności, najmniejszego udawania, że nie wie, co ma się stać. Była to jedna z cech, które najbardziej go ujmowały - jej absolutna prostolinijność. W zawodzie, którym się trudnił, miał do czynienia głównie z krętaczami.

Ellen nie ukrywała, czego chce. Chciała tego, co widziała. A właśnie widziała Spence'a. Pragnęła go tak bardzo, że na jego widok zaczęła drżeć.

- Znalazłam kilka... no wiesz. Są tutaj w szufladzie - powiedziała.

Upłynęło dwadzieścia jeden lat od chwili, gdy Spence poznał swoją pierwszą kobietę. Ona miała dwiętnaście lat, on o pięć latjmniej. Dzisiaj b-ł chyba jeszcze bardziej zdenerwowany niż wtedy.

- To dobrze ... tak ... dziękuję.

- Spence?

- Tak?

- Chodź do mnie.

Skinął głową. Na jego twarzy malowała się niepewność. A uchodził kiedyś za wyrafinowanego lowelasa.

Potem mało do siebie mówili. Oboje mieli poczucie, że być może po raz ostatni są ze sobą w ten sposób. Kiedy Spence odrzucił ręcznik, wpatrzyła się w jego nagie ciało, jakby chciała nauczyć się go na pamięć. Wyciągnęła do niego rękę.

- Jesteś piękny - powiedziała, muskając go palcami. - Uwielbiam twoje mocne ciało. I dotyk twojej skóry.

Spence jak mógł naj dłużej odwlekał moment wejścia do łóżka. Nie śpiesz się, powiedział sobie. Napawaj się chwilą. To może się nie powtórzyć.

Z chwilą jednak, gdy znalazł się obok niej, poczuł dotyk jej ciała i smak jej ust, trudniej mu było zachować umiar. Była tak cudownie ciepła, miała tak gładkie ciało, pachniała wruszająco mydłem i dzieciennym talkiem. Nigdy, przenigdy, choćby przyszło mu żyć sto lat, nie zapomni tej czulej, samodzielnej, cudownej kobiety, której spracowane dłonie potrafiły wznieść pożądanie.

. Pragnął poznać i zapamiętać każdy szczegół jej ciała. Kiedy jego spragnione dłonie sięgnęły niżej, Ellen jęknęła, a jej ciało wyprężyło się w łuk. Wydała mu się w tej chwili niewypowiedzianie piękna, a gdy jej to powiedział zdławionym ze wzruszenia głosem, z wolna opuściła powieki, a na jej rękach zaślnęły łzy.

To nie może być ostatni raz, pomyślał. Wiedział jednak, iż nie ma prawa składać obietnic. Nie wiedział, gdzie znajdzie się jutro ani tego, czy przeżyje najbliższe dni. Jeżeli dzisiejsza noc ma być ich ostatnią, zrobi, co w jego mocy, aby stała się niezapomnianą.

Obróciwszy się na bok, sięgnął do szuflady nocnego stolika. Kiedy chwilę później pochylił się nad nią, powitała go z rozchyłonymi ustami i pełnymi oczekiwania, błyszczącymi oczami. A potem stopili się w jedno i odbyli długą, cudowną drogę, w czasie której ogień pożądania wznosił nieopisaną, wzajemną czułość, czułość zaś podsyciała pożądanie.

Dawno dobiegli kresu, lecz nadal leżeli przytuleni. W pewnej chwili Ellen spróbowała wyswobodzić się z jego ramion.

- Muszę ... - zaczęła, lecz Spence przyłożył jej palec do ust.

- Nic nie mów - szepnął. - Leż spokojnie, dopóki ci nie powiem, czy jestem w stanie podnieść się z łóżka.

Uśmiechnęła się. W każdym razie tak mu się wydawało. Odwrócenie głowy, by spojrzeć w bok, stanowiło w tej chwili zbyt wielki wysiłek.

- To nie wstawaj. Ale ja powinnam zajrzeć do stajni.

- Nie, ty zostań. Ja pójde sprawdzic, co się tam dzieje - odparł Spence, nie otwierając oczu.

Jednakże żadne z nich nadal nie próbowało wstać. Spence nie był pewien, czy potrafi utrzymać się na nogach. Zbyt był osłabiony, a może wstrząśnięty tym, czego przed chwilą doświadczył. Było to naj cudowniejsze erotyczne doznanie w całym jego dotychczasowym życiu. Być może szczególnej głębi dodało mu poczucie zagrożenia oraz niepewność, czy kiedykolwiek to się powtórzy.

- Znajac Pete'a, nie zdziwiłabym się, gdyby wymknął się po kryjomu do stajni - rzekła Ellen.

- Miejmy nadzieję, że nie wpadnie tutaj za chwilę, wołając, że Sara się żrebi - mruknął Pete.

- Naprawdę powinnam wstać.

- Nie, ja wstanę. Czy mam odesłać Pete'a do domu, gdyby rzeczywiście siedział w stajni?

- Ja tylko żartowałam. Myślę, że jeśli się obudzi, to po prostu wyjrzy przez okno na podwórze i posłucha, czy w stajni coś się zaczęło - uspokoiła go Ellen.

- To dobrze. - Pocałował ją w szyję za uchem. Poznał już geografie jej ciała na tyle, by wiedzieć, jakie pocałunki naj silniej na nią działają.

Okazało się jednak, iż nie było im dane zostać dłużej w łóżku. W chwili, gdy Spence ponownie sięgał do szuflady stolika, zadzwonił tel-fon. Ręka zawisła mu w powietrzu. Ellen wyskoczyła z łóżka i włożyła szlafrok. Spence też wstał. Kto u diabła pozwala sobie dzwonić o tej porze, pomyślał, wciągając dzinsy. Weterynarz? Mało prawdopodobne. Doktor Leonard zrobił na nim dobre wrażenie, lecz był mocno

starszym panem, a ponadto nie miał powodu wydzwaniać po nocy, skoro parę godzin temu uznał stan obu klaczy za zadowalający.

- Halo, słucham? - dobiegł go z kuchni głos Ellen. Kto dzwoni? Kim pan jest? - spytała po krótkiej przerwie.

Pobiegł do kuchni, zapinając po drodze spodnie. Ellen stała nieruchomo, a słuchawka huśtała się na sznurze. Na twarzy Ellen malował się nie tyle strach, co zaskoczenie. - Bardzo dziwny telefon - rzekła powoli, kierując spojrzenie na Spence'a. - Myślę, że chodziło o ciebie.

Spence słyszał sygnał zajętości z drugiego końca kuchni, lecz Ellen była zbyt oszołomiona, by pomyśleć o odłożeniu słuchawki na miejsce.

- Obudź się, kochanie!

- To był on - oświadczyła. - Poznałam go po głosie. Kiedy odebrałam telefon, męski głos oświadczył: "Powiedz swojemu kochasiowi, że 'złożymy mu wizytę'".

Mimo panującej w kuchni pokojowej temperatury Spence poczuł się, jakby wylano na 'niego kubek lodowatej wody.

- A kiedy zapytałaś, kto mówi?

- Nie przedstawił się. Powiedział tylko: "Słyszałaś, co powiedziałem. Nie zapomnij mu powtórzyć".

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Zawiązawszy pasek szlafroka, Ellen nastawiła kawę i pobiegła na górę zajrzeć do Pete'a. Chłopiec spał głębokim snem. Widocznie praca przy naprawianiu ogrodzenia i nauka jazdy całkiem go wyczerpały.

Spence i ona uznali, że klacze nie są w tej chwili najważniejsze. Dzieje się coś bardzo poważnego, zagrażającego bezpieczeństwu ich wszystkich. Ellen zadrżała na wspomnienie ochryplego głosu w słuchawce.

Bez słowa napełniła kubek czarną kawą i postawiła go na stole przed Spence'em. Zabawne, pomyślała, jak szybko, właściwie natychmiast, przestała nazywać go Sztormem, mimo iż w jej sercu panowała łącie burzowa pogoda, i to od owego pamiętnego dnia, kiedy znalazła go w przydrożnym rowie.

"Znalezione należy do znaiaczy", przypomniała sobie zasłyszane w dzieciństwie przysłowie. Niestety, nie tym razem. Powoli zaczynała sobie uświadamiać, iż mężczyzna, z którym nawiązała tak intymne stosunki, nie będzie do niej należał. Jeszcze dwa tygodnie temu miał własne, wypełnione po brzegi życie, w którym dla niej nie było miejsca.

W tej chwili rozmawia przez telefon z kimś o imieniu Flynt.

- Czuję, że musimy działać błyskawicznie, jeśli nie chcemy dać się zaskoczyć. Powiem ci teraz, czego mi potrzeba. - Zaczął pośpiesznie wyliczać przedmioty spisane przed chwilą na odwrocie sklepowego rachunku.

Ten rozparty teraz na kuchennym krześle, goły do pasa mężczyzna w nie dopiętych dżinsach wydał jej się nagle kimś obcym. Nieznanym mężczyzną, wydającym rozkazy kategorycznym tonem człowieka nawykłego do posłuchu.

- W miejscu mało uczęszczanym, w jakiejś zapadłej dziurze.

Czy ma na myśli jej farmę? W miejscu mało uczęszczanym? Przez kogo? W zapadłej dziurze?

Wzięła ją taka złość, że nie wysłuchała dalszego ciągu rozmowy, która zresztą brzmiała nader tajemniczo. Gdy tylko odwiesił słuchawkę, spiorunowała go wzrokiem i pełnym oburzenia głosem zapytała:

- Co to znaczy: potrzebuję kryjówki dla kobiety z ośmioletnim synem?

- Ciszej, bo obudzisz Pete'a. Uspokój się; zaraz ci wszystko wytłumaczę.

- Nie dam się wywieźć do żadnej kryjówki. W dodatku teraz, kiedy jedna klacz dopiero się ożrebiła, a

druga tylko patrzeć, jak urodzi.

W innych okolicznościach nieoczekiwany wybuch fUrii u tej tak na ogół łagodnej i zrównoważonej istoty mo. e by go rozbawił. Ale nie w tej chwili.

- Uspokój się, bardzo cię proszę! Sprawy zaczęły się toczyć szybciej, niż przypuszczałem. Ty i Pete zostaliście w nie niestety wplątani. - Mówił szybko, krążąc po kuchni, rozważając w myślach wiele rzeczy naraz. - Tak, po pierwsze trzeba umieścić was oboje w bezpiecznym miejscu, na wypadek, gdyby zrobiło się gorąco.

- Co to znaczy, gdyby zrobiło się gorąco? Masz na myśli strzelaninę? Czy mam rozumieć ...

- Usiłuję ci wytłumaczyć powagę sytuacji - odparł Spence, starając się trzymać nerwy na wodzy. - Tamci dwaj, którzy mnie szukali, byli wysłannikami mafii. Musiałaś słyszeć o potężnej teksańskiej mafii.

- Ellen bezgłośnie otworzyła usta. Dał jej chwilę czasu na przyswojenie informacji. - Mówiłem ci, kochanie, że ci ludzie idą po trupach. Śledztwo, jakie prowadziłem przed tornadem, dotyczy zabójstwa sędziego sądu federalnego. W dodatku człowieka, dzięki któremu wyszedłem na ludzi, zamiast zejść na psy. Głównym oskarżonym w sprawie o zabójstwo sędziego Bridgesa jest niejaki Alex Black.

- Przypominam sobie, że jakiś czas temu czytałam coś na ten temat.

Spence pokrótce jej wyjaśnił, iż jego działania jako prokuratora zmierzały do wykrycia mocodawców 'oskarżonego. Bo chociaż me ulega wątpliwości, że to Black pociągnął za cyngiel, płatni mordercy zwykle nie zabijają dla zabawy. Musiał zrobić to za pieniądze, na czyjeś zlecenie. Spence zmierzał do ustalenia zleceniodawcy oraz motywu zbrodni. A także do wyjaśnienia, czy zlecenie miało związek z faktem, iż sędzia Bridges oczyścił Spence'a oraz dwóch jego przyjaciół od odpowiedzialności za zniknięcie Haley' Mercaao, kobiety uznanej za zmarłą wskutek zatonięcia.

Jest to jednak osobna historia, nad którą nie ma teraz czasu się rozwodzić. Przed wypadkiem zdążył zgromadzić większość materiałów dowodowych, pozwalających unieruchomić mafijną maszynę na dobre dziesięć albo dwadzieścia lat. Siły przyrody w postaci tornada wtrąciły się w momencie, gdy jechał po ostatni element gotowej niemal do przekazania FBI łamigłówki.

Ellen otworzyła usta, aby o coś zapytać - wyjaśnienia Spence'a były bardzo ogólnikowe - ale on tylko pokręcił głową. Niestety, nic więcej nie mógł jej wyjawić, nawet gdyby mieli trochę czasu.

- A teraz posłuchaj - rzekł. - Chcę żebyś zadzwoniła do ojca i ...

- Ja mam dzwonić do ojca? Nigdy! - zawołała, opadając na krzesło. Natychmiast jednak zerwała się z powrotem na nogi.

Cierpliwość Spence'a była na wyczerpaniu. Niemniej spróbował jeszcze raz przemówić jej do rozsądku.

- Ellen, wiem, co czujesz, i doskonale cię rozumiem. Ale tu chodzi o wasze bezpieczeństwo. Pomyśl o Pecie. Opowiadałaś mi kiedyś, że twój ojciec ma ochroniarza.

- Jaki tam z niego ochroniarz! Był po prostu szoferem, ale ponieważ służył kiedyś w policji, więc w pewnym sensie spełniał również funkcję ochroniarza.

- Wszy, stko jedno. Choqzi mi o to, że jeżeli twój ojciec jest typem człowieka, na jakieg'o mi wygląda, będziecie u niego bezpieczni. Łań~twie~ie policyjnej kry_ jówki zabrałoby za dużo czasu, a w dodatku podejrzewamy, że mafia ma w policji swoją wtyczkę.

Ellen była nie na żarty wystraszona, ale nie zamierzała się poddawać. Uparcie milczała.

- Ellen, czas ucieka. Musisz się na coś zdecydować. Mój przyjaciel obiecał znaleźć wam kryjówkę, ale pewnie nie będzie to miłe miejsce. U ojca byłoby wam o wiele wygodniej.

- Już ci powiedziałam!

Stali naprzeciw siebie jak dwa zaperzone koguty.

- Ellen, na litość boską! Nie mogę zostawić was samych na łasce losu!

- Byliśmy sami, dopóki nie wydobyłam cię z rowu, to i teraz damy sobie radę bez twojej pomocy.

Usta jej drżały. Spence wziął głęboki oddech, by się uspokoić.

- Dobrze, więc nie mówmy o ojcu. Znajdzie się inne rozwiązanie. Niedługo sprawa się wyjaśni. I albo zgodzisz się udać w miejsce, o którym zaraz się dowiemy, albo zawinę was oboje w dywan, wrzucę do bagażnika i wywożę ... - Miał powiedzieć, że zawiezie ich do swego mieszkania, lecz zdał sobie sprawę, iż jego dom jest na pewno obserwowany. Podobnie jak jego ranczo. - Zawiozę was na dworzec i wyślę pospiesznym frachtem kolejowym na adres twojego ojca.

Zanim Ellen zdołała oddać cios, na podwórzu rozległ się szum. Spence odetchnął z ulgą - zjawiły się odwody. Wyrzawszy przez okno, ujrzał dwa długie ciemne auta parkujące w cieniu pod szopą. Ellen podbiegła do kontaktu i zapaliła zewnętrzne lampy.

- Mam strzelbę na śrut - wyszeptła.

- Uspokój się, kochanie, to moi ludzie - odparł.

Popatrzyła na niego, jakby postradał zmysły. Musiał w duchu przyznać, że miała poważne podstawy, by uważać go za pomyleńca. Przytrzymał ją i gorąco pocałował.

- To na zadatek przyszłego spotkania, kiedy już będzie po wszystkim - szepnął jej do ucha, po czym ruszył ku drzwiom. - Dzięki za pośpiech - powiedział, witając nowo przybyłych. - Trzeba by wiele wyjaśniać, ale przede wszystkim musicie mi powiedzieć ... - Tu urwał, widząc, że przybysze zamiast na niego, patrzą na Ellen. - Przepraszam, zapomniałem was sobie przedstawić. Pozwól, Ellen, to jest Flynt Carson - wskazał wysokiego mężczyznę o płowych włosach i melancholijnym wyrazie twarzy - a to Tyler Murdoch. Obaj są moimi starymi przyjaciółmi. Możesz im całkowicie zaufać. Poznajcie panią Ellen Wagner. Jej syn Pete śpi na górze. Poza nimi w domu nie ma nikogo.

- Miło mi panią poznać - rzekł ciemnowłosy, po męsku przystojny Milrdoch. Zwracając się do Spence'a, oznajmił: - Przywiozłem Jose z Donitą. Znają się na koniach i są gotowi wszystkim się zająć. Nita jest już w stajni, a Jose poszedł zbadać teren.

- Nie traćmy czasu - odezwał się Flynt, wyglądając za okno. - Wkrótce zacznie się rozjaśniać.

- Nikt za wami jechał?

- Wszystko w porządku. Ale powinniśmy stąd odjechać najdalej za pół godziny.

Ellen spoglądała po nich w niemym oszołomieniu. Czuła się jak rozbitek rzucony na burzliwe fale.

- Kim wy właściwie jesteście? Tajnymi agentami? Takimi, co to malują sobie twarze na czarno, a potem skaczą na spadochronach?

- Może nie aż tak, ale blisko. Opowiem ci o nich innym razem, kiedy będziemy mieli więcej czasu - odparł za nich Spence. - Teraz musimy jak najszybciej wywieźć cię stąd razem z Pete'em, nim na farmie zjawią się nieproszeni goście.

- Już ci powiedziałam ...

Flynt i Tyler popatrzyli po sobie. Spence bez trudu odczytał sens ich spojrzenia: Nasz przyjaciel wpadł po uszy.

- Ellen, to nie potrwa długo - powiedział pojednawczym tonem. - Skoro nie chcesz prosić ojca o pomoc, nie będę nalegał. Ale w takim razie musisz ukryć się w miejscu, które przygotowali moi przyjaciele. - Zwracając się do Tylera, zapytał: - Gdzie to ma być?

- Byłeś kiedyś nad Greasy Pond? To mały ośrodek wędkarski położony kilkanaście kilometrów na wschód od miasta. Nikt ich tam nie będzie szukał. Człowiek, który wynajmuje wędkarzom kempingowe domki, ma wobec mnie dług wdzięczności. Zarezerwował dla nas trzy domki. Ochroniarzy już tam wysłałem. Przepraszam panią za niewygodę, ale mam nadzieję, że to nie potrwa długo.

- Ellen?

- Trudno. Widzę, że nie mam wyjścia. Ale co będzie z końmi?

- Nic się nie martw. Jose i Donita wszystkim się zajmą - zapewnił ją Spence. - Potrzebuję tylko kilku dni, żeby nadać sprawom bieg. Wróćcie do domu, zanim zdążysz się obejrzeć.

Ellen nadal stała niezdecydowana. Twarz miała bladą, oczy spłoszone.

- Najwyższy czas się zbierać - wtrącił Tyler MW'doch, podchodząc do okna i dając komuś ręką znaki.
- O konie może być pani spokojna. Jose i Donita potrafią się nimi zająć. A poza tym to bardzo doświadczeni agenci.

- Agenci? Ale przecież nie znają moich koni! Spence zaklął w duchu. Gdyby Ellen nie była mu tak droga, chyba ją udusił.

- Zapewniam cię, że wiedzą o koniach więcej niż ty.

Jose urodził się na ranchu, które nadal prowadzi, oczywiście w chwilach wolnych od innych zajęć.

Zresztą nicważne. A Donita była w swoim czasie mistrzynią w ujeżdżaniu koni.

- A w tym ośrodku, do którego nas zabieracie ... co tam będziemy robić? I skąd będziemy wiedzieli, że już nam nic nie grozi i możemy wracać?

Spence delikatnie położył jej palec na ustach.

- Nie traćmy czasu - powiedział. - Teraz powinnaś się przede wszystkim skupić na tym, co musicie ze sobą zabrać, żeby przez kilka dni przetrwać w obcym ptiejsku. Macie na to pięć minut. Idź się spakować!

Ellen bezradnym ruchem przeczesła włosy. Rzuciwszy mu piorunujące spojrzenie, obróciła się na pięcie i poszła na górę. Spence zdawał sobie sprawę, co go czeka. Kiedy będzie po wszystkim, będzie musiał gęsto się tłumaczyć. Mimo całego zniecierpliwienia był wdzięczny Ellen za to, że mu zaufała na tyle, by poddać się jego komendom. Jaka inna kobieta pogodziłaby się prawie bez protestu z tym, co za jego sprawą spadło na nią w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin?

Ellen z trudem powstrzymywała łzy. Musi udawać spokój, żeby nie przestraszyć Pete'a. Idąc po schodach, wyteżała uszy, usiłując podsłuchać, o czym mówią pozostali na dole mężczyźni. Oni jednak ściszyli głosy.

- Czy z chłopcem nie będzie problemów? - spytał Flynt, kiedy za Ellen zamknęły się drzwi na piętrze.

- Mam nadzieję, że nie - odparł Spence. - Ale byłoby najlepiej, gdyby się nie obudził i można go było dowieźć na miejsce śpiącego, zawiniętego w koc.

- A ile on ma lat? - zainteresował się Flynt.

- Osiem. Jest na tyle duży, aby domagać się wyjaśnień.

Jakby w odpowiedzi na te słowa, na górnym podeście schodów pojawił się zaspany Pete w wymiętej pidżamie.

- Mama mówi, że mamy dokądś jechać - wymamrotał oskarżycielskim tonem.

- Tak, „Pete, stało się coś nieoczekiwanego - odparł Spence, wchodząc na schody, - Przypomniałem sobie, kim jestem. Sytuacja jest skomplikowana, kiedyś ci to wytłumaczę, ale teraz muszę prosić, żebyście oboje z mamą pomogli mi ją rozwiązać.

Po wyrazie twarzy małego poznał, iż nie zdołał go przekonać. Przy okazji zauważył, że Pete, kiedy jest nadąsany, bardzo przypomina matkę. Spence postanowił postawić wszystko na jedną kartę.

- Powiedz mi jedno, Pete. Czy masz do mnie zaufanie? Wahanie trwało jakieś dziesięć sekund.

- Ta-ak.

- W takim razie ubierz się, zapakuj najpotrzebniejsze rzeczy na kilka dni poza domem, i za trzy minuty bądź z nimi na dole. Zgoda?

- Czy powinienem wziąć książki i zeszyty?

- Nie zaszkodzi. I nie zapomnij o komiksach, na wypadek, gdybyś miał dosyć wędkowania.

- Bęoę wędkować? - zainteresował się Pete.

- Nuże, człowieku! Zostały już tylko dwie minuty.

Ellen słyszała ruch w pokoju Pete'a. Nie miała pojęcia, co mały pakuje do plecaka. Pewnie modele samolotów.

- Nie zapomnij zabrać swetra i kapci! - zawołała. Spence nazwał ich tymczasową kwaterę domkiem kem-

pingowym. Nie powiedział chata ani dom letniskowy, tylko kempingowy domek. Miejmy nadzieję, że z bieżącą wodą.

W CO ja się wpakowałam? Trzeba było zostawić faceta w przydrożnym rdwie, zamiast wł~c go do domu.

Pete wyłonił się ze swego pokoju, dźwigając plecak oraz naręcze książek.

- Mamo, czy muszę zabierać szkolne podręczniki? Nie mieszczą się w plecaku ..

Ellen przejrzała książki i wybrała dwie.

- Te zabierz, resztę możesz zostawić. Czy wzięłeś buty na zmianę?

- Moje gumki stoją w sieni. Mamo, dlaczego musimy wyjeżdżać? A co będzie z Sarą?

Kończąc pakowanie swoich rzeczy, odpowiedziała mu najkrócej, jak mogła, na pierwsze pytanie.

- Czy Spence jedzie z nami?

- Chyba nie. Boję się, kotku, że teraz, odkąd przypomniał sobie, kim jest, ma wiele spraw do załatwienia - odpada, zamykając walizkę.

Pete milczał chwilę, przetrawiając ostatnią informację. - Ale nie odpowiedziałas mi, co będzie z Sarą. Ellen odetchnęła z ulgą, że nie musi się wdawać

w szczegóły ozdrowienia Spence: a.

- Przecież sam widziałeś, jak dobrze Moxie dała sobie radę bez niczyjej pomocy. Bądź spokojny, Sara też potrafi urodzić źrebaka i mani. nadzieję, że to będzie klaczka. No a teraz, jeżeli masz wszystko, to chodźmy.

- Dobra. - Pete założył plecak i wziął wybrane książki. - Mamo, mała klacz nazywa się źrebiczką. Ellen uznała to za dobry znak. Przynajmniej przestał zadawać trudne pytania. W ostatniej chwili przypomniała sobie o szamponie do włosów i zawróciła do łazienki. Czort wie, czego się spodziewać po wyposażeniu domku kempingowego!

Wyposażenie okazało się więcej niż skromne. Oprócz paru wędek i dwóch skrzynek wypełnionych po brzegi wędkarskim sprzętem, urządzenie sklecone z desek. domku ograniczało się do upstrzonego przez muchy kalengarza ściennego sprzed trzech lat, paru plastikowych talerzy i nakryć stołowych, dzbanka do kawy i trzech rondli. Minimalne umeblowanie składało się z paru ogrodowych krzeseł oraz kilku innych niedobrych sprzętów, zapewne zakupionych na pcWim targu. W domku znajdowały się ponadto dwa piętrowe łóżka, żelazny piecyk na drewno, gazowa kuchenka z dwoma palnikami i lodówka zawierająca pustą tackę do lodu oraz zwłoki trzech karaluchów.

Spence powiedział na pożegnanie, że gdyby czegokolwiek potrzebowała albo zobaczyła bądź usłyszała coś podejrzanego, ma głośno wzywać pomocy, a jego ludzie natychmiast się zjawią.

Jeżeli chciał ją jeszcze bardziej przestraszyć, to mu się udało. Przeprowadzka odbyła się w takim pośpiechu, że Ellen nie zdążyła się zastanowić nad swoim położeniem. Dobrze przynajmniej, że za radą Donity chwyciła w ostatniej chwili dwa koce i' dwie poduszki.

Para małżeńska, która pod jej nieobecność miała zajmować się farmą, od pierwszej chwili wzbudziła jej sympatię. Jose przyszedł tylko na chwilę; by się z nią przywitać, po czym wrócił do stajni doglądać Sary, natomiast Donita w lot chwyciła i. wszystkie wyjaśnienia Ellen, kiedy ta pospiesznie oprowadzała ją po domu. Ellen zauważyła jednak ku swemu przerażeniu, iż oboje mają ukrytą pod ubraniem krótką broń.

- Nie bój się, kochana - zapewniła ją Donita. - Jose będzie dbał o konie jak o własne.

Ellen musiała uwierzyć jej na słowo.

Wyruszyli w drogę tuż po wschodzie słońca, którego olśniewające promienie nadawały wariackiej wyprawie jeszcze bardziej nierealny charakter. Ominęli Mission Creek szerokim łukiem. Spence, Ellen i Pete jechali przodem, jednym z dwóch tajemniczych samochodów z przyciemnionymi szybami, a dwaj przyjaciele Spence'a podążali za nimi drugim.

- Zdajesz sobie sprawę, że nie będę miała auta? zauważyła Ellen.

Kluczyki do obu furgonetek zostawiła Donicie.

- Nigdzie nie będziesz jeździć, chyba że pod naszą eskortą - odparł na to Spence, po czym zamilkł na dobre.

Twarz miał napiętą, widać było, że myślni jest gdzie indziej. Poniechała dalszych prób nawiązania z nim rozmowy. Pete wkrótce po wyjeździe z farmy zasnął.

Zajechali przed jeden z kilku stojących niedaleko siebie odrapanych domków, z których prowadziły do wody podobnie rozklekotane pomosty. Flynt i Tyler zaparkowali tuż za nimi. Z sąsiednich domków natychmiast wyłoniło się dwóch mocno posiwiałych, niczym się nie wyróżniających mężczyzn w wypchanych dżinsach i sportowych kurtkach, którzy zostali jej przedstawieni jako Melvin i Beau. Nazwała ich duchu w Flipem i Flapem, przekonana, że nigdy ich nie rozróżni.

- Są tu po to, żeby cię pilnować. Gdybyś czegoś potrzebowała, zrób listę, a jeden z nich pojedzie do sklepu.

Miała ochotę zapytać: I to wszystko, co masz mi do powiedzenia? Po tym, co między nami było?

Pożegnali się na oczach wszystkich obecnych: Flynta, który przez cały czas niecierpliwie spoglądał na zegarek, oraz Tylera, który konferował o dwa kroki od nich z Flipem i Flapem. Również Spence zdradzał wyraźnie objawy zniecierpliwienia. Starając się być rozsądną, wytłumaczyła sobie w duchu, iż nie ma nic dziwnego w tym, że po dwutygodniowym oderwaniu od świata i przyjaciół pilno mu nawiązać kontakt z własną rzeczywistością.

Ale mógł jednak odejść z nią na bok i coś powiedzieć, myślała teraz, wpatrując się w powierzchnię dużego stawu. Jakoś się pożegnać.

- Mamo, co jadają sumy?! - zawołał Pete.

- Nie wiem. Pewnie muchy albo robaki.

- Zobaczę, czy będą im smakowały kawałki pieczonego kurczaka.

Podczas jazdy Spence zatrzymał się na chwilę przed całodobowym sklepem, w którym kupił kilka torebek pieczonych kawałków kurczaka, herbatniki o różnych smakach, kawę i sok pomarańczowy. Obiecał, że w ciągu dnia przyśle jej więcej żywności, jak również telefon komórkowy ze spisem telefonów, pod którymi w każdej chwili będzie się mogła z nimi kontaktować.

Miała cichą nadzieję, że obiecane produkty przywiezie jej Spence, lecz zamiast niego zjawił się Flynt.

- Nie wiem, jak dalece Spence wprowadził panią w swoje sprawy, ale ma w tej chwili pełne ręce roboty. Proszę więc łaskawie wytrzymać tutaj przez kilka dni. Będzie mu łatwiej działać, jeżeli nie będzie się musiał troszczyć o bezpieczeństwo pani i jej syna.

Dotknęła ją sugestia, że może być dla kogokolwiek ciężarem. Ponadto nie miała pewności, czy jej więzienie rzeczywiście skończy się po paru dniach. Kto wie, jak długo każą jej tutaj siedzieć, a bez samochodu ucieczka będzie co najmniej trudna.

- Bardzo panu dziękuję - odparła. - I proszę powie- . dzieć Spence'owi, żeby się o nas nie troszczył. Sami o siebie zadbamy.

- Jak tylko sytuacja zostanie opanowana, jeden z nas niezwłocznie się z panią skontaktuje. A tymczasem proszę nie dzwonić, chyba żeby coś wam zagroziło. Wytropienie telefonu komórkowego jest tylko trochę trudniejsze niż zlokalizowanie numeru stacjonarnego.

Boże święty, w co ja się wdałam! - myślała teraz. Bała się nie tyle o siebie, co o Pete'a.

Trzej przyjaciele siedzieli we wnętrzu zaparkowanej w centrum miasta zamkniętej furgonetki, zaopatrzonej w elektroniczną aparaturę podsłuchową. Dwaj mieli na uszach słuchawki, lecz jak dotąd dochodziły do nich jedynie odgłosy kroków i bliżej nieokreślone szумы.

- Nie wiemy nawet, na co czekamy - denerwował się Tyler.

To on, dzięki swoim kontaktom, "zorganizował" furgonetkę, mimo że nie był specjalistą od podsłuchu. Jednakże wszyscy trzej, jako wytrawni agenci sił specjalnych, umieli się nim posługiwać.

- Trudno przewidzieć - odparł Spence. - Za długo byłem poza grą. Ale warto poczekać. Może czegoś się dowiemy.

I rzeczywiście, w parę minut później Tyler dał ręką znak, żeby się uciszyli. Zdjąwszy słuchawki, jął gorączkowo majstrować przy aparaturze i już po chwili w ciasnym wnętrzu rozległ się męski głos:

- ... to ci powiem. Bo w ciebie nikt już nie wierzy, ot co! Ja, to co innego. Wiadomo, że na mnie można polegać. A czym ty mo*esz się pochwalić?

- To DeI Brio - stwierdził Flynt.

W tle odezwał się ledwo słyszalny drugi głos.

- A tamten to Ricky - szepnął Spence. - Spróbuj zrobić głośniej.

- Cholerny szmelc! - denerwował się Tyler, naciskając guziki. - O, już go mam!

- Gdybyś trzymał się, swoich dawnych kumpli, nie miałbym dzisiaj tego gówna na głowie! Muszę działać po omacku, a ty nawet nie ruszysz palcepl!

- A czegoś się spodziewał? Że będę się b/atał z facetami, którzy pewnie przyczynili się do zaginięcia mojej siostry?

- Przecież zostali uniewinnieni.

Znowu zaczęły się szumy, ale po chwili ponownie usłyszeli głos DeI Bria.

- Harrisona tak czy tak mamy z głowy. Tamci dwaj też nic nam nie zrobią, są zanadto zajęci sprawą Callaghana. A jeśli chodzi o Haley, to słyszałem,,

- Co słyszałeś, Frankie? Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałeś?

- Z tego, co wiem - głos mafijnego bossa przybrał fałszywie przyjazny ton - twoja siostra być może żyje. Nie twierdzą, że tak jest na pewno ani że nadal chciałbym się z nią ożenić, ale są pewne informacje ...

- Jakie informacje? Gadaj, łajdaku!

- Puszczaj moją marynarkę, stary! - Z głosu mafiosa znikł wszelki pozór życzliwości. - Po co tu właściwie przyszedłeś? Żeby dla mnie pracować czy szukać guza?

Czas płynął potwornie wolno. Ellen nie wiedziała, czym zająć Pete'a. W domku nie było nic do czytania poza starym numerem "Playboya", który w porę zdążyła wepchnąć za piecyk na drewno. Proponowała, by zajął się podręcznikami, ale tylko się skrzywił. Zapalił się dopiero, kiedy podsunęła mu myśl, by wziął wędkę i spróbował złowić coś na kolację.

Zamiast martwić się o Sarę i żrebaki, niech lepiej siedzi z wędką nad wodą. Biedny Pete. Jest jeszcze 'dzieckiem, chociaż usiłuje grać rolę jej opiekuna. Przez chwilę miała nadzieję, że Spence.

Zapomnij o tamtych marzeniach! - skarciła się w duchu. Spence ma teraz inne, ważniejsze sprawy na głowie. Życie na małym ranchu, z jego kłopotami i przyjemnościami, musi mu się wydawać nieciekawe, pozbawione rozmachu. Nie może zadowolić człowieka zajmującego ważne stanowisko i otoczonego wpływowymi ludźmi.

Płacz nic nie pomoże. Zresztą gdyby się rozpląkała, Pete zacząłby pytać, co się stało, a nie może przecież powiedzieć ośmioletniemu synowi, że zakochała się na śmierć i życie w mężczyźnie, którego dwa tygodnie temu wyciągnęli z rowu.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Pete nic nie złowił. Ellen pocieszała go, mówiąc, że nazajutrz będzie miał więcej szczęścia.

- Słyszałam, że ryby najlepiej biorą o świcie.

- Jasne, ja też mam rano apetyt. Mamo, czy zostało jeszcze trochę herbatników?

Pozbawiony codziennych, szkolnych i domowych zajęć Pete co chwila domagał się jedzenia. Z nią było odwrotnie; beczynność odebrała jej apetyt. Musiała się nagłować, żeby z nielicznych produktów

sklecić dla syna kolację. W rezultacie podała mu ulubioną potrawę swojej matki: wołowinę peklowaną z puszek w sosie pomidorowym ze smażonymi ziemniakami. Pete'owi potrawa ta bardzo smakowała, a Ellen opowiedziała mu przy okazji kilka anegdot ze swego dzieciństwa.

Położywszy syna do łóżka, wyszła na dwór. Powierzchnia stawu lśniła tajemniczo w srebrnym świetle księżyca.

Czekała na telefon od Spence'a. Niech sobie podsłuchują, ile chcą, byle usłyszała jego głos. I upewniła się, że o niej pamięta. Musi wiedzieć, czy to, co między nimi zaszło, było wyrazem głębszych uczuć z jego strony, czy tylko czułym podziękowaniem za pomoc i opiekę.

Weszła na powrót do domku, wiedząc, że i tak nie zaśnie. Gdyby miała odpowiednie przybory, zabrałaby się do szorowania zapuszczonego wnętrza. Wszystko byłoby lepsze niż to beczynne wyczekiwanie.

Kiedy ten koszmar się skończy, być może zdecyduje się jednak pojechać w odwiedzinach do ojca. Pete dorasta, potrzebuje bliskiego mężczyzny, na którym mógłby się wzorować, a ojciec, przy wszystkich swoich wadach, będzie lepszym wzorem niż Clyde czy Booker.

Biurowy gabinet Spence'a został oficjalnie opieczętowany, a on sam uznany za zaginionego. Przedtem jednak pozostawione w biurze dokumenty z pewnością dokładnie przewertowano. Ed Malone najprawdopodobniej położył łapę na materiałach śledztwa dotyczącego sprawy Aleksa Blacka.

Spence miał jednak własną metodę przechowywania najcenniejszych dowodów pośrednich, świadczących o bliskich powiązaniach między pewnymi politykami i paroma co znacznie szerszymi biznesmenami a teksańską mafią. Gdyby trzy tygodnie temu mógł przewidzieć, co go czeka, postarałby się te dokumenty jeszcze lepiej zabezpieczyć. Miał jednak nadzieję, że jego prosta metoda i tym razem okazała się skuteczna.

Dotąd był oficjalnie uważany za zaginionego. Istniała jednak obawa, że pewne czynniki zaczną naciskać, by jak najszybciej został uznany za „zmarłego”, co dałoby nowemu prokuratorowi pełny dostęp do zgromadzonych w biurze Spence'a dokumentów.

Na razie jednak głównym zadaniem, jakie DeI Brio wyznaczył Edowi Malone'owi, było jak najszybsze postawienie Aleksa Blacka przed sądem. Jadąc trzy tygodnie temu do więzienia, Spence miał już przygotowany pakiet dokumentów zdolnych wysadzić z siodła kilka ważnych osobistości. Zeznanie Blacka miało być jedynie ostatecznym uzupełnieniem istniejącego już, wystarczająco obciążającego materiału, który zamierzał przekazać FBI.

Po odstawieniu Ellen i Pete' a do kryjówki w Greasy Pond, Spence najchętniej wróciłby do swego mieszkania i przebrał się we własne ubranie. Ponieważ jednak mieszkanie może być obserwowane, musiał poprosić Tylera o przywiezienie mu rzeczy, które spisał na kartce.

Sam natomiast udał się w towarzystwie Flynta do podrzędnej moteli za miastem, gdzie zarejestrował się jako Jason Hale.

- Ma pan jakiś dowód tożsamości? - spytał zaspany recepcjonista.

- Niestety, ukradziono mi portfel. Przyjaciel pożyczył mi trochę pieniędzy na przeżycie najbliższych dni.

- Pokój kosztuje czterdzieści pięć dolarów za dobę, płatne z góry.

Spence zapłacił za trzy dni z góry. Chciał jak najszybciej ulotnić się z recepcji, gdzie mógł się łatwo natknąć na osobników w rodzaju 'Kapusia czy Milczącego

Sala.

- Za kilka godzin przywiozę ci prawo jazdy - powiedział Flynt, kiedy znaleźli się w obokurnym pokoju. - Ma być na nazwisko Jason Hale?

- Może być. A co z samochodem?

- Jak tylko załatwię dokumenty, przyślę ci wynajęty.
- Pamiętaj, żeby miał zaciemnione szyby - upomniał go Spence.
- Racja. Musisz bardzo uważać. Nie wiemy, ilu ludzi nadal cię szuka. Najlepiej zapaść brodę - dodał, widząc że Spence pociera niecierpliwie nie ogolony policzek.
- Dzięki za dobre rady - odburknął Spence. Ze też akurat teraz musiała mu się przypomnieć Ellen i ten szczególny wyraz jej twarzy, kiedy nazajutrz po wypadku przyniosła mu maszynkę do golenia swojego zmarłego męża.

Kolejny raz powiedział sobie, że podstawowe decyzje związane z nią i Pete'em musi odłożyć na później. Wszystko, rzecz jasna, będzie zależało od Ellen. Jeśli chodzi o niego, najważniejsze decyzje zostały już podjęte.

Czekając na auto i prawo jazdy, spisał wszystkie istotne dla sprawy dane, nie wyłączając miejsc, w których ukrył materiały dowodowe, źródeł poszczególnych informacji oraz łączących je ogniów. Pozwoliło mu to zachować względny spokój i odzyskać jasność myślenia. Wiedział, że Alex Black musi odpowiedzieć za zabójstwo sędziego Bridgesa. Miał zresztą więcej podobnych zbrodni na sumieniu.

Jeżeli jednak Spence'owi uda się odzyskać ukryte dokumenty i przedstawić FBI przekonując dQsier przeciwko mafijnym bossom oraz ich pomocnikom, wówczas ospała machina sprawiedliwości wreszcie ruszy z miejsca i zaczną sypać się głowy. On jednak ma tego wszystkiego dosyć. Musi dokończyć to, co rozpoczął, ale potem się wycofa.

Ma własne ranczo. Jest ono mniejsze niż ranczo Ellen, ale lepiej prowadzone. Co można zrobić z dwiema osobnymi posiadłościami, w dodatku położonymi na dwóch krańcach Lone Star?

Rzuciwszy się w końcu na łóżko, zaczął odtwarzać w wyobraźni całkiem inną sypialnię, a w niej kobietę w wystrzępionym kąpielowym szlafroku z jeszcze wilgotnymi po kąpiel, zmierzwionymi włosami.

- Och, Ellen, Ellen! - westchnął. - Co nas czeka?

Spotkali się pod gmachem sądu o trzeciej nad ranem, kiedy zamiera ruch na ulicach, a ochrona budynku zaczyna przysypiać. Podczas gdy Tyler zagadywał portiera, Spence i Flynt tylnymi schodami dostali się do biura, na którego drzwiach nadal wisiała tabliczka z nazwiskiem Harrisona.

- Podobno Malonowi przydzielono narożny gabinet - zauważył Tyler.
- Z oknami na południowy zachód. Nie będzie taki zachwycony, kiedy zaczną się prawdziwe upały - skomentował Spence. - W górnej szufladzie szafy znajdziesz segregator z napisem "Towarzystwa Ubezpieczeniowe".

Nieco zdziwiony Flynt wyciągnął wspomniany segregator, a Tyler w tym czasie zrobił miejsce na biurku. Poza pierwszymi i ostatnimi stronami zawartość segregatora bynajmniej nie dotyczyła ubezpieczeń.

- O cholera! - mruknął Tyler pod nosem, przerzucając papiery. On i Flynt szybko porządkowali odnalezione materiały, Spence tymczasem sprawdzał zawartość komputera.

Od czasu do czasu wydawali zduszone okrzyki na widok szczególnie inkryminującego dokumentu.

- To istny dynamit, zdolny wysadzić pół okręgu w powietrze - stwierdził Spence. - Zbierajmy się, nie-
długo zacznie się poranny obchód!

W tym momencie zadzwonił komórkowy telefon Tylera.

- Słucham, tu Murdoch! - Zakławszy pod nosem, powiedział do telefonu: - Potrzebuję dwudziestu czterech godzin. Odezwę się, jak tylko wszystko będzie gotowe. - Umilkł na dłuższą chwilę. - Tak, dwóch albo trzech. Zobaczymy się w ambasadzie. Daj znać w przypadku zmiany planów.

Wyłączywszy telefon, zwrócił się do kompanów:

- Dzwonił mój kontakt z wywiadu wojskowego. Ty, Spence, jeszcze o tym nie wiesz, ale po tym, jak

Luke zlokalizował miejsce przetrzymywania dowódcy, zrobiło się gorąco. Dosłownie. Jest ciężko ranny. Ma twarz poharataną od szrapnela. Parę godzin temu był operowany w polowym szpitalu gdzieś w głębi dżungli, ale może stracić wzrok.

W pokoju zapadło ciężkie milczenie. Luke Callaghan był ich kolegą z Akademii Wojskowej i współtowarzyszem wojny w Zatoce Perskiej.

- Zwijajmy się - szepnął Elynt. - Trzeba się przygotować. Mam nadzieję, że razem z samochodem nie straciłeś paszportu? - zapytał, zwracając się do Spence'a.

- Nie, powinien być u mnie w domu. Mam nadzieję, że po drodze wytłumaczycie mi dokładniej, co jest grane - odparł Spence, zacierając ślady ich bytności w swoim byłym gabinecie i gasząc światła.

Drugi dzień pobytu nad stawem upłynął niemal identycznie jak pierwszy. Pete siedział nad wodą, próbując złowić rybę na przynętę dostarczoną przez jednego z dwóch trudnych do rozróżnienia aniołów stróżów. Kiedy Ellen kazała mu włożyć kapok, chłopak gorąco zaprotestował.

- Może dotąd nie pływałem, ale wiem, jak się to robi.

Trzeba po prostu machać rękami. O tak - tu zademonstrował ruchy podobne do kraula - i jednocześnie kopać z całej siły nogami. Wiem, bo oglądałem "Słoneczny patrol" z tymi superfacetkami. Kiedy dorosnę, też zostanę ratownikiem.

Ellen westchnęła w duchu. Nie miała pojęcia, że jej syn regularnie ogląda telewizyjny serial z galerią półnagich "króliczków" prosto z "Playboya".

Wokół panował spokój. Od czasu do czasu pojawiały się anonimowo wyglądające osoby, zapewne należące do pilnującej ją i Pete'a ekipy.

Siadła na werandzie, zastanawiając się, gdzie teraz jest Spence i co robi. Czy naprawdę straciła głowę dla mężczyzny, który wyrócił jej życie do góry nogami? Rozsądek mówił jej, że nie może kochać człowieka, którego właściwie nie zna i o którym nic nie wie. Ale czy kiedykolwiek w życiu kierowała się rozsądkiem? Najpierw wbrew woli ojca wyszła za spotkanego przypadkiem żołnierza, a potem oddała serce mężczyźnie bez nazwiska i przeszłości i uwierzyła, że zostanie z nią na zawsze.

Teraz tamte marzenia rozplywały się jak złoty sen.

Po Spencie zostanie jej wspomnienie dwu cudownych nocy oraz niechcianych wakacji w miejscu, w którym wołałaby się nigdy nie znaleźć.

Zbliżają się święta Bożego Narodzenia. Musi pomyśleć o prezentach dla Pete'a - nowym rowerze i psie. Nie może sprawić synowi zawodu, zwłaszcza teraz. Zabawa w policjantów i złodziei wkrótce się skończy i Pete musi pogodzić się z faktem, że ich życie będzie wyglądało tak samo jak przed pojawieniem się Spence'a. Ze znowu są sami i sami muszą walczyć o przetrwanie. Musi mu to jakoś osłodzić.

Co ja właściwie robię w tej głuszy, z dala od domu, którym zawładnęli obcy ludzie z pistoletami? Jakim cudem moje życie zamieniło się z dnia na dzień w widowisko z telewizyjnego dreszczowca? Co jeszcze może mnie spotkać?

Nie, tak dłużej być nie może, postanowiła Ellen. Musi na powrót wziąć swój los we własne ręce. Daje mu trzy dni, licząc od wczoraj. Jeżeli do tego czasu nic się nie zmieni, wróci z Pete'em do domu, choćby miała jechać autostopem.

Spotkali się w prywatnym gabinecie klubowej restauracji. Tyler wprowadził Spence'a tylnym wejściem, Elynt przyszedł wcześniej, zamówił dla wszystkich potężne porcje polędwicy z grilla, po czym odprawił kelnera, dając mu okazały napiwek.

- Nareszcie zjem coś przyzwoitego - ucieszył się Spence. - W tym motelu można zamówić co najwyżej chipsy z torebki albo batoniki.

Tyler rzucił okiem na zegarek.

- Lecimy wycarterowanym samolotem za trzy godziny - oświadczył. - Spence, ty musisz zostać.

Dowody, jakie zebrałeś, są wystarczająco mocne, żeby je przekazać FBI. Kiedy już federalni przejmą

sprawę w swoje ręce, możesz wrócić do swojej pani. Będziemy oczywiście w stałym kontakcie. Gdyby coś poszło nie tak, będziesz nas krył.

- Jasne - odparł Spence.

- O Westinie nadal brak wieści,- ciągnął Tyler. - Jednak pierwszym naszym zadaniem będzie przetransportowanie Luke'a do przyzwoitego szpitala, najlepiej do Stanów.

Na myśl o rannym Luke'u, któremu grozi utrata wzroku, Spence nagle stracił apetyt.

- Powinniście lecieć we trzech. Dwóch wkracza do akcji, a trzeci zabezpiecza tyły - powiedział.

- Tak by było najlepiej - zgodził się Tyler. - Ale skoro poruszyłeś gniazdo szerszeni, musisz teraz zostać, żeby je zlikwidować. Nikt tego za ciebie nie zrobi.

- Zastanawiam się, czy nie wciągnąć w to Ricky' ego - odezwał się Flynt.

- Ricky'ego Mercado? No wiesz! - obruszył się Tyler. - Słuchajcie, póki wywiad wojskowy szuka dowódcy, mamy szansę wywieźć Luke'a z tej przekłetej dżungli. Ja pojedę po niego, dobrze znam teren.

- Ja też - dodał Flynt.

- Ale nie tak jak ja. Poza tym w śmigłowcu może zabraknąć miejsca dla nas obu.

- Może ja was pogodzę - wtrącił Spence. - Niech Flynt zostanie tutaj i zabezpiecza odwody na wypadek, gdybym miał związane ręce, a zamiast niego niech leci Ricky. W końcu gdyby nie sprawa Haley, byłby nadal w naszej grupie.

- Masz rację" Mercado dobrze się sprawdza w ekstremalnych sytuacjach, czego dowiódł w Zatoce - przyznał Flynt. - A po przegranej batalii o przywództwo w mafii chętnie skorzysta z okazji, żeby się czymś wykazać. Moim zdaniem Mercado nie miał wcale ochoty przewodzić mafii, a chodziło mu przede wszystkim o to, żeby zapobiec małżeństwu DeI Bria z Haley. Tak czy owak, mamy okazję wyciągnąć go z tego bagna.

Tyler po dłuższym namyśle skinął głową.

- Dobra myśl. Zabieram go z sobą, Zaraz do niego zadzwonię, do odlotu zostało niewiele czasu.

Ellen postanowiła nie czekać ani chwili dłużej. Kiedy w domku zjawił się jeden z ochroniarzy z codzienną dostawą wiktuałów, oświadczyła:

- Wezwij mi taksówkę. Wracam do siebie. Nikt mnie nie poszukuje, a w domu czekają na mnie żrebaki.

- Bardzo panią przepraszam, ale ...

- Albo zawołasz mi taksówkę, albo pojedę autostopem.

Nieszczęśnik jeszcze raz spróbował odwieść ją od tego zamiaru, lecz Ellen była tak zdecydowana, że w końcu ustąpił.

- Dobrze, odwiozę panią do domu, ale muszę wpierw zadzwonić do pana Harrisona.

- Dzwon, do kogo chcesz, ale wiedz, że ja nie zostanę tu ani chwili dłużej.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Po powrocie do motelu Spence wyjrzał przez okno i przez dłuższą chwilę przypatrywał się starszukowi, który rozwieszał świąteczne lampki wokół ubożuchnego domu po drugiej stronie ulicy.

Ze stanu bezmyślności wyrwał go dźwięk telefonu. - Chciałem cię tylko zawiadomić - powiedział

Flynt - że Tyler i Ricky wylecieli o ustalonej godzinie. Uprzedziłem o tym Michaela na wypadek, gdyby stan Luke'a pozwolił na sprowadzenie go do Stanów. Michael sam skontaktuje się z tamtejszym szpitalem. - Michael O'Day był nie tylko znakomitym chirurgiem, ale także ich zaufanym przyjacielem. - Odezwę się, kiedy będzie coś nowego.

- A jakie wrażenie zrobił na tobie Ricky? Myślisz, że wrócił do normy? - zapytał Spence.

- Tak mi się wydaje. Był wyraźnie poruszony, kiedy Tyler wprowadził go w szczegóły sprawy. Powiedział, że postara się zapoznać z terenem, żeby móc następnie wrócić i pomóc w uwolnieniu Westina, albo nawet zrobić to w pojedynkę.

- Ricky potrzebuje silnych wrażeń - rzekł Spence. Niestety, jego rodzina jest powiązana z mafią i wykorzystuje to dla własnych celów., - Gdybym był potrzebny, wiesz, gdzie mnie szukać. Ch,olera,! Że też akurat teraz nie mogę się włączyć do, gry!

- Masz w tej chwili inne zadanie. Tylko go nie schrzań! Lada chwila będziesz miał pełne ręce roboty: A za tamtych trzymaj kciuki. Ufam, że im się powiedzie, ale w tych sprawach nie ma nigdy nic pewnego.

- Jasne. Może przy okazji dowiedzą się czegoś o Westinie.

Obaj zamyślili się na chwilę nad losem człowieka, który kiedyś dla ich ratowania zaryzykował życie.

- A przy okazji - z udaną obojętnością rzucił Flynt - Ricky uczeplił się plotki, że Haley żyje. Pamiętasz jego rozmowę z DeI Briem, którą udało nam się podsłuchać? - Haley ... Tyle czasu upłynęło od tamtej pory. I tyle się wydarzyło.

- No to na razie - zakończył Flynt. - Będę się odzywał.

Zmęczenie po paru nieprzespanych nocach dało wreszcie o sobie znać. Spence już miał się zdrzemnąć, kiedy znów zadzwonił telefon.

- Pan Harrison? Tu Beau z Greasy Pond. Pewnie nie będzie pan zadowolony, ale musiałem tę pańską damulkę odstawić do domu. Groziła, że w przeciwnym razie pojedzie autostopem.

Spence poczuł narastający ból głowy. Chyba jest już za stary, żeby żyć w ciągłym napięciu. Stracił upodobanie do nagłych przyplływów adrenaliny.

- W porządku, Beau. Dobrze zrobiłeś. Co zastałeś na miejscu?

- Otworzyła nam ta herod-baba w fartuchu, spod którego wystawała spluwa. Zaproponowała *mi* kawę i jedzenie, które o mało nie spaliło mi języka. Pańska kobita i chłopak polecili prosto do stajni. No więc zrobiłem obchód terenu i natknąłem się na gościa na ogierze, który z pańską kobitą długo konferował. Ten na koniu to pewnie pański człowiek, nie?

- Tak jest. A ta herod-baba to jego żona. Wszystko w porządku, Beau, możecie się związać. Dziękuję wam obu i do następnego razu.

- Oj Ellen, Ellen, co ja mam z tobą robić? - westchnął, kompletnie rozbudzony. Jednakże zamiast zadzwonić wprost do niej, wybrał numer komórkowego telefonu Jose.

- Co u was słychać? - zapytał. - Nikt podejrzany się nie kręcił?

- Zjawilo się dwóch dziwnych facetów. Twierdzili, że pracują na farmie, ale łatwo dali się spławić. Nie wiadomo, czy to dobrze, czy źle, pomyślał Spence. Poprosił Jose, by zostali na farmie aż do odwołania. - Obiecaliśmy spędzić święta z wnukami.

- Nic się nie martw, Jose. Jeszcze tylko parę dni. Zdażycie na Gwiazdkę do Laredo.

Odłożywszy słuchawkę, ziewnął szeroko i udał się pod prysznic. Gwiazdka za pasem? Marzenie ściętej głowy. Za mniej więcej trzy kwadransy miał się stawić w umówionym miejscu koło Dallas na spotkanie z agentem FBI. Potem zaś będzie czekał na wiadomość od Flynta albo Tylera. Mieli dać znać, czy udało się Luke'a wy dostać z polowego szpitala i w jakim stanie.

Czyli że w najbliższym czasie o przespaniu się nie ma co marzyć. Musi się zadowolić zimnym prysznicem. Nie może się nawet ogolić, a nie nawykła do zarostu skóra na policzkach zaczynała swędzieć jak jasna cholera.

Niewielki samolot wolno pokonywał przestrzeń nad górzystymi rejonami latynoamerykańskiego państwka. Wbrew wcześniejszej nadziei okazało się, iż stan zdrowia Luke'a nie pozwala na przetransportowanie go do Stanów. Lecieli zatem do San Salvador, gdzie na lotnisku miał już czekać szpitalny ambulans.

Tyler Murdoch walczył z sennością, koncentrując uwagę na sączącej się z kroplówki soli fizjologicznej. Miał od paru godzin nieodparte wrażenie, że chory przyjaciel tylko udaje sen. Luke istotnie otworzył oczy, ale dopiero gdy Ricky udał się do kabiny pilota.

- Człowiek na fruującym trapezie. Pamiętasz tę piosenkę? - wycharczał, wskazując huśtające się nad nim rurki medycznej aparatury. - Wiem, jak uwolnić Westina ...

Tyler z miejsca oprzytomniał.

- Nie pamiętam - odparł. - ' Wszystko mi opowiesz, jak znajdziemy się w szpitalu. Wkrótce powinniśmy lądować

- Śmigłowiec. Buja się w przód ... buja się w tył' - mamrotał Luke, ściskając i rozprostowując palce rąk.

- Nie męcz się, stary, później pogadamy - uspokajał go Tyler. - Ja ci tymczasem przekażę najnowsze plotki z miasta.

- Dobra. Mam uczucie, jakbym wyjechał rok temu. Tyler nie zamierzał mówić choremu wszystkiego. Nie chciał go denerwować, a jedynie zająć czymś jego uwagę.

- Mieliliśmy ostatnio zwariowaną pogodę. Przeszły dwa tornada, ale nie wyrządziły większych szkód - powiedział, przemilczając fakt, iż jedno z nich przyprawiło Spence'a o chwilową amnezję, dzięki czemu DeI Brio zdołał podporządkować sobie niektóre organa wymiaru sprawiedliwości. Nie chciał złymi wiadomościami razić ciężko rannego przyjaciela, któremu grozi utrata wzroku.

Tyler nadal nie rozumiał, dlaczego misja Luke'a zakończyła się fiaskiem, chociaż jego plan uwolnienia Philipa Westina z rąk partyzantów wydawał się niezawodny. - To pewnie nie wiesz, że Ryntowi powiększyła się rodzina? - powiedział.

- O! W jaki sposób? - zaciekawiał się chory.

- Znaleźliśmy, wyobraź sobie, porzucone niemowlę.

Graliśmy pewnej niedzieli w golfa. W tym samym składzie co zawsze. No, niezupełnie, bo pod twoją nieobecność dołączył do nas Michael O'Day. Musisz go pamiętać.

- Mówisz, że Ryntowi powiększyła się rodzina słabnącym głosem powtórzył Luke.

Ewakuacja z dżungli była uciążliwa. Na polanę, gdzie czekał samolot, nieśli Luke'a na noszach spory kawał.

- No właśnie, bo na polu golfowym znaleźliśmy podrzucone niemowlę, dziewczynkę. Leżała w koszyku razem z listem. Cud, żeśmy jej nie przegapili.

Tyler przerwał na chwilę, by sprawdzić, czy kroplówka dobrze działa.

- No więc znaleźliśmy porzuconą dziewczynkę. Powiadam ci, słodka jak aniołek. Flynt postanowił się nią zaopiekować, przynajmniej do czasu odnalezienia jej matki albo obojga rodziców.

Luke otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zakrztusił się i dostał ataku kaszlu. Przestraszony Tyler ujął go za rękę.

- Trzymaj się, stary. Za parę minut wylądujemy i znajdziesz się w prawdziwym szpitalu.

Kaszel po chwili ustąpił, Luke odetchnął parę razy i znowu spróbował coś powiedzieć.

- Nie wiem, czy ci mówiłem, ale tamtej nocy ...

- Nic nie mów - przerwał mu Tyler. - Powiesz mi kiedy indziej. Teraz przygotuj się na ostre lądowanie. Lotnisko nie wygląda najlepiej.

Luke poczuł na ramionach czyjeś ręce i domyślił się, że to Ricky Mercado wrócił z kabiny, aby go przytrzymać w trakcie lądowania. Środki przeciwbólowe przestawały działać. Zeby nie myśleć o nadchodzącym bólu, Luke przywołał w pamięci tamten wieczór, kiedy po raz ostatni widział Haley Mercado. 7

Czternasty pułk piechoty morskiej świętował powrót do domu. zabawa pyła huczna, wszyscy' mieli mocno w czubie, kiedy 1 ct' Oś z~proponował noonaprzejażdżkę po jeziorze. Czy Haley pierwsza wsiadła do łodzi? Chyba. tak.

- Trzymaj się, za chwilę siadamy - usłyszał głos Tylera.

Luke skupił się całkowicie na wspomnieniu tamtej nocy. Uroczystość odbywała się w jego posiadłości nad jeziorem. Śmiejąc się i żartując, wskakiwali do niewielkiej żaglówki, chcąc znaleźć się jak najbliżej pięknej Haley, w której wszyscy po trosze się kochali.

A potem znikła. Utonęła.

O nie, nie myśl o tym! W każdym razie nie teraz. Skoncentrował więc myśli na wspomnieniu innej nocy. Było to w parę miesięcy po procesie, który zakończył się ich uniewinnieniem. Szukając zapomnienia, wybrał się pewnego wieczoru do popularnej, choć cieszącej się nienajlepszą sławą knajpy "Pod Sakwą". I tam ujrzał porywająco piękną blondynkę. Łudząco podobną ... Nonsens! Haley już nie żyła!

Niemniej jakaś magnetyczna siła ciągnęła go do tajemniczej kobiety, która nie chciała podać swego imienia. Powiedziała tylko, że mieszka w Londynie, a do USA przyjechała w interesach.

Jednakże Luke' a interesowało tylko jej ciało. Może za dużo wypił? Pił niewątpliwie więcej niż zwykle. Nie pamiętał, w jaki sposób znaleźli się w łóżku. Dama była więcej niż chętna, a i on był nie od tego. Cholera! Pewnie z takich przypadkowych kontaktów biorą się podrzutki - w rodzaju tego, o jakim mówił przed chwilą Tyler.

Ale chyba się zabezpieczył? Nigdy tego nie zaniedbywał. Bezszykownie wysilał odurzony lekarskimi umysł, usiłując sobie przypomnieć, czy kochając się z tajemniczą kobietą, zachował ostrożność. Pamiętał tylko, jak bardzo przypominała mu Haley. Może to była ona, a nie blondynka z Londynu?

Nie myśl o tym, powiedział sobie. Teraz musisz się skoncentrować na odzyskaniu wzroku, aby móc wrócić do dżungli i uwolnić Westina z tej śmierdzącej nory!

Samolot dotknął ziemi i podskoczywszy parę razy, siadł na lądowisku. Sanitariusze natychmiast wynieśli Luke' a do czekającego na płycie ambulansu.

- Mamo, ona mnie poznaje! - wykrzyknął Pete, pochylając się nad nowo narodzoną źrebiczką. - Bowser też mnie poznał.

Zostało już uzgodnione, że córka Sary będzie się nazywała Brownie. Ellen siedziała w stajni na stołku, naprawiając przetartą uzdę.

- Szkoda, że nie ma Spence'a, na pewno by ją polubił - dodał chłopiec.

Ellen odłożyła uzdę. Od kilku dni usiłowała wytłumaczyć synowi, kim jest Spence i dlaczego ważne obowiązki nie pozwalają mu się z nimi skontaktować.

- Kapuję. Spence musi złapać bandytów - podsumował jej wyjaśnienia Pete.

Clyde i Booker nie pojawili się, lecz Jose i Donita przed swoim wyjazdem na święta do rodziny do Laredo obiecali rozejrzeć się za chętnymi do pracy robotnikami.

- Znam dwóch takich - powiedział Jose., - Nie są jeszcze starzy, powiedziałbym raczej, że osiągnęli wiek dojrzały. Ale ranczerzy nie chcą ich zatrudniać, bo wolą inwestować w młodych pracowników.

W obecnej chwili Ellen była gotowa zatrudnić niemal każdego, kto ruszał rękami i nogami.

- Wiesz, że nie mogę im zapewnić ubezpieczenia, ani nawet mieszkania, tylko posiłki - odparła.

- Wiem, ale oni mają podstawowe ubezpieczenie, a kwaterę sami urządzają sobie w garażu.

Oczywiście, jeżeli się zgodzisz.

- Pewnie, czemu nie. Ale czy nie są za starzy na to, żeby pracować?

- Wcale nie - zapewnił ją Jose. - Są jeszcze w pełni sił, a do tego nauczyli się cenić pracę.

W rezultacie zgodziła się przeprowadzić wstępną rozmowę z dwoma potencjalnymi pracownikami. Mieli pojawić się jutro w ciągu dnia. Ellen czuła się jednak przytłoczona swoją sytuacją. Byłoby lepiej, gdyby Jose i Donita nie musieli wyjechać. Byłoby lepiej, gdyby Spence nie odzyskał pamięci ...

O nie, tego by nie chciała. Ellen miała sobie wiele do zarzucenia, ale na pewno nie była egoistką.

- Mamo? Czy ten pies, którego dostanę na Gwiazdkę, może się nazywać Sztorm? - zapytał Pete. Cały Pete. Wali prosto z mostu, czego chce, nie ukrywając, że od dawna nie wierzy w bajeczki o Świętym Mikołaju. Jak na swój wiek, Pele miał wiele zdrowego rozsądku, czego Ellen nie mogła powiedzieć o sobie. Nie dalej jak wczoraj w schronisku dla psów zakochała się w zabawnym szczeniaku. Będzie musiała poddać psiaka obowiązkowym szczepieniom, na których opłacenie nie stać jej, zwłaszcza po tym, jak w sklepie z używanym sprzętem kupiła synowi prawie nowy rower.

- Dobrze, kochanie, niech będzie Sztorm - odparła. Bardzo kochała swego małego synka, żalowała tylko, że zbyt szybko dorasta. Nie oddałaby ani jednej chwili jego dzieciństwa za wszystkie skarby świata. Pete jest wszystkim, co jej w życiu zostało. Są tylko we dwoje i nikomu więcej im nie trzeba.

- Mamo, czy masz adres Spence'a? Narysowałem obrazek, specjalnie dla niego, żeby o nas pamiętał. Wyślemy go pocztą, dobrze? Mamo, czy mucha wpadła ci do oka? Powiem ci, jak się jej pozbyć. Musisz ująć rzęsy górnej powieki w dwa palce, naciągnąć ją na dolną i energicznie pomrużyć. Jak chcesz, to ci pomogę ...

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W oddalonym o pięćdziesiąt kilometrów na północ domu na swym ranczu Spence po raz ostatni rozejrzał się wokół siebie. Przyjechał tu parę dni temu, natychmiast po ostatecznym wywiązaniu się z trzymających go w mieście obowiązków. Był sam, gdyż jego gospodyni udała się po ostatnie zakupy. Elnora zaopatrzyła go na drogę w najrozmaitsze świąteczne smakołyki, zaś przed domem głośno ujadła mała suczka rasy coli.

Przy drzwiach stała zapakowana walizka. Oprócz ubrań na dłuższy pobyt włożył do niej wysokie robocze buty. Tym razem wolał nie wchodzić dosłownie w buty Jake'a Wagnera.

Nagle obleciał go strach. Nie miał pojęcia, jak zostanie przyjęty, zjawiając się znów na jej progu, tym razem z własnym bagażem. Co zrobi, jeśli się okaże, że Ellen nie chce go znać? Nie była zachwycona tym, w jaki sposób zapewnił bezpieczeństwo jej i Pete'owi.

Trudno, nie dowiem się, póki nie spróbuję, mówił sobie, upychając w samochodzie ogromne padło z jedzeniem, kosz z popiskującą suczką i duży, nowiutki rower. Życie bez Ellen i Pete'a tak czy inaczej straciło dla niego sens.

Trzeba najpierw zadzwonić. Powinien był to zrobić trzy dni temu.

Usiadłszy za kierownicą, wystukał jej numer. Telefon dzwonił i dzwonił, ale nikt nie odbierał. Na próżno błagał ją w duchu: Podnieś słuchawkę, kochanie! Powiedz, że tęsknisz za mną tak samo, jak ja za tobą! Musiała wyjść do stajni.

Po dziesiątym sygnale zrezygnował. Trudno, zjawi się bez uprzedzenia. Nie oglądając się za siebie, opuścił ranczo, które nabył z myślą o przyszłej emeryturze. Nie przewidywał, że walka z korupcją okaże się aż tak wyczerpującym zajęciem.

Trzeba było wcześniej zadzwonić i uprzedzić o swoich zamiarach. Jednakże w ciągu ostatnich dni miał tysiące zajęć: musiał z wieloma osobami nawiązać kontakty, sprawdzić i uporządkować zebrane wcześniej dowody przeciwko mafii, przekazać je do FBI, a ponadto ostrzec ważne osobistości o tym, że nowo mianowany prokurator okręgowy jest człowiekiem do cna skorumpowanym, no i wskazać, z kim oraz jak jest powiązany.

Na zakończenie zaś wykonał krok, którym wprawił całe miasto, nie wykluczając nowego prokuratora okręgowego, w osłupienie, a mianowicie złożył rezygnację z zajmowanego stanowiska. Równocześnie przez cały czas utrzymywał kontakt z Flyntem i Tylerem, dowiadując się o zdrowie Luke'a oraz start przygotowań do uwolnienia Westina.

Dopiero w ciągu minionych dni zdał sobie sprawę, iż pomijając ostatnie dwa tygodnie, przymusowej beczynności, i całe jego dorosłe życie. Od chwili, gdy sędzia Bridges ... • uf~tw,il mu wstąpienie do Akademii Wojskowej, było jednym pasmem nerwowej i wyczerpującej pracy. Po Akademii przysłała wojna w Zatoce Perskiej, a po wyjściu z piechoty morskiej rozpoczął studia prawnicze, głównie

zresztą po to, by odwdziżyć się sędziemu za wszystko, co dla niego zrobił.

Przez wszystkie te lata nie miał właściwie osobistego życia. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo mu tego brak. Czy nie czekał za długo?

Uchodził wprawdzie za człowieka bardzo inteligentnego i dobrego negocjatora, tym razem może się jednak okazać, że pokażą mu drzwi, zanim zdąży w swojej obronie otworzyć usta. Co zrobi, jeżeli Ellen powie mu "nie"? Nigdy w życiu o nic nikogo nie prosił, nawet wtedy, gdy wraz z grupą przyjaciół został oskarżony o lekkomyślne spowodowanie śmierci Haley, która utonęła pewnej ciemnej nocy, gdy przepełniona opitymi piwem hulakami żaglówka przewróciła się na jeziorze w posiadłości Luke'a.

W końcu uszło im to na sucho, ponieważ sędzia Bridges, z sobie tylko wiadomych powodów, uwierzył, że są niewinni i zdołał ich wybronić.

Tym razem Spence był gotów na wszystko; jeśli trzeba będzie - padnie przed nią na kolana. Kupił nawet zaręczynowy pierścionek. A także szczeniaka i rower dla Pete'a. Takie myśli kłębiły się mu w głowie, podczas gdy samochód pokonywał kolejne kilometry dzielące go od celu, Krajobraz niewiele się zmienił od tamtego dnia, w którym całe jego dotychczasowe życie radykalnie zmieniło swój bieg. Z zadowoleniem spoglądał na rozciągające się po obu stronach drogi pola, sady i pasące się stada.

Mission Creek jest miastem sympatycznym, zapewne nie gorszym ani lepszym od wielu innych małych miasteczek, którymi od pokoleń trzęsie kilka naj znacniejszych, powiązanych ze sobą bądź skłóconych, zasiedlonych rodzin. Nie jest to jednak jego własny świat. Związał się z nim, co prawda, na pewien czas, lecz teraz przyszła pora, aby znaleźć dla siebie inne, właściwsze miejsce.

Zajechawszy na podwórze stwierdził, iż od czasu jego ostatniej bytności prawie nic się tu nie zmieniło. W porównaniu z jego małym, lecz dobrze utrzymanym ranczem, posiadłość Ellen wydaje się rozpaczliwie zaniedbana, Ładny skądinąd odrapany dom z przekrzywioną anteną na dachu, wybujały, od dawna nie strzyżony żywopłot, zarośnięte chwastami grządki, na których powinny rosnać warzywa.

Spence wiedział już wcześniej od Ellen sporo o jej rodzinie, zaś podczas pobytu w mieście dodatkowo zasięgnął informacji na temat Leonarda Summerlina, na wypadek, gdyby się nagle okazało, że trzeba Ellen i Pete'a przenieść w inne, bezpieczniejsze miejsce. Z raportu wynikało, iż Summerlin prowadzi interesy giełdowe na międzynarodową skalę, niedawno powtórnie się ożenił, a ostatnio poddał się operacji usunięcia raka prostaty. W ciągu życia pomnożył znacznie odziedziczony majątek i uchodził za uczciwego biznesmena. Cokolwiek zaszło między nim a Ellen, do zerwania stosunków doszło zapewne wskutek konfliktu charakterów. Spence był jednak przekonany, w końcu zdążył ją trochę poznać, że Ellen byłaby niepokieszona, gdyby nie zdążyła się z ojcem pogodzić.

Ale najpierw on sam musi uzyskać jej wybaczenie.

W domu nikogo nie było. Kiedy uporczywe pukanie do drzwi i szarpanie klamki nie przyniosło rezultatu, Spence pomyślał, że może Ellen z własnej inicjatywy postanowiła naprawić stosunki z ojcem i wybrała się z Pete'em na święta do Austin.

Zmienił jednak zdanie, kiedy rozejrzawszy się po zabudowaniach stwierdził, że stajnia stoi otworem, klacze ze źrebakami pasą się na jednym pastwisku, a Zeus i oba wałachy na drugim.

Ellen na pewno nie zostawiła koni bez opieki, a tym bardziej pod opieką Bookera i Clyde'a. Zarazem jednak na parkingu pod szopą brakowało mniejszej furgonetki. - Ellen! - zawołał, obchodząc werandę, żeby wyjrzeć na tylne podwórze, gdzie zwykle suszyło się pranie.

Ellen jednak tam nie było, a na jego wołanie nikt nie reagował. Zdjął go zimny strach, choć właściwie nie było po temu powodu. Chwilowa nieobecność w domu to rzecz normalna. Kiedy Beau powiadomił go telefonicznie, że Ellen wróciła na farmę, Spence podjął odpowiednie kroki dla zapewnienia bezpieczeństwa jej i Pete'owi.

, , , , .

Ponadto jeden z dwóch rzezimieszków pozostających w służbie DeI Bria parę dni temu zginął w wypadku; jego jadący z niedozwoloną prędkością samochód wpadł w poślizg i wyładował na drzewie. Według policjanta, który pierwszy dotarł na miejsce wypadku, zabity kierowca miał ciało pokryte tatuażem. Z innych doniesień wynikało, iż Milczący Sal znikł bez śladu i najprawdopodobniej kieruje się na południe, ku granicy meksykańskiej. Sledztwo prowadził nowo zatrudniony policjant, który zrobił na Spencie jak najlepsze wrażenie.

Może pojechała do kościoła albo wybrała się z Pete' em do szkoły na jakąś bożonarodzeniową uroczystość? Na drzwiach wejściowych wisiał świeżo upleciony świąteczny wieniec, zapewne wykonany przez Pete'a.

Usłyszawszy żalosne skamlenie zamkniętej w koszyku suczki, wrócił do auta i wypuścił ją na podwórze.

- Przykro mi, psino, ale chyba będziemy musieli zmienić świąteczne plany - mruknął pod nosem.

W tym momencie dobiegł go warkot furgonetki pokonującej najbardziej wyboisty odcinek prowadzącej do domu alei. Odetchną-szy z ulgą, Spence patrzył, jak samochód wjeżdża na podwórze i zatrzymuje się w środku obejścia. Otworzyły się prawe drzwi i z furgonetki wyskoczył Pete, niosąc w ramionach' wierzące się i popiskujące, włochate stworzenie.

- Przykro mi, psino, ale chyba trochę przesadziliśmy - mruknął Spence do suczki, która drżąc ze strachu, przywarła do jego stóp.

- Spence! Hura! Mamo, Spence przyjechał! - wołał Pete. - Wiedziałem, że wrócisz. Ty też masz psa? Super! Teraz każdy z. nas ma swojego psa.

Ellen tymczasem wysiadła z samochodu i zatrzymała się, przytrzymując ręką otwarte drzwi. Spence 12ośpiesznie zbiegł ze schodów.

- Dzień dobry, Ellen. Przyjechałem złożyć ci świąteczne życzenia.

Nawet się nie uśmiechnęła. Zły znak!

- Przywiozłem prezent dla Pete'a, ale widzę, że się spóźniłem. Mogę udawać, że to mój pies.

Ellen milczała. Miała zaciśnięte wargi, zaś jej czoło przypominało gradową chmurę. Spence chciał chwycić ją w ramiona i pocałunkami wymusić darowanie win.

Obrzuciła go niechętnym spojrzeniem. Miał na sobie eleganckie ubranie, był pod krawatem, pachniał wodą kolońską. Poczul się głupio. Ale jako rasowy prawnik znał się na prowadzeniu negocjacji.

- Widzę, że hodowla się powiększa. Sara, jak widzę, urodziła klacz. A reszta koni też jest w dobrej formie - zauważył.

Milczenie. Może nie całkiem lodowate, ale zdecydowanie chłodne. Podjął następną próbę.

- Ładny wieniec świąteczny na drzwiach. Pewnie roboty Pete'a? - ciągnął. - Czy mogę ci pomóc wnieść pakunki do domu? Skoro już tutaj jestem ...

- Ale nie zostaniesz - oświadczyła prosto z mostu.

- Nie? To znaczy, oczywiście, że nie. Nie miałem takiego zamiaru. Wpadłem na chwilę.

Delikatnie wyjął jej z rąk dziesiędokilowy worek psiej karmy.

- Zeby podrzucić psa? Niepotrzebnie się trudziłeś. Mamy już szczeniaka. Właśnie wracamy ze schroniska. Ale skoro już tu jesteś, pomożesz mi wyciągnąć rower z większej furgonetki i schować do szopy. Przywiozłam go przedwczoraj pod nieobecność Pete'a, ale się zaklinował za siedzeniami.

- Jaki rower?

- Jak to jaki? Po prostu rower. Pojazd na dwóch kołach. - Nagle jakby się zatroskała. - Co ci jest? Czy coś ... z twoją głową?

- Faktycznie trochę szwankuje - przyznał. - Gdzie go zanieść? Do szopy przy stajni? - zapytał, wyjmując zza siedzenia niewielki rower.

Był w dobrym stanie, lecz widać było na pierwszy rzut oka, że Pete wyrośnie w niego najdalej za rok. Prowadząc rower do składu na paszę, Spence poczuł się nagle jak u siebie w domu.

- Jeśli pozwolisz, zapędzę konie do stajni - zaryzykował.

- Nie w tym ubraniu.
- Mogę je zdjąć. - Usłyszawszy własne słowa, wyobraził sobie przez moment ich oboje, rozebranych, kochających się na sianie. Nie dał jednak tego po sobie poznać.
- Nie trzeba, tylko pomóż mi schować ten rower.
- Chętnie, nigdzie mi się nie śpieszy. - Gdyby była świadkiem w sądzie, już by ją rozszyfrował.
Ale ponieważ nie jest świadkiem, tylko kobietą, którą kocha ponad wszystko w świecie, więc wciąż czuł się niepewnie.

Ustawił rower w kącie szopy, Ellen zaś przykryła go starannie wypłowiałą derką, żeby ciekawski Pete nie wypatrzył przedwcześnie drugiego gwiazdkowego prezentu. Manipulując przy rowerze, Ellen znalazła się tak blisko Spence'a, że poczuł zapach jej włosów zmieszany z wonią talku.

- Pete też ma dla ciebie prezent - powiedziała.
- Ellen, kocham cię.
- Rysunek. Chciał go wysłać pocztą, ale nie mieliśmy
twojego adresu.

- Kocham cię.
- Bądź tak dobry i powiedz Pete'owi, że ładnie rysuje. Nie musisz tego oprawiać, tylko pochwal ..
Głos jej się załamał. Spence dostrzegł w półmroku spływającą po jej policzku łzę.
- Ellen, nie płacz! Nic się nie stało. To prawda, jechałem z nadzieją, że ... ale skoro mnie nie chcesz, muszę się z tym pogodzić. Możemy być nadal przyjaciółmi.

Uderzyła go w ramię i wymierzyła siarczasty policzek.

- Ty ... ty idioto! Co ty masz w głowie? Jak mogłeś przez tyle dni nie dawać znaku życia! Pięć dni bez jednego telefonu!

Wziął ją w objęcia i przycisnąwszy jej głowę do piersi, głaskał po włosach, szepcząc czule:

- No już dobrze, już dobrze; nie płacz kochanie! - podczas gdy ona wyplakiwała swój gniew, lęk, niepewność, rozczarowanie.

Wreszcie podniosła głowę.

- Więc dlaczego nie dzwoniłeś? - zapytała.

- Myślisz, że nie chciałem? Tysiące razy! Ale nie mogłem ryzykować. DeI Brio wyszedł za kaucją na wolność, mam nadzieję, że nie na długo, ale jednak. Byłem też uwikłany w misję specjalną, o której kiedyś ci opowiem. Ale przede wszystkim musiałem poczekać, aż wszystkie osoby, które mogłyby użyć ciebie i Pete'a, żeby mnie szantażować, zostaną unieszkodliwione.

- To znaczy?

- Choćby to, co się przydarzyło znanemu ci skądinąd tatuowanemu bandycie na usługach DeI Bria. Miał zeznawać w sądzie przeciwko swojemu szefowi, ale w przeddzień rozprawy zginął w wypadku samochodowym.

- Chcesz powiedzieć, że został zamordowany?

- Można to tak określić.

Przyjęła tę wiadomość z pozornym spokojem, lecz po chwili broda jej zdrząła, a' z oczu popłynęły nowe łzy. Nie wiedząc, jak ją pocieszyć, ponownie otoczył Ellen ramionami. Zdawał sobie sprawę z beznadziejności swojej sytuacji, skoro nie zareagowała na jego wyznanie, niemniej cieszył się, mogąc choć przez chwilę czuć jej bliskość. A może nie wszystko jeszcze stracone?

- Ciebie to pewnie niewiele obchodzi, ale zrezygnowałem ze stanowiska.

- Jak to? Dlaczego?

- Dawno powinienem to zrobić. Zresztą nie miałem wyboru. Ed Malone, którego dzięki poparciu Franka DeI Brio po moim zniknięciu mianowano prokuratorem generalnym, zgodził się zeznawać w sądzie przeciwko swojemu mocodawcy. W rezultacie Frank ma w tej chwili zbyt wiele kłopotów na głowie, żeby się zajmować moją skromną osobą, a tym samym zagrażać tobie i Pete'owi. Co więcej,

świetnie zdaje sobie sprawę, że po złożeniu dymisji nic mu z mojej strony nie grozi.

Ellen bawiła się przez chwilę końcem jego krawata. - Nie wiem, czy dobrze zrozumiałam - rzekła wreszcie. - Chcesz powiedzieć, że zrezygnowałeś ze stanowiska, bo w ten sposób szef mafii przestanie szukać sposobu wywarcia na ciebie presji?

- Posługując się tobą bądź Pete' em. Tak, nie miałem innego wyjścia.

- Zrezygnowałeś ze stanowiska ze względu na nas. To nie w porządku. Mogłeś zostać, nie wiem ... prokuratorem stanowym, a może nawet gubernatorem!

Spence roześmiał się.

- No, no! Bardzo mi to pochlebia. Ale zapewniam cię, że nigdy nie miałem politycznych ambicji. Mam inne plany na przyszłość.

- Spence? Przed chwilą coś powiedziałeś. - Umilkła i opuściła głowę, skubiąc przód jego koszuli. Serce zabiło mu nadzieją. - Powiedziałeś - Znowu się zawahała. - Kompletnie tego nie umiem .

- Czego? - zapytał.

- Nie wiem, jak się zachować. Wiem, byłam mężatką i tak dalej, ale w tych sprawach kompletnie brakuje mi, no wiesz ...

- Doświadczenia? To się dobrze składa, bo mnie też. - Robiło mu się coraz cieplej na sercu. - Myślę, że jest na to tylko jedna rada.

- Na co? - szepnęła, przytulając twarz do jego piersi.

- Na brak doświadczenia ...

Jednakże ze zdobywaniem doświadczenia musieli jeszcze długo poczekać. W przeddzień Bożego Narodzenia dwoje dorosłych nie mogło marzyć o ukryciu się przed wzrokiem wszędobylskiego ośmiolatka. Dopiero dobrze po północy, po tym, jak oba psiaki zawarły pakt o nieagresji, a wyczerpany nadmiarem wrażeń Pete wręczył Spence'owi swój rysunek i wysłuchał stosownych podziękowań - Ellen i Spence spoczęli razem na kanapie.

- Twoje rancho jest na pewno o wiele wspanialsze - odezwała się Ellen, której Spence zdążył wspomnieć o swojej wiejskiej posiadłości.

- Wcale nie. Jest sporo mniejsze. Proponuję zachować oba i prowadzić je wspólnymi siłami. Pete dorośnie, nim zdążysz się obejrzeć. Będzie chciał osiąść na swoim. - Chyba że zostanie weterynarzem albo pilotem myśliwców.

- Ale i tak powinien mieć własny dom.

Ellen nachyliła się i powiodła palcem po jego twarzy.

- Tak się bałam, że cię straciłam - szepnęła. - Odjeżdżając nie powiedziałeś, że mnie kochasz.

- Bałam się. Tyle już w życiu przeszłaś. Gdyby mi ,się coś stało po tym, jak wyznałem ci miłość, byłoby ci znacznie ciężiej.

- Nieprawda.

- Chcesz się kłócić?

- Dobrze wiesz, czego chcę - odparła z figlarnym błyskiem w oczach.

Z tym musieli jednak poczekać, aż Pete zaśnie. Spence wyzwolił się z jej ramion.

- Masz ochotę na kawałek czekoladowego ciasta? zapytał.

- Nie, mam ochotę na kawałek byłego prokuratora okrS?gowego.

- A w przyszłości męża słynnej hodowczynie koni Ellen Wagner i ojczyzna przyszłego weterynarza albo astronauty - zaiartował Spence, spoglądając z zadowoleniem na barwnie udekorowaną choinkę. Wiele spraw trzeba będzie jeszcze omówić, ale wspólnymi siłami ze wszystkim sobie poradzą.

Przeszli do sypialni, zostawiając w salonie włączone radio, z którego płynęła świąteczna muzyka. Spence miał nadzieję, że Pete prześpi całą noc w swoim pokoju. Sam się sobie dziwił, jak łatwo i z jaką

przyjemnością wszedł w rolę przybranego ojca, chociaż sam nigdy nie zaznał rodzinnego ciepła. Niemniej dzisiejsza noc miała należeć wyłącznie do Ellen.

Wspomnienie okaleczonego dzieciństwa przemknęło mu przez myśl niby smuga cienia, lecz słowa Ellen natychmiast rozwiały smutek.

- Najpierw pomówmy o dzieciach - oświadczyła. Nie wiem jak ty, ale ja chciałabym chyba mieć więcej dzieci, nim całkiem się zestarzeję.

Na chwilę zaniemówił, bardziej przez to, co zaczęła robić z jego ciałem niż z powodu tego, co usłyszał.

- Nie jesteś pewna? Zdecyduj się, bo nie wiem, czy mam po co sięgać do szuflady nocnego stolika. Ellen zaśmiała się uwodzicielsko. Jej śmiech zabrzmiał w jego uszach jak najpiękniejsza muzyka.

2008-05-31

em1